

Magda  
**SKUBISZ**



**JEMIOŁA, KLĄTWA  
I CHOLERA**

SAGA RODU TYSZKOWSKICH

Magda Skubisz  
po raz kolejny zachwyca!

Anna Jankowiak @wiedzma\_od\_wiedzy



**GORZKA  
CZEKOLADA**





*Magda*  
**SKUBISZ**

**JEMIOŁA, KLATWA  
I CHOLERA**

SAGA RODU TYSZKOWSKICH



**GORZKA  
CZEKOLADA**



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

JEMIOŁA, KLĄTWA I CHOLERA

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Copyright © 2023 by Magdalena Skubisz

Zrealizowano przy pomocy środków stypendium twórczego przyznanego przez Prezydenta Miasta Przemyśla

Copyright © 2023 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki Urszula Gireń  
Zdjęcie na okładce Małgorzata Maj / Arcangel Images  
Pozostałe materiały graficzne Shutterstock

Wyrys mapy na podstawie mapy katastralnej wsi Zawózz 1852 roku, znajdującej się w zasobach Archiwum Państwowego w Przemyślu

Skład Andrzej Komendziński  
Łamanie tekstu i opracowanie graficzne mapy wsi Zawóz  
Radosław Stępniaik |  SRSLY studio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

ISBN 978-83-8265-673-2

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa  
Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 50  
[wydawnictwo@mediarodzina.pl](mailto:wydawnictwo@mediarodzina.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Marcie Krynickiej-Orzech,  
bez pomocy której Katja  
nie pokonałaby cholery.*

*Cierpieć i milczeć: od czasów najdawniejszych  
aż do dzisiejszych, los najzwyczajniejszy kobiety.*

Zygmunt Kaczkowski, *Kobieta w Polsce – studjum historyczno-  
obyczajowe. Tom 1*  
[Nakładem Księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego Peters-  
burg 1895]





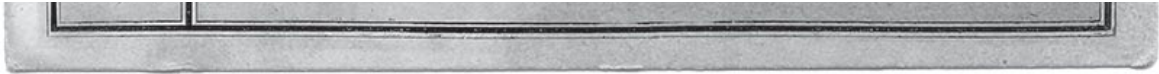
**Fragment wsi Zawóz, należącej w połowie XIX wieku do rodziny Giebułtowskich**

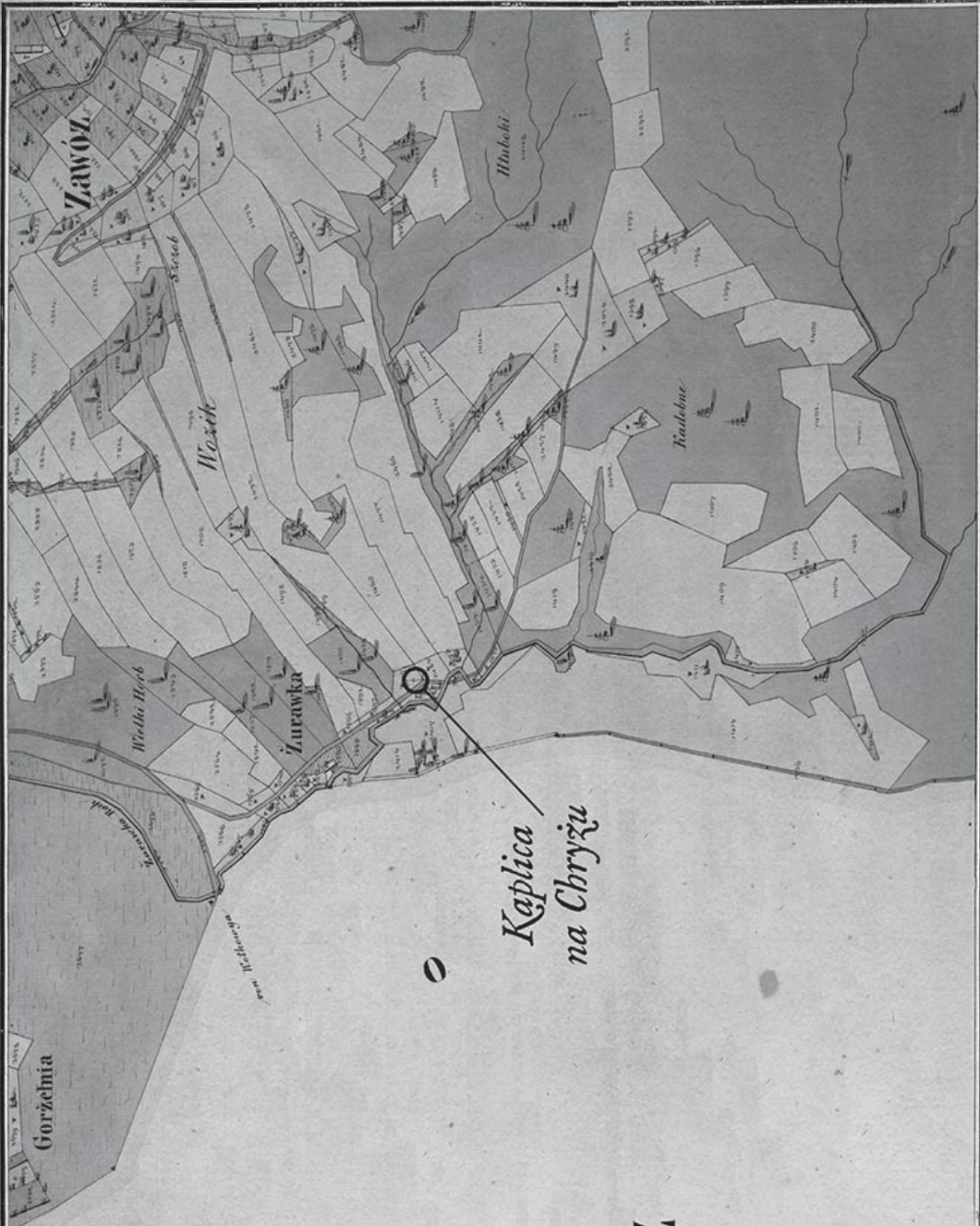


*Dwór  
i zabudowania  
dworskie wraz  
ze stawem*

L

K

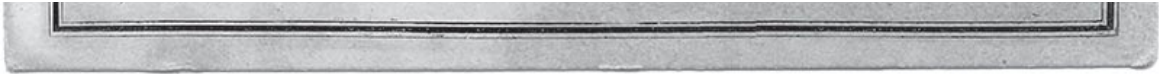




Kaplica  
na Chryżu

**ZAWÓZ**  
in  
**Galizien**

**1852**  
*Ed. Hermann - Kruppiński*





Zawóz w Bieszczadach, 1855 A.D.  
siedziba rodziny Giebułtowskich

*Jestem beznadziejną matką. Starszy syn pije, a młodszy rycerską krew miesza z włościańskim błotem.*

Przeczytała ponownie i wyrwała kartkę. Nie tak powinno brzmieć pierwsze zdanie z pamiętnika szanującej się niewiasty. Niewiasta zaczyna dzień modlitwą, zachwyca się słońcem i muśnięciami wiatru na splotach dzikiego wina wrośniętego korzeniami w rodzinny dworek. Zawsze pobożna, pogodzona z losem, zawsze komuś podległa i komuś potrzebna, zawsze „po” – po kimś i po czymś. Jeśli zamężna, to za mężem skacząca w ogień, jeśli matka, to szczęśliwa, jeśli wdowa, to nieutulona w cierpieniu. Biada jej, jeśli nie potrafi udawać. Szczerłość jest dla mężczyzn.

Wiktoria zaczęła na nowo, nie żałując przymiotników, jak na prawdziwą niewiastę przystało:

*Dziś pochmurno i siąpi, ale dzięki temu jakże przytulny wydaje się nasz salon z ciepłym kominkiem! Najdroższa Mama drzemie, dziatki Maciejowej igrają z zadziornym Puszkiem, a zacny Bernard zanoszą pobożne modły za pomyślność całej rodziny. W dodatku jakimś cudem nieziemskim doszła poczta, a z nią mój ulubiony dodatek do Magazynu Mód, „Dziennik Przyjemnych Wiadomości”! Ach, słodka krotchwilo! Na ósmej stronicy taka otóż przepyszna relacja z balu u arcyksięcia: „Dziś każda niewiasta jest prawdziwą Florą, boginią kwiatów. Dama dźwiga ogród na głowie: całe girlandy róż i ozdobnych liści. Te rozciągają gałązki ku skroniom, ocieniając je, a całym bogactwem spadają ku szyi, dając im białość łabędzią”.*

Tyszkowska przeciągnęła dłonią po szyi i wyobraziła sobie kolię z kolczastych róż zaciśniętą na krtani. Tak się czuła przez większość życia i nawet wcielenie się we Florę, boginię kwiatów, nie zatarałoby tego wspomnienia.

No więc idźmy dalej, w stylu nobliwej pani domu:

*Piszą także, iż „prawdziwa dama jaśnieje w towarzystwie doskonałej urody klejnotami” – za najmodniejsze według „Dziennika” uznaje się rubiny dla dojrzałych kobiet i turkusiki dla panienek. O moim kamieniu ani wzmianki, choć daleko piękniejszy od obu wymienionych. Sam kolor przywodzi na myśl purpurę burzowego nieba, przeciętą językami błyskawic, stąd też dla jego surowości kazałam niedawno oprawić go w surowe srebro. Dziadek pisał z zesłania, że znalazł ów kamień w piasku nad syberyjską rzeką i że tamtejszy lud uważa go za cuda czyniący. Dziw, że przeleżał w skrzyni tyle lat i nie dostrzegłam jego urody...*

Tyszkowska zrobiła pauzę i znowu dotknęła szyi. Rady wiejskich bab nie wystarczą, podobnie jak kącik urody w „Dzienniku Przyjemnych Wiadomości”. Niedługo nie wystarczy nawet wysoki kołnierzyk ze stójką, by zakryć zwiotczałą skórę. Nie wystarczy słoń ugotowanych i na wpół rozłożonych pijawek, by zafarbować siwiznę we włosach. Cóż począć? Jej ciało więdnie, jak *membrum virile* po pracy.

Wiktoria drgnęła i plama z atramentu rozlała się na połowę strony. Odgłos męskich butów. Czyżby wreszcie zrobił to zamówienie u szewca, jak radziła? Rządcę powinno być słyhać z daleka.

Dźwięk kroków narastał.

Wydarła kolejną kartkę, zamknęła dziennik i wstała z krzesła. Zwierciadło w kanciastych ramach, w którego tafli przeglądała się od najmłodszych lat, poczęstowało ją własnym odbiciem.

Pod powiekami mignęło jej wspomnienie wiotkiej dziewczynki w komunijnej sukience, potem tej samej dziewczynki niewiele, bardzo niewiele starszej w białym ślubnym stroju, potem w obszernej sukni z ciężowym brzuchem, aż wreszcie dojrzałej niewiasty w czerni... Ach, jak pięknie kobietom w czerni!

Poprawiła falbanki na bluzce i przeprasowała je dłońmi, sprawdzając, czy biust znajduje się na odpowiedniej wysokości. Pięćdziesiąt lat. Uff... Obejrzała swą idealnie szczupłą talię, dotknęła ufarbowanych pijaw-



kami włosów i odwróciła się od okna, by światło dnia nie obnażało zmarszczek na szyi.

Kątem oka pochwyciła ukradkowe spojrzenie Maciejowej – długie, pełne tęsknoty i zawiści.

Maciejowa, młodsza od niej o kilka lat, a jednak tak zaniedbana, jak mogą być zaniedbane tylko chłopki obarczone trudami nadmiernego macierzyństwa, w akompaniamencie dziecięcego wrzasku cerowała kolejną mężowską skarpetę. Obok niej, w poręczowym krześle, ojciec Bernard kartkował Pismo Święte, szukając zapewne jakiegoś cytatu, który uruchomiłby w obecnych poczucie winy.

– Na rany Chrystusa! – wykrzyknął śpiewnym basem. – Niechże Maciejowa zrobi coś z tymi dziećmi, bo własnych myśli nie słyszę!

Gospodyni posłusznie poderwała się z krzesła i zatkała usta najbardziej wrzeszczącej latorośli, która właśnie ciągnęła kota za ogon. Puszek drapnął małego oprawcę szponiastą łapą. Rozległ się kwik, a potem świrdujące w uszach zawrozczenie. Mały Bazyl czy Wasylek, czy jak go tam po rusińsku zwali, wyrwał się matce i podbiegł do Bernarda, najwyraźniej szukając ratunku.

Zakonnik zeszywniał i zasłonił się Biblią.

– Albowiem powiedziane jest w Księdze Izajasza „w ciszy i ufności leży wasza siła” – wygłosił przemądrzale, celując palcem w smarkacza. – A ewangelia mówi: „błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię”. Zrozumiałeś, nieznośne pachole...? Cisi!

„Tym bardziej byś się zamknął” – pomyślała Wiktoria.

Uświadomiła sobie, że niedługo minie dziesięć lat, odkąd utrzymują we dworze tego świątobliwego pasożyta. Bernard lubił luksus, żarł jak knur, zajmował dwa przestronne pokoje, a jedyną rekompensatą, jaką zapewniał, były wygłaszane z nienaganną dykcją biblijne wersety.

Dzieciak, kiedy dotarło do niego, że wybrał niewłaściwego pocieszyciela, jeszcze głośniejsze się rozwrzeszczał. Bernard przesiadł się o krzesło dalej, udając, że od okna pada na Pismo Święte więcej światła.

Trzasnęły drzwi.

Rozalia, śpiąca z otwartymi ustami, podskoczyła na bujanym fotelu. Jej czepek się przekrzywił, podobnie jak fotel, i tylko przytomności Maciejowej należało zawdzięczać, że starsza pani nie runęła wraz z meblem na podłogę.

– C...co?... – wymamrotała i zacisnęła upierścienione dłonie na poręczach fotela. – Co się stało...? No co tam, Bazylku?

Smarkacz chlipiąc, włożył seniorce na kolana. Rozalia pomruczała coś do niego, cmoknęła w czoło i wytarła zasmarkaną buzię jedwabną chustką. Wiktorię zemdliło. Nie to, że nie lubiła włościańskich dzieci (w końcu przynosiły jej kaptcie, nalewały wino i całkiem zręcznie usługiwały, gdy nauczyło się je dyscypliny), ale żeby brudzić jedwab o chłopską gębę?

Stłumiła grymas niechęci i spojrzała nagląco na drzwi.

– Kogóż tam tak wypatrujesz? – spytała matka.

Mimo siedemdziesiątki wzrok miała bystry jak naganiacz na polowaniu.

– Widzi mi się, że to pan rządca, mamó. Chyba chce porozmawiać o interesach. Pozwolisz, że pójdziemy razem do kancelarii po papie? – Znacząco zerknęła w stronę wrzeszczących dzieci.

Starsza pani uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– A gdzieżby indziej, moja duszko! W kancelarii jest dużo miejsca... – Urwała, pilnie wypatrując rumieńców na twarzy córki, ale te się nie pojawiły. – ...no i wszystkie papiery! Pamiętaj: z Zawozu i Wołkowyi w szufladzie pod oknem, z Górzanki leżą na sofie...

– Na szafie, mamó!

– Ach, wybacz mnie starej. – Znowu ten szelmowski uśmiech. – Nie dziwię się, że przełożyliście na szafę, potrzeba wam miejsca...

– Mamó! – przerwała i tym razem nie dała rady stłumić wypływającego na policzki szkarłatu.

Rozalia stłumiła chichot. Z czeluści sukni wygrzebała cukierek, wtknęła go dzieciakowi w rozdartą gębę i lekkim kłapsem odesłała w stronę matki.

Wiktorია otworzyła drzwi.

Niestety, nie stał za nimi przystojny rządcą w nowych butach, ale chudy Izraelita, zza pleców którego wyglądał lekko zdenerwowany ochmistrz.

– O! – zdziwiła się starsza pani. – A kogóż to niesie w taki ziąb, Macieju? Plucha, błoto, na gościńcu wozy się z końmi topią!

– Jaśnie wielmożne panie wybaczą, ale ten Żyd twierdzi, że z rozkazu jaśnie państwa Kowalskich z Birczy przybywa i chce rozmawiać z panią Tyszkowską – obwieścił sługa, nisko się kłaniając. – Mówi, że ledwo tu dojechał. Nie był umówiony, alem przecie nie miał serca go za drzwiami zostawić.

Matka i córka wymieniły spojrzenia.

Starozakonny zdjął piękną, sobolową czapę i pochylił głowę.

– Ezaw Morgensztern, do usług. Jestem zaufanym jaśnie pana Adama Kowalskiego. Od lat prowadzę interesy całej jego czcigodnej rodziny.

– Widzę przecie, że bankier! – przerwała bezceremonialnie Rozalia. – Kogóż innego byłoby stać na tak piękne sobole?

Na ustach przybysza zakwitł powściągliwy uśmiech.

– Zaiste, jaśnie państwo Kowalscy hojnie wynagradzają moje usługi. Moja kancelaria jest szeroko znana w Galicji i specjalizuje się w...

– Nie przeczę, że w pańskiej osobie odwiedził nas człek wybitny – ucięła Rozalia, przerywając nadciągający potok referencji. – Ale mów pan, z czym przybyłeś, bo obydwójce wiemy, że nie dla gładkich słów wytrząśłeś się powozem po bieszczadzskich połoninach.

Starozakonny skłonił się niezrażony.

– Miałem jeszcze w zanadrzu kolejne powitalne uprzejmości... Ale skoro tak stawiasz, pani, sprawę, bezzwłocznie przejdę do interesu, z którym posłał mnie tu mój dobroczyńca.

Rozalia skinęła przyzwalająco głową, a Wiktorię ogarnęło złe przezcucie. Złotousty Żyd zawsze zwiastował kłopoty.

Kazała Maciejowej podać ciastka i kawę i wprowadziła gościa do kancelarii.



**P**przednówek 1855 roku był najkoszmarniejszy od lat. Lało codziennie. Deszcz z niewielkich chmurek urastał w okamgnieniu do rozmiaru nawałnicy, a wiatr siekł po skórze niczym zły pan nahajką. Chorych w Trójcy przybywało jak much w przepelnionej wygodce, a wszyscy słabowali na żołądek i jelita. Batko niegdyś nazywał te wiosenne bolączki „nędzolakami”, bo brały się z nędzy: głodu i brudnej wody.

Katja sumiennie wypełniała swe aptekarskie powinności, biegając od chaty do chaty z dobrą radą i węzełkiem ziół. Poprzedzająca ją sława znachorki, która wyleczyła chorą nogę jaśnie pana Antoniego, rozwiązywała języki trójceckich włościan. Na przednówku jak na przednówku: roboty mało, a pogadać zawsze można, choćby i o katarze kiszek.

– Panna pewnikiem wie, kto chrzciny będzie wyprawiał? – odezwała się Galina, matka trzech synów, z których najmłodszy uporczywie kaszlał i Katja smarowała go właśnie borsuczym sadłem. – Bo jak panna nie wie, to powiem tylko, że jeszcze tak u nas we wsi nie było, żeby paroch kogo chrzczył cichcem i w dzień powszedni.

Katja, która najpierw chciała sprostować, że nie jest panną, ale mężatką, a potem, że jej samej paroch z Birczy ślub dawał cichcem i w dzień powszedni, nie odezwała się ani słowem.

– Bój się Boga, jak to panna nie wie?! Toż to chrzciny dzieciaka, co go pan dziedzic zrobił dziewczce folwarcznej z Jamnej! Już drugiego! Pewno proboszcz tamtejszy odmówił i kazał chrzcic tego bękarta w naszej cerkwi, w Trójcy! Choć Trójca od Jamnej rzut kamieniem!

– O! – wyrwało się Katji.

Galina najwyraźniej nie miała pojęcia, komu zawdzięcza życie matka „tego bękarta”, jak w Trójcy nazywano Ludmiłę – kochanicę jaśnie pana Józefa. Dziedzic nie mógł jej poślubić bez obawy o utratę imienia i majątku. Mógł tylko udawać, że z własnej woli wybrał kawalerski stan, a jednocześnie opiekować się swą chłopską rodziną z całą miłością, jaką pielęgnował w sercu.

– Bo wedle mego rozumu – prawiała dalej Galina – nie ma dla niewiasty gorszego wstydu, niż zostać pańską kochanicą. Wstyd i sromota u Boga i u ludzi! I chodzi taka, i klęka przed ołtarzem, a z wielmożnymi panami gzi się po kątach i łomocze po stodołach, tylko że panu się upieczce, a jej się ino dzieciaki ostaną i ludzka pogarda, a w piekle wieczne potępienie!

Katja spróbowała sobie wyobrazić te kąty i stodoły, a w końcu nawet piekło, ale zamiast tego ujrzała Józefa, który szlochał jak dziecko, gdy jego ukochana umierała z upływu krwi.

– I kiedy chrzest? – spytała, żeby przerwać milczenie.

– We środe. I pomyśleć, że nasz paroch na takie wszeteczeństwa musi patrzeć i jeszcze na tego bękarta, bo panowie Tyszkowscy mu kazali! W cerkiew piorun strzeli, a Święty Jura z ikony zejdzie, jak Bóg na niebie!

Półtoraroczny pacjent Katji wykorzystał nieuwagę obu kobiet i błyskawicznie włożył rączkę do kamionki z sadłem. Obliznął łapkę, chłonąc nowy smak, a potem dokładnie wytarł palce o spódnicę matki.

– Sławko, zarazo jedna! Cóżeś narobił?! Całą mnie uwalależ! Ojciec wróci, to zobaczysz!

Galina dała mu prztyczka w nos. Chłopiec zaśmiał się zachwycony, a Katja przez ułamek sekundy dostrzegła coś, jakby świetlną iskrę, która błysnęła między głowami matki i syna, niczym eksplodująca gwiazda.

Pospiesznie dokończyła pracę, owinęła kamionkę chustą, pożegnała się z Galiną, ucałowała malca w pachnącą sadłem rączkę, a potem wy-

szła z ciepłej chyży.

Deszcz padał i padał. Nieutwardzona droga przypominała bagno, a każdy krok oznaczał zanurzenie się w nim po kostki. Katja przyzwyczajona do chodzenia piechotą (w końcu w Birczy nikt jej karetą nie woził) narzuciła sobie szybkie tempo, grzejąc się wyobrażeniem lipowego naparu, który wypije po powrocie do domu. Zgarbiona od deszczu weszła w las i wkrótce dotarła na otoczoną ogromnymi świerkami polanę, z wyrastającą pośrodku jak grzyb leśniczówką.

Dom był stary, wybudowany jeszcze przez poprzedników Walerka. Ostatniego lata gospodarz uszczelnił go mchem, wyremontował, a w okna wstawił nowe, świńskie pęcherze. Ten tani zamiennik szyb cieszył się sporym powodzeniem wśród włościan, ale wymagał też sporo roboty: pęcherze należało umyć, nadmuchać, wysuszyć dobrze na słońcu, a następnie rozciąć i naciągnąć na ramy. Tym sposobem okna nie były może duże, ale szczelne i w dodatku nadawały wpadającemu do wnętrza światłu miły, ciepły odcień. A ciepło, choćby i pozorne, było tym, czego tej wiosny najbardziej potrzebował każdy mieszkaniec rybotyckiego klucza.

Katja przebiegła kilka kroków po drewnianej kłodzie przerzuconej nad bajorem błota, wskoczyła na ganek i zgrabiałą ręką otworzyła drzwi.

Nareszcie.

Chwilę stała, rozkoszując się błogością suchego miejsca. Z dziurawych trzewików ciurkała woda, tworząc kałużę na wymytej podłodze. Gdzieś z góry rozległo się basowe, melodyjne szczekanie, a zaraz potem zmieszany ze sobą łomot psich i ludzkich kończyn pędzących po schodach. Katja zdążyła tylko pomyśleć: „Ratunku” i jęknęła, uderzona ciężarem wielkiego czarnego ogara, który skoczył przednimi łapami na jej ramiona i przygniótł ją do ściany.

Pies polizał aptekarkę po policzku, a sekundę później dwie rozczochrane dziecięce głowy wcisnęły się w jej ciało – wyższa w prawe żebra,



niższa w lewe. Przez chwilę trwało tulenie, po czym wyższa głowa uniosła się i zmrużyła brązowe oczy.

– Co tak długo? – spytała zaczepnie Mania.

Katji udało się odsunąć twarz z zasięgu zaślinionego pyska. Marlon natychmiast położył się na stopach aptekarki i przygwoździł ją w ten sposób do podłogi.

– Och, jak zawsze. – Pogładziła przybraną córkę po zmierzwionych włosach. – Cały świat tonie w błocie, coraz mniej jedzenia, a coraz więcej chorych.

– Byłaś u Lesia?

– I u Lesia, i u Michałka, u Marylki, u Fedora, u Sławka i jego rodziców.

– Sławko zdrowy? – Dziewczynka bez pytania rozmasowała zgrabiąle ręce Katji.

– Prawie. Już broi, nawet mamę sadłem chciał smarować. – Poczula, jak jej znużenie rozplywa się w ciepłym, dziecięcym uścisku. – A wy ciągle same? Walerkowie jeszcze nie wrócili?

– Chyba nieprędko wrócą. – Mania pokręciła głową. – Walerek powiedział, że jedzie aż pod Labin Kut, bo tam mu jaśnie pan dziedzic kazał kłusowników łapać, a Marię wziął ze sobą do jakiejś babuleńki, co to sła buje już trzeci dzień na płuca. Jak zapytałam, kiedy będą z powrotem, to leśniczy powiedział, że czort jeden wie, bo po tym błocie to wóz się gorzej wlecze niż ślimak po gównie.

– Mania!

– Co?

Aptekarka stłumiła uśmiech. W bezsenne noce zamartwiała się o przyszłość pyskatej dziewczynki. Świat nie sprzyjał zbyt bezpośrednim w obejściu pannom, o czym sama wiedziała aż za dobrze.

– A Marlon zbił słoik – zapiszczała niższa głowa, należąca do czteroletniej Wiktorii, zwanej Wikusią, młodszej córki druciarza.

– Ty zbiłaś! – warknęła starsza siostra. – Uparłaś się, żeby zrobić napar, i zaczęłaś grzebać na półce z ziołami. Marlon cię trącił i bęc!

– Ale nie chciałam. – Wikusia pociągnęła nosem i zadarła brodę, która już zaczęła drzeć od płaczu. – To nie ja, tylko Marlon!

Podobnie jak siostra, młodsza od niej o trzy lata córka druciarza miała ciemne, skołtunione włosy, których nie dało się niczym rozczesać i oczy koloru laskowego orzecha. Od Mani różniła się pokorą w spojrzeniu.

Katja przykucnęła i pogładziła małą po policzku.

– Nie skaleczyłaś się?

Wikusia zaprzeczyła i wcisnęła nos w mokrą od deszczu suknię aptekarki.

– Posprzątałyście bałagan? – Katja zwróciła się do Mani.

– Jaaaaa...? Przecież to nie ja zbiłam!

– Ja też nie – powiedziała Wikusia. – Niech Marlonek sprząta.

Aptekarka westchnęła i dźwignąwszy małą na ręce, weszła na piętro, żeby ocenić rozmiar zniszczeń. Pogadankę o odpowiedzialności za młodsze rodzeństwo odłożyła na później. Mania wyglądała wojowniczo, a jej mina wróżyła długą i zaciętą walkę o postawienie na swoim.

Katja zatrzymała się u szczytu schodów. Pochlipującą Wikusią pocieszyła długim, głośnym całusem w czubek głowy, a sama podeszła do miejsca zbrodni.

Wart fortunę słoik z zielonego szkła leżał roztrzaskany na podłodze, a jego odłamki pokrywały cudownie skuteczną przeciwcholeryczną mieszankę, wykonaną według przepisu Batki. Katja nakazała dziewczynkom pilnować psa, a sama przyklękła przy smutnym, pachnącym pięciornikiem kopczyku. Tyle ziół! A dla ścisłości – tyle ziół w marcu, kiedy stare zapasy się kończą, a nowe jeszcze nie zdążyły wyrosnąć! Leśniczyna dostała je od życzliwych kobiet ze wsi, które parały się zielarstwem: liście malin, poziomek, borówek, szaławii i podbiału. Przywrotnik czyszczący krew, zwany z rusińska naworotniem, i pięciornik,

zwany kurzym, z powodu liści w kształcie kurzych łapek. Katja musiała tylko naskrobać dębowej i wierzbowej kory, na przednówku pełnych leczniczych soków. Cały słój – pomijając szkło – był chyba cenniejszy od złota.

– To zioła na sraczkę? – chciała wiedzieć Mania.

– Mania, mów ładniej.

– A co w sracze jest ładnego? Zaraza zaczyna się od sraczki, prawda...?

Katja pomyślała, czy wtajemniczać dziewczynkę w zasłyszane we wsi plotki. Zaraza po raz ostatni pojawiła się trzy lata po śmierci Batki, zdziesiątkowała dwory i wioski, aż wreszcie odeszła, zostawiając po sobie ponure żniwo w postaci cholerycznych cmentarzy.

Poczochna czuprynę dziewczynki i podniosła się z klęczek.

– Zaraza zaczyna się od głodu i brudu. Nie ma jej tam, gdzie czysto. – Postanowiła wykorzystać okazję. – Więc teraz przynieś miotłę, bo straszny tu bałagan, i pokaż siostrze, jak się sprząta. Tak?

– Nie. Ale dopilnuję Wiktorki.

– Mania!

Dziewczynka zachichotała, podskoczyła i po chwili dał się słyszeć tupot jej nóg zbiegających po schodach.

Aptekarka odprowadziła małą wzrokiem i wstrząsnęła się z zimna. Wciąż miała na sobie przemoknięte rzeczy. Masując ramiona, weszła do komory, by zmienić suknię.

Pamięć nawiedziło wspomnienie innej komory, widzianej jakby wieki temu, w chyży Ludmiły, gdzie też przemoczona do nitki zmieniała odzież na polecenie dziedzica. Och, gdybyż mogła zapomnieć o tamtym dniu! Podobnie jak o marynarce z herbowymi guzikami, pocałunku w czoło, ciepłym głosem, mówiącym: „Bóg mi ciebie zesłał”, i oddechu przesiąkniętym zapachem lawendy i skórzanego siodła...

Zrzuciła z siebie suknię i stanęła naga na środku komory. Czubkami palców dotknęła pamiętającej jeszcze birczańskie czasy szramy po ba-

cie. Innocenty zdzielił ją na odlew bizunem, już na zawsze szpecąc ciało Katji okropną, długą na metr blizną, ciągnącą się od prawego ramienia do podbrzusza. Rana bolała przy zmianie pogody, a zwłaszcza podczas deszczu. Brzuch aptekarki już na zawsze pozostanie wstrętne. Tak jak i reszta: sterczące żebra, łopatki, biodra... Poza piersiami. Te nie sterczą, bo ich po prostu nie ma.

„Uspokój się” – skarciła się w myślach. „Po co ci te chrzciny? Dla ukłonu? Dla uśmiechu i zerknięcia jaśniepańskiego oka? Tak mało ci trzeba do szczęścia, ty żałosna, spragniona uwagi dziewczyno? Chcesz się przekonać, jak na nią patrzy? Chcesz się przekonać, jak się pieści kobietę samym spojrzeniem?”.

Otrząsnęła się. Otworzyła okno, żeby wyżyć mokry warkocz i... zamarła na widok tkwiącej w siodle, przemokniętej postaci odzianej w wilcze futro. Jeździec uniósł głowę.

Katja odskoczyła z krzykiem i zatrzasnęła okno.

Pięć godzin później Toni wjechał na podwórzec dworu w Jamnej. Był przemoknięty, nieszczęśliwy, a w dodatku głodny. Przemoknięty, bo deszcz nie odpuszczał i przykleił mu tyłek do siodła wraz z wilczym futrem, nieszczęśliwy, bo po raz nie wiadomo który przybywał z Trójcy bez czaroduchy, a głodny, bo wybiła pora obiadu!

Jaśnie pan cierpiał. Gniew, ten pierwotny, spowodowany pustym żołądkiem zwierzęcy gniew powędrował do aptekarki, przez którą znowu przeziębził sobie klejnoty, sikając pod wiatr. Podła bisurkania! Żeby chociaż raz udała, że się go boi! Ale nie! Stoi niby to w ukłonie i bezczelnie czeka, aż on, Tyszkowski, pan tej ziemi, skończy głędzić.

On najpierw tłumaczy, wyjaśnia, zniża się nawet do czegoś w rodzaju prośby, ale słyszy na przemian: „Tak, jaśnie panie” i „Nie, jaśnie panie”. Od samych tych burknięć krew mu się w skroniach burzy, jednak zaciśka zęby i mówi grzecznie:

– Sarnino, zaklinam cię po raz setny, wróć do dworu, bo leśniczówka w Trójcy to miejsce dla leśniczych, a nie dla aptekarki, która chorym jest potrzebna.

A ona na to:

– Tu też chorym jestem potrzebna i więcej tych chorych niż we dworze. – I patrzy zuchwale i w taki sposób, że krew już wzburzona zalewa mu mózg szkarłatną falą.

– To ja cię gwałtem stąd wezmę, a leśniczówkę podpale, żebyś nie miała dokąd wracać!

Chwila ciszy. Żadnego lęku, tylko namysł. Żmija rozważa, gdzie ugryźć, i to tak, żeby najbardziej bolało.

– To niech jaśnie pan podpali i leśniczówkę, i mnie, i leśniczych, i te sieroty weźmie na swoje sumienie – mówi ona wreszcie i obie córki druciarza jak na zawołanie biegną do niej jak kurczęta do kwoki, i chowają główki w fałdach pocerowanej sukni. Toni zgrzyta zębami, a smarkule gapią się spode łba: młodsza na kieszenie futra, w których Tyszkowski

trzymaj miedziaki, a starsza na podkute oficerki. I ani jednej, ani drugiej, ani trzeciej chamce nie przyjdzie nigdy na myśl, że zamiast się głupio gapić, mogłyby, do kurwy nędzy galicyjskiej, zrobić mu coś do jedzenia!

Uhhh!... Niewieścia tępota!

Po coś tam jechał, zamiast siedzieć na własnym zagonie, jak Bóg szlachcie przykazuje...?! Sople zwisają z nosa, wiatr smaga po dupie, aż piecze, a tobie zachciewa się zobaczyć pyskątą dziewczkę bez ucha, cyrków i sumienia!

Mało upokorzeń zaznałeś od tej dzikiej baby?! Już ci się wydaje, że goła macha do ciebie z okna! Jak nic, rzuciła na ciebie *prostrit!*

Nigdy! Nigdy więcej nie przekroczysz progu tej przeklętej leśniczówki! Już raczej opłacisz wieśniaków, niech podpalą tę budę, tę chatkę baby jagi, szopę na kurzej stopce, ale więcej tam nie pojedziesz i nie upokorzysz się przed tą potworą! Jakaś jaśnie pan!

Antoni zaklął, łupnął w klamkę drzwi i łomocząc obcasami, wszedł do dworu.

Lustro w sieni ukazało mu zarośniętą, wściekłą gębę o sinych uszach i nosie w kolorze buraka. Wąsy i broda ociekały deszczem. Nawet oczy, zwykle błyszczące radosną, przepitą zielenią, zmieniły wyraz na nienawistny. Toni pomyślał, że gdyby jego ukochana klacz Aza spojrzała na niego w taki sposób, to niechybnie by ją zastrzelił.

– Ej, durniu! – wrzasnął w głąb sieni i nim do niego dotarło, że przecież trzy miesiące temu pozbył się lokaja, przeżył moment nadziei.

– Sabino! – krzyknął po chwili już dużo uprzejmiej. – Sabiiiiinooo!... Mogę prosić jejmość o przysługę?

Zanim rozległy się kroki, okraszone nerwowym pobrzękiwaniem kluczy, upłynął dobry kwadrans. Sabina na widok pryncypała nie wysiliła się nawet na ukłon.

– Cóż to, panie Antoni? Nie powiodło się polowanie na czarownice? A przynajmniej na tę jedną, która ma większe serce od pańskiego...?



Odwrócił się do ochmistrzyni plecami, wskazując gestem, żeby pomogła mu zdjąć z ramion ciężkie, przemoczone futro.

– Mnie tam pana nie żal, bo się panu należało – zrzędziła Sabina, zszarpując wilki z ramion Tyszkowskiego. – Ale na widok Marlonka bym się szczerze ucieszyła, bo to dobre psisko, chociaż czasem diabeł w niego wstępuje i kury dusi. Przekonał się pan, jaka mądra bestia? Wołał zostać z Katrusią i pewnie jaśnie panu nawet ogonem nie zamerdał... Cóż, zwierzęta znajdują się na ludziach!

Toni policzył do dwudziestu. Przypomniawszy sobie Marlonka, który w leśniczówce co prawda niemrawo merdnął ogonem na jego widok, ale na komendę Tyszkowskiego: „Do nogi” usiadł przy nodze Katji.

– Jeszcze coś panu powiem, jaśnie panie. – Ochmistrzyni ściszyła głos, który aż wibrował od kpiny. – Niechże pan Azy pilnuje, bo jak się klacz pańska z Katrusią polubi, to jeszcze będzie pan, nie daj Boże, wracał z Trójcy piechotą!

Tego już nie zdzierzył. Trzasnął pięścią w ścianę.

– Radziłbym acani nie wtrącać się w nie swoje sprawy, bo własnych ma jejmość aż nadto! A do obowiązków jejmości należy dbać o swego pana, zwłaszcza gdy ten przemarzł i zgłodniał! Kolacja i wino! Już!

– Od wina jest lokaj – odparła podła niewiasta, z niewzruszonym spokojem otrzepując futro. – Kolacji nie ma, bośmy się jaśnie pana przed północą nie spodziewali, a to, co zostało, nie będzie panu smakować, bo ino razowiec z kozim serem...

– Kurrrrrrwa mać! – ryknął Tyszkowski, wyrywając jej futro. – Przecież mnie z jejmością szlag nagły trafił! Niech mi kto wreszcie zorganizuje lokaja! Zapłacę każde pieniądze, tylko niech mi kto wskaże, gdzie mam teraz sługi szukać w tych zasranych, za siódmą pizdą, górach?!

Ochmistrzyni wzięła się pod boki.

– Gdzie sługi szukać?! – zagderała. – Tam, gdzie jaśnie pan nieszczęsnego Oktawiana zostawił! W lesie, na pastwę chłodu, głodu i dzikiej zwierzyny!

Fuknęła jak rozzłoszczona kotka i wymaszerowała z salonu, oczywiście nie kłaniając się.

Toni został sam, zziębnięty, głodny i wściekły, jakby nie przybył do domu, a do niegościnniej austerii. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że w leśniczówce Oktawiana nie dostrzegł. Wiedział co prawda od Sepka, że jego dawny sługa poszedł do sąsiedniego folwarku za chlebem, ale gdzie – tego już nie wiedział i niewiele go to interesowało.

Potrzeba zatrudnienia lokaja w tym koszmarnym dworze stawała się nagląca. Nie może tak być, żeby pan był zdany na humory wstrętnej, bezczelnej baby, mającej się za nietykalną ze względu na dawne zasługi!

Klnąc pod nosem, tak jak stał, wybiegł na zewnątrz w stronę dworskich zabudowań.

Światelko tliło się w oknie oficyny niczym niegasnąca nadzieja Tyszkowskiego, że Aleksy przyjmie jego ofertę – oczywiście tymczasowo, bo nie wyobrażał sobie lokaja, któremu przy nalewaniu herbaty wypadaby z kołtuna pluskwy.

Już widział te pyszne scenki podczas oficjalnych przyjęć w salonie, słyszał chrzęst twardych pancrzyków w zetknięciu ze srebrną tacą. Ach, z jakąż rozkoszą zaserwowałby taki poczęstunek Kowalskim!

Mimowolny uśmiech wypłynął na twarz Toniego. Takim też go ujrzał druciarz Aleksy, gdy otworzył szeroko drzwi oficyny.

– Jaśnie panie – wykonał karkołomny ukłon i zastygł z głową prawie przy kolanach.

Wzrok Tyszkowskiego odruchowo powędrował na kark druciarza i został tam dobrą chwilę, nie mogąc pogodzić się z widokiem.

– Na Boga! Gdzie twój kołtun?!

Aleksy powoli przejechał szeroką dłonią po przyciętych włosach.

– Ech, jaśnie panie!... – jęknął, prostując się. – Ta baba, czaroducha, znaczy się, żona moja...

Toni skrzywił się na te ostatnie słowa, jakby giez uządlił go w słabiznę.

– Obcięła ci włosy?! Kiedy?! Jakim sposobem, jak jej tu nie ma od tygodni?!

Zdumienie w głosie Tyszkowskiego było tak absolutne, że Aleksy poderwał ostrzyżoną łepetynę.

– A to ja sam, proszę jaśnie pana, obetłem. Ona powiedziała, że robactwo się tylko łęgnie i że we dworze źle na kołtun patrzą. A jak powiedziałem, milcz babo, przecie każdy wie, że w kołtunie się wszystkie choroby zbierają i jak się go utnie, to przechodzą na głowę tego, co go nosi, i człowiek umiera, a wtedy czaroducha... znaczy się, żona moja, powiedziała, że ona mój kołtun zakłęła w drugą stronę i jak go nie zetnę w trzecią pełnię księżyca, to na drugi dzień po pełni wszystkie choroby z niego wyleżą, język mi kołkiem stanie, oczy wypłyną na wierzch, oślepnę, ogłuchnę, okuleję, a na dupie wrzody mi wyrosną takie, że nie będę siedział, tylko stał pod ścianą jak kamerdymer... To cóż miałem robić, jaśnie panie? Przyszła trzecia pełnia, wziąłem sierp...

Aleksy urwał i otarł łzę, a podbródek zadrgał mu identycznie jak u jego córki Mani, gdy nie chciała oddać Toniemu oficerek.

– Jaśnie pan wie przecież, że to niemożliwe bisurkani się przeciwstawić. Wystarczy już, że mi dzieci ukradła, a jaśnie panu psa! Jeszcze ześle choróbsko albo otruje, albo ukąsi...

Toni mimowolnie potarł kącik ust. Blizna już nie bolała, ale nadal wyczuwał ją językiem. Pamiątka po zbytnej śmiałości, gdy on, jaśnie pan, wraz z żoną Aleksego jechał konno do czarciego ogrodu i diabelski podszept (bo cóżby innego?!) podkusił go do całkiem niewinnego, przyjacielskiego pocałunku. W końcu nie od dziś wiadomo, że takie jak ona lubieżną magią potrafią wzbudzić pożądanie nawet w najcnotliwszym mężczyźnie. I to ot, tak, dla zabawy, żeby potem chichotać i instruować inne baby, jak przyzwoitego chrześcijanina do grzechu przywieść!...

Otrząsnął się ze słusznego gniewu i spojrzał na ostrzyżony łeb.

– Słuchaj no, Aleksy. Może i dobrze, żeś jej posłuchał, bo lepiej teraz wyglądasz i czystiej, i pluskiew mniej się głowy trzyma. A to ważne, bo przyszedłem tu do ciebie z propozycją nie do odrzucenia.

Druciarz wytrzeszczył oczy.

– Do mnie, jaśnie panie?... Z por... porpozycją...?

– Widzisz... – Toni nie odwracając się, puknął łokciem w drzwi, które zamknęły się z łoskotem. – Mieszkasz tu, odkądżeś się za czaroduchą przywłókł, jesz, pijesz, śpisz, znowu jesz... A oficyna to miejsce dla oficyalistów. Służba się burzy i zwie cię darmozjadem, że baki zbijasz i w siennik pierdzisz, a to każdy potrafi. Ja cię bronię jak lew i mówię, że to nieprawda, żeś ty przecież człek zdatny do roboty, tylko trzeba ci znaleźć zajęcie. Inny pan pewnie by się ciebie pozbył i jeszcze zażądał pieniędzy za mieszkanie i wikt... – Urwał dla lepszego efektu. – Ale wiesz przecie, że ja mam gołębie serce i pozwolę ci to wszystko uczciwie odpracować. A tak się składa, że mi właśnie potrzeba człeka do posług. Zostaniesz moim lokajem.

Chłop rozwarł gębę.

– Słuchaj, Aleksy. To jak drutowanie garnków, tylko łatwiejsze. Umyjesz się, doszorujesz piaskiem, ubierzesz, będziesz czyścił buty, nosił śniadanie i podkładał do kominka. Od czasu do czasu przyniesiesz gąsior z winem albo cygaro. Ot, i cała robota! A jakby ci wrzody na dupie urosły od klątwy czaroduchy, to postoisz chwilę przy drzwiach jak kamerdynier.

Aleksy wciąż się gapił na jaśnie pana z otwartą gębą. Toni, obawiając się wymówek, wyciągnął z rękawa ostatniego asa:

– A za dziećmi tęsknisz?

Chłop zamknął gębę i wykrzywił ją w rogalik. W kącikach jego czarnych jak węgle oczu zabłyśły łzy.

– Jaśnie panie! – wykrzyknął, składając ręce jak do modlitwy. – Toż to dnia nie ma i nocy, bym ich nie opłakiwał i nie modlił się za nie! Dzieteczki moje, jedyna po nieboszczce mojej, po świętej kobiecie pamiątka! Kto to wie, co ta czaroducha z nimi wyprawia? Pewnie do cerkwi ich nie puszcza, bezbożnica, może i zakłęcz jakichś uczy?! – Przeżegnał się zamazyście. – *W imia Otca i Syna, i Ducha Swiatoho*, niechże jej męki pie-

kielne za to nie ominą, amen! Wiedziałem, że jaśnie pan o mojej krzywdzie nie zapomni, jaśnie pan najlepszy ze wszystkich panów!

Toni nie znalazł powodu, dla którego miałby zaprzeczyć. Skromnie spuścił głowę.

– Nie trzeba. – Wyrwał dłoń, którą Aleksy rzucił się całować. – Jeszcze o tym porozmawiamy, ale teraz najdalej za dwie zdrowaśki masz być we dworze. Wykąpią cię, ubiorą...

Druciarz zerwał się z klęczek.

– Wykąpią?! Jak to?! Po co?! Jaśnie panie, przecie daleko do Wielkiejnocy!

Toni wymamrotał pod nosem przekleństwo. Aromat, wzniecony przez gwałtowny ruch ciała Aleksego, świadczył o niechęci do ponadplanowej higieny.

– Za dwie zdrowaśki, powiedziałem. I nie zwykłem powtarzać!

Zatkał nos i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami oficyny.



**P**o wizycie Ezawa Morgenszterna na blacie kancelaryjnego stołu pozostało kilka sobolowych włosów i strzępek weksła, po tym jak rozwścieczona Wiktoria chciała go wyrwać z ręki bankiera. Morgensztern nawet nie mrugnął. Skłonił się z godnością i pomaszerował do wyjścia, lekceważąc goniący go głos Bernarda o lichwiarzach, co nie odziedziczą Królestwa Bożego (wziąwszy pod uwagę przynależność religijną gościa, duchowny nie trafił z cytatem).

Tyszkowska miała ochotę wyrzucić stół. Powstrzymywała ją obawa, że mogłby to usłyszeć Maksymilian, co na dobre zepsułoby tak starannie budowany wizerunek dystygowanej damy.

A więc wszyscy wiedzą? Do tego stopnia jej syn ośmieszył się przed całą szlachtą? Wystawił weksel na tysiąc koron, fałszował kościelne księgi, aby uczynić Katję panną, aż wreszcie Kowalscy wysłali tu swego Żyda z groźbą, że jeśli Antoni nie zapłaci w terminie, sprzedadzą weksel lichwiarzom! Boże, Boże, co za wstyd!

Wiktoria drżącą ręką sięgnęła po karafkę. Nalała wino do kielicha i upiła łyk. Ciepło spłynęło do żołądka.

Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Toni nie tylko wystawił weksel. Z powodu obdartej dziewczki wystawił na sprzedaż reputację całej rodziny, reputację Tyszkowskich i Giebułtowskich! Stracił głowę, pieniądze, jeszcze chwila, a straciłby Pakoszówkę, wioskę, którą ona, Wiktoria, dostała w posagu! I dla kogo się tak wyszastał?! Dla jakiejś brudnej, wiecznie niedomytej diablipy i bisurkani!...

Tyszkowską do tej pory przejmował dreszcz na wspomnienie urocznych oczu Katji, które zanurzyły się w jej duszy jak wiadro w studni. Kobieta z takimi oczami ma biesa pod skórą, bo w jaki inny sposób mogłaby namówić mężczyznę szlacheckiego rodu, by się bez litości rujnował! Boże miłosierny, a ona, jaśnie pani, tak o nią dbała! Podarowała własną suknię, nie dość na tym – ozdobiła ją, obszyła krzyżykami, francuskimi nićmi wydziergała róże wokół dekoltu! Ot, wdzięczność! Chamska wdzięczność! Wszystkiemu pewnie winne księgi, w których Kowalscy pozwolili się jej rozczytywać! Dobrze Wincenty mawiał, że jedyne, do czego warto przyuczać włościan, to widok krowiego ogona przed nosem!

Przechyliła karafkę z węgryzmem i wlała resztkę wina do kielicha. Mało.

Otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz. Któreś dziecko Maciejowej (nigdy nie udało jej się spamiętać ich imion) podbiegło i grzecznie dygnęło.

– Widzisz to? – Wiktoria uniosła pusty kielich.

Rozszerzone oczy dzieciaka potwierdzały, że nie tylko widzi, ale i boi się tego, co może nastąpić.



– Pusty jak twój łeb. Nie wiesz, że wino ma być zawsze na stole? Nie gap się tak, tylko szoruj do piwnicy i pamiętaj: nie pomył butelek!

Dzieciak (teraz dopiero zauważyła, że to dziewczynka w chłopięcej sukmanie) rzucił się w dół po schodach, tupiąc brudnymi piętami. Po chwili smarkula wróciła, niosąc ciężką, wypełnioną rubinowym płynem butelkę.

Wiktoria w akcie łaski przytrzymała otwarte drzwi. Naczynie trafiło na stół, węgrzyn do kielicha, a dzieciak na korytarz.

Wszystko na swoim miejscu. Poza nią samą.

Serce chciało zostać w Zawozie, ale rozsądek nakazywał powrót do Jamnej, by zapobiec szaleństwu starszego syna.

Tyszkowska splotła ramiona i stanęła przy oknie. Nadciągał jeden z tych czarno-białych zmierzchów, zwiastujących nadchodzący śnieg. Mróz, smutek i melancholia wiecznie niegościnnych gór, rozciągających się na horyzoncie jak szczęki drapieżnej ryby.

Któryż to już raz patrzy przez szybę na ziemię swojego dzieciństwa, z lękiem o zasiewy, o zbiory, o pogodę, o zaniedbania oficjalistów, lenistwo chłopów... „Rzuć wszystko i wyjedź w Bieszczady!” – tak kilkadziesiąt lat temu doradzili jej ojcu w Krakowie. Uch! Zabiłaby tych idiotów!

Ten majątek od zawsze spędzał sen z powiek Giebułtowskiem, odkąd jej ojciec wydzierżawił, a potem kupił to dzikie, kamieniste pustkowie, naiwnie spodziewając się czerpać z niego dochody. Wspomnienie Wiktorii z dzieciństwa to wieczne wyrzekanie rodziców na ziąb, wilgoć, komary i upodobanie tutejszych włościan do brudu.

– Jedyne, co by ich wyleczyło z nieochędństwa, to potop! – zwykła mawiać matka. – Przyszłaby wielka woda i zalałaby te zapluskwione chałupy jedną po drugiej!

– I spróbowaliby czegoś innego do picia niż gorzałka – przytakiwał ojciec, bo zawsze matce przytakiwał, i to nawet wtedy, kiedy uparła się, żeby zostawić cały majątek córce.

– Majątek zapisuje się synom albo na kościół – argumentował Adam Giebułtowski, a potem wyliczał: – Zawóz, Pakoszówka, Lalin, Wołkowyja, Górzanka, dochodu mało, ziemia kamienista, życie surowe, a nasza córca delikatna i kocha kwiatki bardziej niż ojcowiznę. Jakże ona sobie z tym poradzi, Rozalko?

– Doskonale! – darła się wtedy Rozalia. – Jako i ja sobie radzę mimo twych długów!

– Będą chcieli się z nią żenić. – Ojciec przełknął zniewagę. – Z nią albo z ziemią. Majątek właściwie poprowadzony mógłby dać niemałe dochody, jak w kluczu rybotyckim u pana Wincentego. Tak sobie myślę, że u niego, duszko, zupełnie jak u nas. I ziemia kamienista i poddani uparci jak kozły, a on...

– Wincenty ma czterdzieści lat! – przerwała matka. – A ona szesnaście! Chcesz dziecko unieszczęśliwić do końca życia?!

Ojciec zaciskał usta i milkł, ale nie na długo. Temat wracał.

I chociaż Rozalia koniec końców postawiła na swoim i zapisała córce majątek, to ojciec również zrealizował swój zamysł.

Wiktoria wychyliła kielich.

– Do końca życia – wyszeptała swojemu odbiciu w ciemniejącej szybie. – Na szczęście nie mojego.



**N**owy sługa budził w Tonim mieszane uczucia. Druciarz doszorowany do czysta piaskiem, ogolony i ubrany w za ciasną liberię po Oktawianie, nagle okazał się niczego sobie chłopem, choć trochę szpeciła go stale otwarta gęba, z której na zmianę ziało serem albo cebulą.

Jak większość werchowyńców, był czarnowłosy i czarnooki, miał szeroką pierś zapadłą od głodu, nieufne spojrzenie i wielkie, podziura-

wione od drutów dłonie, które zwisały mu po obu stronach ciała jak dwie próżne łopaty.

Wszedłszy do sypialni Tyszkowskiego, jęknął i zafascynowany wskazał na porcelanowe naczynie pod łóżkiem. Toni podążył za jego spojrzeniem.

– Aleksey. Lekcja pierwsza. To jest: nocnik. Noc-nik. Wiesz, co to nocnik?

– A skądże mam wiedzieć, jaśnie panie? Jam prosty chłop!

– Aleksey. Nawet chłop prosty jak stojąca fujara rozumie, że nocnika używamy w nocy.

– Ja też?

– Oczywiście. Z tym, że ja do niego sikam, a ty go wynosisz. Mówiłem, że będziesz mieć lekką pracę.

Aleksey podszedł do łóżka, przykucnął. Obejrzał nocnik z każdej strony, powąchał, przechylił, by przypatrzeć się złożonym malunkom, i niechcący wylał zawartość naczynia Antoniemu na spodnie. Tyszkowski dostał szału. Sklął druciarza na czym świat stoi i trzasnął na odlew w gębę. Aleksey zatoczył się na ścianę, uderzył masywnym ramieniem w nocną lampkę i stłukł klosz. Jednocześnie czołem trącił jelenie poroże, które spadło na stolik przy łóżku i rozbiło zabytkowy wazon po babce Giebułtowskiej, trzy gipsowe figurki oraz kryształowy kieliszek.

Toni obiecał sobie, że więcej druciarza nie uderzy.

Przebrał spodnie, zapalił cygaro i poprosił przymilnie:

– Zejdź mi, kurrrrrwa, z oczu.

Aleksey umknął za drzwi, ale zjawił się pół godziny później, skruszony, zapłakany, błagając o wybaczenie. Toni wspaniałomyślnie mu wybaczył, a wtedy Aleksey otarł oczy i wysmarkał nos w naścienny kilimek po pradziadku Mikołaju, który pod Hodowem – jak głosiły kroniki pisane pod dyktando zwycięzców – jedną ręką dwustu Tatarów położył.

Tyszkowski naprowadził stopę na zad Aleksego, jednak w ostatniej chwili pamięć o niedawnych zniszczeniach powstrzymała go przed wy-

mierzeniem kary. Otworzył drzwi i kazał chłopu natychmiast wynosić się do Birczy, a następnie poświęcić życie drutowaniu przypalonych patelni. Aleksy posłusznie się wyniósł, ale nie upłynęła minuta, kiedy zaczął szarpać klamkę i solennie zapewniać o swej poprawie. Toni zmiękł.

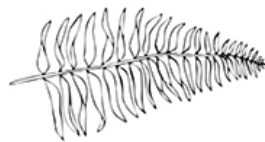
Nakazał Aleksemu pójść do spiżarki i przynieść węgryzna z cygarem. Aleksy zjawił się po kwadransie, dzierząc kielich w brudnej dłoni (Tyszkowskiego gnębiły wątpliwości, czy druciarz umył ręce po zapasach z nocnikiem, ale wołał nie pytać). W szkle czerwieniło się wino, z rubinowego płynu zaś wystawał koniec cygara. Wrzeszcząc ile sił w płucach, że węgryzn z cygarem to nie to samo, co cygaro w węgryzynie, Toni przeżył najpoważniejsze jak do tej pory zwątpienie w kompetencje swego nowego lokaja i zwyzywał Aleksę od kretynów. Wysiorbał wino przez zęby, odcedzając w ten sposób strzępki tytoniu, wygłosił litanię przekleństw po polsku, niemiecku i rusińsku oraz w kilku innych, gorzej znanych sobie językach, i warknął:

– Wiem już, dlaczego zostałeś druciarzem. Jesteś prosty jak drut. Jak to mówią: ciągnie swój do swego.

– Druciarze mówią: ciągnie swój za swego – wyjaśnił Aleksy, a wtedy Toni roześmiał się na całe gardło.

Tym oto zdaniem druciarz zapewnił sobie intratną posadę, Tyszkowski zaś zdobył lokaja kretyna i absolutną pewność, że dla takiego męża jak Aleksy Katja nie wróci do Jamnej.

Musiał wymyślić inny sposób.



*P*rzystanek na drodze, więc piszę, choć pisanie tym piórem to czysta pokuta. Musiało któreś dziecko Maciejowej na stalówkę nadepnąć, ale cóż zrobić z włościańskimi diabłami, kiedy wszędzie ich pełno, a wytruć nie sposób...

Wiktoria zanurzyła pióro w podróżnym kałamarzu i odczekała chwilę, aż nadmiar atramentu skapnie z powrotem do buteleczki. Pisanie w powozie nie było zbyt wygodne, ale czymś trzeba było zabić wlokące się godziny. Przytknięta do papieru stalówka zaskrzypiała i w zeszycie pojawił się niewielki kleks. „Angielski szajs” – pomyślała Tyszkowska pod adresem swojego gillotta i doskrobała zdanie do końca:

*...i nie przeczę, bierze mnie ochota dosypać im boraksu do jedzenia. A tymczasem jestem w drodze do Jamnej, choć słowo „droga” nijak się ma do błota, z którym musi się rozprawić mój nieszczęsny kocz. Pogoda niegodziwa: śnieg z deszczem, gruda i miejscami bagno, tak że już trzy razy przebyłam spory kawałek piechotę, aby Jacenty koni z wozem nie potopił. Przydałoby się więcej słońca, bo przy dobrej pogodzie można ziemię podorywać pod len i konopie, ale to już zostawiam na głowie Milusia...*

Tu znowu pojawił się kleks, więc Tyszkowska wytarła stalówkę i zawięła pióro w aksamitny, haftowany w róże gałganek.

Wyjrzała przez okno powozu. Konie odpoczywały, ich dereszowate łby na zmianę zanurzały się w workach z obrokiem, Jacenty pykał fajkę, patrząc ze wstrętem na rysującą się przed nimi, podmokłą wstęgę drogi. Wiktoria spojrzała w przeciwną stronę, w kierunku porzuconego przed dwoma dniami Zawozu. Serce chciało wracać, wyrывało się jak głupi szczeniak, ale na szczęście jasnie pani miała dość sił, by założyć mu smycz, kaganiec i kazać leżeć.



**R**ok 1851 miał być kolejnym rokiem, kiedy pani Rozalia wyjeżdżała na wilegiatury do Truskawca, zostawiając Zawóz pod opieką swej niedawno owdowiałej córki.

To wtedy zjawił się Maks. Cichy, przygarbiony, o błękitnym, ostrożnym wejrzeniu zaszczutego kundla. Odkąd Wiktoria spojrzała w te

oczy, wystraszone i wdzięczne, odkąd dostrzegła sine dłonie, od razu odgadła, kto zacz.

Mężczyzna przyczołgał się do Zawozu w środku zimy, w jednej szaraczkowej, zdartej do cna kapocie, z odmrożonymi rękami, które nawet teraz, gdy je zaciskał, straszły niebieskawym, trupim odcieniem skóry. Jasna broda skrywała rysy twarzy. Mówił z chrypką i chudy był jak niedźwiedź na przednówku. Tyszkowska do tej pory pamiętała, jak w półmroku jadalni pożerał pierogi polane skwarkami, a ona śmiała się z jego tłustych, sinych palców, które ukradkiem wycierał o obrus.

– Zupełnie jak moi synowie! – zachichotała, podając mu serwetkę.

Przerwał jedzenie.

– Acani ma synów? – wtrącił zdumiony. – Jak to?! Przecież pani nie może mieć więcej lat ode mnie!

Wiktoria podziękowała w myślach świecom, które litościwie obeszły się z jej zmarszczkami. Mimo wszystko postanowiła być uczciwa.

– Mam dwóch synów. Starszy, Antoni, zbliża się do trzydziestki, ale do ustatkowania się jest mu jeszcze daleko. Gorąca krew, fantazja i skłonność do awantur ciągle biorą w nim górę nad rozsądkiem. Za to młodszy o pięć lat Józef to mój skarb i pociecha na starość. Czułe, dobre, chrześcijańskie serce i wyśmienity gospodarz. Charakter odziedziczył po swym świętej pamięci ojcu. Codziennie dziękuję Bogu, że w niczym nie przypomina brata. – Złożyła ręce jak do modlitwy.

– Skoro młodszy syn odziedziczył charakter po ojcu, to starszy musiał po matce.

Zaskoczył ją. Pokryła zmieszanie uśmiechem.

– Proszę mi wybaczyć – zmitygował się natychmiast gość. – Odzwyczaiałem się od żartów właściwych dworskiemu domowi.

Oczywiście wybaczyła. Pozwoliła mu ucałować dłoń w ramach przeprosin i zjadła pieróg – jeden jedyny, żeby nie popsuć swej młodzieńczej talii.



Młodzieniec wrócił do dziobania widelcem w talerzu, a Wiktoria zapatrzyła się na jego lśniące od boczku usta. Wtedy zdecydowała, że chłopiec dostanie status rezydenta i narożny pokój z oknem na ciemny kąt podwórza, skąd można uciec niezauważonym. A także dodatkowe pierogi polane boczkiem i szampan dla uczczenia tak niespodziewanego spotkania.

Istotnie szampan nadszedł, ale sam poczęstunek daleki był od tego, co wyobrażała sobie Wiktoria. Huk wyskakującego korka przeraził młodzieńca tak bardzo, że zerwał się od stołu i z twarzą nakrytą rękami padł na podłogę, tuż pod stopy swej dobrodziejki.

W jadalni nastąpiła cisza i dopiero pod dłuższej chwili Tyszkowska ośmieliła się ją przerwać.

– Od jak dawna cię ścigają? – spytała i wyrwała mu z palców rąbek sukni, którą niczym przerażone dziecko nieświadomie chwycił, żeby nakryć głowę.

– Od trzech lat – odparł prawie szeptem. – Strzelali do mnie, dlatego tak się przeraził... Niechże mi pani wybaczy niegodne zachowanie.

– Wstań, proszę.

Wyprostował się, drżąc na całym ciele.

– A teraz usiądź i opowiedz mi wszystko.

Poklepała siedzisko sąsiedniego krzesła. Chłopak przycupnął na nim, krzyżując nogi i zaciskając wciąż drżące dłonie.

– Uciekłem ze Spielbergu, dokąd wsadzili mnie za roznoszenie ulotek na uniwersytecie – rozpoczął po długim milczeniu, a jego charakterystyczna chryпка szeleściła wśród ciężkich purpurowych kotar zasłaniających śnieżną burzę za oknem. – Czterdziesty szósty rok pozbawił mnie złudzeń, że siedemnastolatka nie można skazać i osadzić w twierdzy bez sądu. I tak żyłem prawie dwa lata. W ciemności. Spałem z cegłą pod głową, tygodniami nie miałem do kogo otworzyć ust, a jeśli otworzyłem, to tylko po to, aby jeść resztki, którymi wzgardziłyby śwynie...

Czekała na ciąg dalszy, ale w przedłużającej się ciszy odważyła się za-  
pytać:

– Twoja matka wie, gdzie jesteś? Wie, że żyjesz?

Pokręcił głową.

– Nie. Lepiej, żeby nie wiedziała. Żandarmi mogą uprzykrzyć życie całej rodzinie. Wiem, że konfiskują majątki rodzinom emisariuszy. Nie wziąłbym na swoje sumienie nędzy rodziców i moich sióstr.

Nie pytała więcej. Kazała mu wracać do stołu, a następnego dnia na pytanie służby, czy podać szampana do obiadu, zarządziła wino. Jedli więc we dwójkę: ona – wciąż piękna, blisko pięćdziesięcioletnia cesarzowa galicyjskich włości, i on – emisariusz, herbowy potomek możnej rodziny Nałęczów i zbiegły więzień, którego ścigał cały austriacki garnizon.

Wspólne obiady w starej, obwieszanej zetłalymi gobelinami jadalni Giebułtowskich, gdzie kolumnowy zegar wydzwaniał godziny, a bezszelstna, wytresowana służba donosiła wino, na zawsze zmieniły życie szanowanej wdowy. Za oknami szalała lutowa zamieć, na obrus leniwie kapały świece, a w ich blasku oczy młodzieńca nabierały coraz więcej powabu.

Pod koniec lutego pani Wiktoria zauważyła, że zachrypnięty głos przybysza nadzwyczajnie ją koi i uspokaja, a na początku marca, że potomek Nałęczów potrafi z pamięci recytować Morsztyna. Gdzieś w okolicy Wielkanocy zachwycił ją głośnym czytaniem wierszy, grą na klawikordzie i uśmiechem, w którym odbijała się najczystsza wdzięczność dla wybawicielki. W dodatku nie brakowało mu zębów i nic mu się nie trzęsło, co Wiktoria – jako długoletnia żona starego męża – odnotowała ze szczególnym upodobaniem.

Obserwacja ta doprowadziła do kolejnej, brzemiennej w skutkach decyzji, albowiem pani Tyszkowska nagle poczuła się kobietą atrakcyjną (nie tylko przy świecach), majątną i spragnioną uwagi. „Potrzebujesz adoracji jak Najświętszy Sakrament” – zabrzmiały jej w uszach słowa

Wincentego, ale Wincenty od zawsze był mistrzem zohydzenia uroków życia.

– Co byś powiedział na to, żeby zostać rządcą w Zawozie? – spytała przy którymś z obiadów.

Młodzieniec znieruchomiał nad pierogami.

– Pani żartuje – wyjąkał po chwili. – Nigdy nie zarządzałem majątkiem. A onegdaj wspomniała pani, że całą tutejszą administrację przejął młodszy syn.

– Jesteś pracowity, uczynny i skromny. – Wiktoria wypuściła strzałę, choć akurat te cechy młodzieńca znajdowały się teraz na końcu jej zainteresowań. – Wystarczą tve dobre chęci, a zdobędziesz doświadczenie. Między Bogiem a prawdą, Sepek administruje dobrami babki, ale ciągle skarży się na brak czasu. Ma przecież cały klucz rybotycki na głowie, a tu miesiącami nie zagląda, bo daleko i przy złej pogodzie po kilka dni trzeba jechać w jedną stronę! Czasem proszę go o radę, ale... – Westchnęła teatralnie – Spójrz na ten nieład! Moja matka się starzeje, Żydzi obsiedli wszystkie arendy, zajeżdżają co rusz, żądając zwrotu długów... Przydałaby się energiczna, męska ręka, aby posiadłość na nogi postawić. Nie bój się. Nasz poczciwy Maciej do wszystkiego cię przyuczy.

Mężczyzna pochylił twarz nad pierogami, a Wiktoria obejrzała dokładnie jego ciemne, rozłożyste brwi. Postanowiła, że od dziś będzie nakładać mu większą porcję, żeby dłużej trwał w tej pozycji.

– Nie chciałbym zawieść jaśnie pani – bąknął i to był sygnał dla Tyszkowskiej, by sięgnęła po mocniejszy argument.

– Mój drogi. – Dotknęła jego ręki i z przyjemnością odczuła delikatne drgnięcie. – Bycie rządcą to nie tylko obowiązki. To także zamknięcie ust tutejszym oficjalistom, służbie i włościanom. Jak długo będę mogła wiarygodnie tłumaczyć twoją obecność? Rządca to ktoś! Jeśli, nie daj Boże, zjawią się tu żandarmi, nikt nie poweźmie najmniejszych podejrzeń co do ciebie i do funkcji, jaką pełnisz we dworze. Mój świętej pamięci mąż ukrywał powstańców i wiele razy miał do czynienia z au-

striackim garnizonem. Znam dobrze żandarmów. Są nieustępliwi jak gończe psy.

Milczał, przeżuując tę wiadomość wraz z pierogami.

Wiktoria miała obawy, czy nie pospieszyła się aby za bardzo, ale na szczęście młokos zareagował prawidłowo. Znalazł jej dłoń, uniósł i przycisnął żarliwie do ust.

– Jesteś, pani, aniołem – wyszeptał wzruszony.

Błysk triumfu w oczach Wiktorii jakimś cudem umknął uwagi chłopca. Jaśnie pani przybrała ton bezbronnego dziewczątka, w którym ćwiczono ją przez całe życie.

– Nie, mój drogi. Aniołowie to bezcielesne istoty o miękkich duszach, a ja jestem kobietą z krwi i kości. I dlatego... – Dotknęła opuszką palca dolnej wargi swego nowego oficjalisty.

„Umieram z ciekawości, jak smakujesz”.

– ...dlatego potrzebuję kogoś, kto pomoże słabej niewieście przywrócić tu ład i porządek – dokończyła z matczynym uśmiechem.

Cofnęła palec, bo tak wypadało. Przynajmniej tym razem.



**T**rójcecka cerkiew pękała w szwach. Mimo wysiłków księdza Podlaskiego, by o chrzcinach małej Anielci wiedziano jak najmniej, mimo że wstydliwie wyprawiono je w środku tygodnia, do świątyni zwała się cała wieś. Bracia Tyszkowscy, którzy zajechali pod dom boży wspaniałym powozem, oficjaliści i cała dworska służba z ochmistrzynią na czele stanowili nie lada widok dla spragnionych sensacji włościan. Głowy, zwykle tak pokornie zwieszane przed jaśnie panami, uniosły się teraz i śmiało patrzyły im w oczy.

Zawistne spojrzenia szarpały złoty warkocz Ludmiły i kłuły jej plecy osłonięte drogą, haftowaną czerwonym jedwabiem chustą – najpewniej prezentem od dziedzica.

Szeptano, że kochanka Tyszkowskiego nie roztyła się po drugiej ciąży i niewątpliwie to taka sama diabelska sztuczka, jak wstrzymanie krwi po urodzeniu tego bękarta, Anielci.

Józef Tyszkowski, sprawca całego zamieszania, nie ściągał na siebie złych spojrzeń, bo jak zwykle przypominał uosobienie cnoty. Wysoki, poważny, łagodnie uśmiechnięty, w garniturze tak odprasowanym, że przy wkładaniu spodni chyba cudem nie pokaleczył się o kanty, przewyższał wszystkich o głowę. Wzrok miał wbity w tetrapod z krzyżem, ikoną i przeraźliwie kopnącą świecą. Czarne oczy błyszczały mu od wpatrywania się w płomień, a może od łez, które chciał ukryć.

Stojący obok brata Antoni ubrany był równie wykwintnie, jednak każdy z obecnych mógł zauważyć, że jaśnie pan wyraźnie cierpi. Szarpał kołnierzyk, wzdychał, przestępował z nogi na nogę, ścisnął oburącz rękę z wilczą głową, a przy tym lustrował w tę i z powrotem tłum wierzących.

– Zeza dostaniesz – szepnął Józef.

– Widzisz ją gdzieś?

Sepp, korzystając z przewagi wzrostu, wolno rozejrzał się dookoła. Zaprzeczył.

Toni znowu przeczesał mrowie włościańskich głów rozpaczliwym wzrokiem.

Na wprost miał swoją chłopską „bratową” Ludkę, wpatrującą się skromnie we własne stopy, jak przystało matce w grzechu poczętego dziecięcia. Choć Toni nie pochwalał rozcieńczania szlacheckiej krwi, nie dziwił się bratu, bo chłopka była urodziwa, potulna, a w dodatku nie obnosiła się zażyłością z dziedzicem. No i zawsze przy ludziach zwracała się do Sepka „jaśnie panie”, co szczególnie podobało się Toniemu, bo wiadomo przecież, że chędożenie nie zwalnia od szacunku.

Obok Ludmiły wiercił się Dmytro – wcześniejszy o siedem lat owoc Józusiowej rozpusty – i w chwilach, gdy paroch patrzył w inną stronę, trącał łokciem Petrusia, syna Sabiny, z którym zaciekle kopali się po kostkach. Bójkę łagodził ksiądz Stumpfoll, posykurując na chłopców, gdy zachowywali się za głośno.

Stumpfoll był katolickim księdzem, a do tego najlepszym przyjacielem księdza Podlaszeckiego (czym narażał się przełożonym). Kapłan między posykiwaniami zerkał na niezbyt urodziwą księżową Podlaszecką, niewątpliwie gratulując sobie wybrania drogi zawodowej we właściwym obrządku. Ściany cerkwi podpierali włościanie, a wśród nich, jak śliwka w schabie, tkwiła grupka kostycznych, zasuszonych od postów i modlitw jejmości z okolicznych dworów, w których można było rozpoznać guwernantki, ubogie krewne, damy do towarzystwa i inne niewieście darmozjady. Udając nabożne skupienie, plotkowały, aż świszczało w uszach.

Toni wyłapał pochlebne zdanie o urodzie Sepka, pogardliwe o wybrance brata („brzydka nie jest, ale żeby taką chustę do cerkwi nakładać?!”), cała zaś reszta dialogu stanowiła zbiór inwektyw, kąśliwości i spostrzeżeń dotyczących „rozpustnego prowadzenia się państwa hrabiów”. Wśród pytających języków wybijał się zwłaszcza jeden, należący do Konstancji Méchante, bony Augusty Kowalskiej, która to Augusta od lat bez powodzenia pretendowała do roli narzeczonej braci Tyszkowskich – nieważne, Józefa czy Antoniego, bo przecież obaj mieli dużo pieniędzy.

– Słyszałam, że pod pretekstem wizyt gospodarskich we wsi bezeczeństwa rozmaite się odbywają – zasyczała bona do niejakiej pani Janiny, której główną rozrywką było donoszenie księdzu Stumpfollowi, kto opuścił poranną mszę. – I nie mówię bynajmniej o panach Tyszkowskich, ale o jaśnie pani! Słyszałam, że dlatego u matki, pani Rozalii, w Zawozie siedzi, bo przygarnęła jakiegoś gołysza, co to jest teraz niby rządcą! Czym zarządza, to tylko się domyślać można!



– Pani kochana! – Pani Janina aż się zaplęła ze szczęścia. („Pewnie ja-  
dem” – pomyślał Toni.) – Toż to ja znam sprawę z pierwszej ręki, bo nie-  
jaka Maciejowa, co jest ochmistrzynią w Zawozie, jest krewną naszej  
garderobianej, i co ona opowiada, to aż się włos jeży! Pani sobie po-  
stawi, że ten rządcą to jakiś żebrak i oberwaniec, co przylazł nie wia-  
domo skąd! A kto wie, czy kogo nie zamordował albo nie okradł, bo wy-  
staw sobie, kochana pani, że chciano mu imię zmienić!

W kręgu niewiast rozległy się zgorszone westchnienia.

– Maciejowa poszła spytać pani, co zaordynuje na podwieczorek – nie  
to, żeby specjalnie stała pod drzwiami, nie jest przecież niedyskretna  
jak inne sługi – i nagle słyszy: „Niedobrze, by pana pod prawdziwym  
imieniem i nazwiskiem znano. Mroczkowski, bo po zmroku pan przy-  
szedł. A jakie pan chciałby imię?”. A on mówi: „Sędziwój, bo tak miał na  
imię alchemik, co ołów zmieniał w złoto. I tak ja z ołowianego ciężaru  
dzięki pani zmienilem się w cennego sługę”. Na co pani w śmiech i po-  
wiada: „Niechże będzie Sędziwój, oby tylko służba sobie nie dworowała,  
bo przecie rządcą musi mieć posłuch i szacunek!”. I musiała pani w złą  
godzinę wymówić, bo...

Choć Toni wyteżył słuch, nie wyłapał dalszej części zdania, ale z pew-  
nością mógł zgodzić z panną Janiną o wymówieniu w złą godzinę.  
Plotki z majątku babki Rozalii rozprzestrzeniały się szybko i nawet  
w Jamnej wiedziano o zażyłości matki z rządcą... Imię Sędziwój służba  
szybko przechrzciała na Swędziwór, co dało do myślenia całej okolicy, ja-  
kiego rodzaju talenty przejawia młody oficjalista. Wkrótce nieszczęsny  
Sędziwój odszedł w zapomnienie, a babka ogłosiła, że jej majątkiem za-  
rządza niejaki pan Maksymilian. I tak narodził się Maksymilian Mrocz-  
kowski.

– Skandahiczne zachowanie! – zagrajserowała Konstancja. – Hhabio-  
stwo stanowczo pozwalają sobie na zbyt wiele, ale cóż: *on choisit ses amis,  
on ne choisit pas sa famille*<sup>[1]</sup> – podsumowała w ojczystym języku i po tej  
puencie, z której nic a nic nie zrozumiały jej towarzyszki (co nie prze-  
szkodziło im uroczo zachichotać), cała grupka umilkła.

Toni ziewnął. Bolały go nogi, a podsłuchiwanie rozplotkowanych bab uważał za rozrywkę godną ludu. Wciąż oczekiwał, że spotka tę, dla której tu przyszedł, choć pomału tracił nadzieję. Zdawało mu się, że słyszy szelest dziurawych trzewików, ale to cerkiew szeleściła od modlitw, oddechów, stłumionych beknięć i kaszlnięć.

Odkąd Toni pamiętał, męczyły go poważne uroczystości, czuł dreszcze na myśl o wyjściu z cerkwi i tych wszystkich: „Jakże zdrowie szanownej pani? Czy ischias czcigodnego małżonka nie daje się zbyt w znaki?”. Uch! Gdyby grzecznościami można było rzygać, napęłniłby ze cztery świńskie koryta.

Dlatego z pewną sympatią zerknął na swoją włościańską bratanicę, która miała gdzieś całą ceremonię i darła się jak opętana, nie zważając ani na księdza, ani na uspokajające cmokania rodziców chrzestnych. Sabina i stojący obok niej oficjalista Wierzbicki mieli wystraszone miny. Jak nakazywał obyczaj, czekali w przedsionku cerkwi, kołysali wrzeszczącą Anielkę i udawali, że mimo krzyku rozumieją słowa wymawiane przez księdza.

– *Czy widrikajesz sia satany?* – zaintonował paroch melodyjnym barytonem i zaraz podniósł głos o kwartę, bo Anielka całkowicie go zagłuszyła.  
– *I wsih dił joho?!<sup>[2]</sup>*

Sabina szybko zakołysała dzieckiem, a Wierzbicki pochylił się z groźną miną nad zawiniątkiem.

Anielcia wykorzystała okazję i szarpnęła ojca chrzestnego za sumiasty wąs. Wierzbicki zachwiał się, łzy napłynęły mu do oczu. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nie zaklął, tylko delikatnie wyrwał zarost z małej piąstki.

– *Widrykajusia!<sup>[3]</sup>* – wymówił zduszonym głosem, a Sabina mu zawtórowała.

– *I wsih anielił joho?!<sup>[4]</sup>* – zagrzemiał ksiądz.

– *Widrykajusia!*

– *I wsioho służinnia joho i wsiiej hordyni joho?<sup>[5]</sup>*

– *Widrykajusia!*

Sabina zakołysała Anielcią, wywołując kolejną porcję wrzasku. Zgodnie z kościelną procedurą wraz z Wierzbickim odwrócili się w stronę ołtarza.

– Egzorcyzmy ksiądz odprawił, ale szatana nie wypędził – zaświszczał nagle głos pani Janiny.

– Zły w dziecko wstąpił i nie chce wyjść! – dodała Konstancja.

Józef – do tej pory milczący – odezwał się głośnym szeptem:

– Ciszej tam! To dom boży, nie jarmark!

Przez tłum przebiegł szmer. Ksiądz Podlaszecki otworzył usta, ale zgromiony spojrzeniem dziedzica tylko westchnął i kontynuował ceremonię.

– *Czy zjednujeszja z Chrystom?* – spytał chrestnych.

– *Zjednujusia!*

Podlaszecki zgodnie z liturgią powtórzył pytanie po raz drugi i trzeci, Sabina i Wierzbicki po raz drugi i trzeci przytaknęli, po czym wolnym krokiem ruszyli w stronę ołtarza. Dziecko wciąż płakało.

– A lud powiada, że jak szatan raz przystęp do dziecka dostanie, to i matkę jego zgubi za grzechy, bezceństwa i sromotę...

Ludka zasłoniła dłonią usta i rozpaczliwie spojrzała na ojca swoich dzieci. Antoni w porę przytrzymał brata za łokieć.

– Spokojnie, Sepp – syknął. – Nie rób awantury.

– Jak śmia?! Przyjechały tu strzępic języki! Podłe, obłudne babska! Że też takie śmia psuć święto mojej córce!

Ksiądz rzucił wściekle spojrzenie jaśnie panom. Sepp popatrzył pod nogi, a Toni – księdzu w oczy i zaczekał, aż ten spuści wzrok.

Podlaszecki zaintonował modlitwę. Nagle urwał.

Zaniedbana starowina, najpewniej cuchnąca, bo ludzie odskakiwali od niej jak od zadzumionej, przepychała się przez tłum, torując sobie drogę sękatym kijem. Kroki miała niepewne, trzęsa się i potykała.

Wierni odmawiali *Wierzę w Boga*, zegnali się z namaszczeniem, a każdy spoglądał na babę z góry, tym szczególnym rodzajem pełnego wyższości wejrzenia, jakie ma natchniony modlitwą człowiek nad profanem.

– Matko Przenajświętsza, *Isusyku Nebesnyj*, ludzie dobrzy! – zaskrzy-piała nagle starucha, mącąc świętą ciszę. – Miedziaka zgubiłam! Na po-rannej mszy! Z głodu przyjdzie mi zemrzeć... Może kto widział, może kto nadepnął? Ulitujcie się, dobrzy ludzie!

Stuknęła kijem o posadzkę, wywołując na twarzach dobrych ludzi grymas cierpliwości wystawionej na ciężką próbę. Wieśniaczka była najpewniej ślepa, jej czerwone załzawione oczy daremnie rozglądały się za utraconym skarbem. Podlaszecki z kwaśną miną powrócił do prze-rwanej modlitwy.

– Ludzie miłościwi, ulitujcie się nad ślepą nędzarką... – zajęczała sta-rowina na tle księżowskiego basu. – Przednówek przecie, głód wydziera żołądek pazurami! Ludzie! W domu bożym jesteście, a serce zostawili-ście przed drzwiami!

Kij trącił wypolerowany bucik księdzówny Podlaszeckiej. Dziewczyna zmierzyła babcię spojrzeniem pełnym takiej wściekłości, że sam Toni nie zrobiłby tego lepiej.

– *Zabirajsja zwidsy!*<sup>[6]</sup> – wysyczała po rusińsku. – Stara cholero!<sup>[7]</sup>

Latorośl świątobliwego cieszyła się sporym posłuchem, więc wierni natychmiast odskoczyli od kobieciny. Toniemu przemknęło przez myśl, że los tej biedaczki zależy poniekąd od jego jaśniepańskiej łaski, ale w surducie miał akurat krajcary, a nie miedziaki, i nie zamierzał ich marnować.

– Oto wasz pieniądz, mateczko – rozległ się nagle cichy szept i Toni poczuł, jak wszystkie włoski porastające jego przedramiona stają na baczność.

Zamarł. Odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos.

Szczupła dziewczyna w połatanym odzieniu podeszła do żebraczki. Jej oczy miały kolor przejrzystej wody, chude ramię wystające z dziura-

wej sukni raziło bielą, a długi do kolan, gruby warkocz wyglądał jak wytarzany w popiele. Gdy Toni widział ten warkocz po raz ostatni, zapamiętał, że miał chęć go złapać, okręcić wokół nadgarstka i powlec wraz z właścicielką prosto do swojej sypialni.

A teraz ta sama dziewczyna stała na wyciągnięcie ręki, nieświadoma jego szacownej obecności i szukała czegoś w zanadrzu swej lichej sukieneczki. Wyłuskała krajcara i włożyła go starowinie w dłoń. Żebraczka rozmaśliła się w bezzębnym uśmiechu.

– Niechaj cię aniołowie wynagrodzą za twą dobroć, serdeńko! Myślałam, że zgubiłam miedziaka, a to był krajcar! Ech, ta nieszczęsna ślepotka!

– Schowajcie dobrze. Szczęście, że mateczka w cerkwi pieniądz zgubiła, bo przecie tu nikt nie kradnie, gdy Bóg patrzy.

– Bóg patrzy na tych, co święte obrzędy kalają gadaniem o pieniądzach! – warknął ksiądz.

Słowa zadźwięczały głośno w nagle powstałej ciszy. Katja, zgromiona spojrzeniem Podlaszeckiego, błyskawicznie skryła się w tłumie. Toni poczuł ucisk w skroniach. Zacisnął palce na gałce laski, aż zatrzeszczała. Brat trącił go w ramię.

– Teraz ty nie rób awantur – mruknął Józef. – Schowaj się za mnie, bo jak cię zobaczy, to ucieknie. I nie gap się tak, bo jej dziurę w plecach wywiercisz.

– Inną bym wywiercił. Niżej.

– Nie do wiary, jak w dojrzałych latach się gust odmienia. Zawsze lubiłeś przy kości i cystate. Jak ty do niedawna na takie panny mawiałeś? Chodzące płaskodupie...?

– Zawrzyj się, acan.

Starucha, tłukąc kijem po podłodze (a czasem i po kostkach wierznych), zawróciła w kierunku wyjścia. Katja ruszyła za nią. Toni wyzieraający zza ramienia brata zauważył, jak dziewczyna troskliwie podtrzymuje żebraczkę za brudny łokieć.

– Płaskodupie pół biedy, ale ona stale chuda jak tyczka – wyszeptał Seppek bratu na ucho. – Można fasolę sadzić.

– Zamkniesz się wreszcie?

– Może głodna? W leśniczówce się nie przelewa. Sam Walerka wysłałem pod Labin Kut, żeby kłusownictwo wytępił, a przy okazji trochę mięsa przywiózł. Może ci tę chudzinę wreszcie odkarmi... No co? Martwię się o ciebie.

Szept musiał dobiec uszu aptekarki, bo nagle się odwróciła. Toni skrył się za bratem.

Józef wykonał uprzejmy ukłon, a drobna twarz Katji rozkwitła w uśmiechu na widok dziedzica. Dziewczyna zarumieniła się. Szybko i jakby kokieteryjnie – tak przynajmniej wydało się Antoniemu – zasłoniła włosami okaleczone ucho.

– Co się tak szczerzysz? – warknął do Sepka. – Masz za dużo zębów?

– Jestem tylko uprzejmy.

– Dla Ludki też byłeś. A teraz chrzciny wyprawiasz.

Nagle urwał, bo Katja ujęła ramię zebraczki i pociągnęła ją do wyjścia. Choć ceremonia jeszcze się nie skończyła, Antoni odczekał chwilę, a potem rzucił się w ślad za aptekarką. Parł przed siebie, depcząc po stopach, obutych i bosych, i roztrącając grupki włościan.

Szczęśliwie Katja nie obejrzała się.



Takiego powitania się nie spodziewała. Owszem, stajenny wyprzągnął konie, a zezowaty przygłup zajął się powozem, ale po bagaże nie wyszedł nikt. Na pytanie, gdzie służba i panowie dziedzice, zezowaty wyjąkał tylko, że wszyscy są w cerkwi, a jemu kazali pilnować obejścia i nic więcej nie wie.

Wiktorię zdziwiła gorliwość obu synów. Nagle w środku tygodnia poczuli taką potrzebę modlitwy, że popędzili na mszę do cerkwi? I to nie do jamneńskiej cerkwi Świętego Michała Archanioła, tylko do cerkwi Świętej Trójcy! Nie bacząc na to, że wszyscy Tyszkowscy należą do rzymskiego Kościoła...? Zdumiewające!

Podążyła kmiotkowi płaszcz i weszła do dworu. Zmęczona, ogłuszona turkotem powozu najpierw udała się do kuchni, która – ku jej zdumieniu – świeciła pustkami, a potem do salonu. Boże, co tu się dzieje?! Ani żywego ducha!

Dom prezentował się schludnie i czysto, jednak w oczy rzucały się liczne ślady męskich zabaw: poplamione winem obrusy, stłuczona szyba w serwantce, brakujące filizanki z kompletu po babce czy w końcu damski koronkowy gorset, rozerwany i wciśnięty pod kanapę.

– Tońcio – stwierdziła na głos.

Zaburczało jej w brzuchu. Stłumiła wściekłość na nieobecność kucharkę i pełna złych przeczuć weszła na piętro, do sypialni starszego syna. Głucho i pusto. Rozbebeszona pościel piętrzyła się na kolumnowym łóżku z baldachimem, a rozbity klosz nocnej lampki straszył szczerbatym cieniem.

– Antoni! – zawołała, ale odpowiedziało jej tylko echo.

„Nicpoń, niecnota i w dodatku brudas” – pomyślała o własnym dziecku i trząsnąwszy drzwiami, wyszła na korytarz. Zamarła.

Po schodach wspinał się nieznajomy, ponury osobnik o krzywo ciachniętych sierpem włosach i dzikim wejrzeniu człowieka gór. Miał na sobie za ciasną liberię Oktawiana i gryzł coś okrągłego, ciamkając przy tym jak koń.

Na widok Tyszkowskiej dzikus spokojnie schował do kieszeni nadgryzioną przekąskę, po czym przyklęknął na kolano, ucałował skraj jej sukni i zastygł w tej pozycji, dopóki Wiktoria nie kazała mu wstać.

Mężczyzna podniósł się na całą wysokość, a Tyszkowska poczuła wydobytą z kieszonki haftowaną liberii cebulową, wyciskającą łzy



z oczu woń. Placki brudu za uszami i czarne, pobrużdżone dłonie upodabniały go do zbiegłego dusiciela. Wiktoria po raz nie wiadomo który tego dnia skłęła w myślach starszego syna.

– Coś ty za jeden?

– Sługa jaśnie pana Antoniego, proszę wielmożnej pani. Zwą mnie Aleksy.

– Sługa pana Antoniego?! Też coś! A gdzie Oktawian?

Chłopisko wzruszyło ramionami.

– Ja żem, proszę jaśnie pani, żadnego Oktawiana nie widział. Ale owszem, pani ochmistrzyni mówiła, że nie dalej jak w zimie pan Antoni zezłościł się na lokaja i wywiózł go do lasu w samych za przeproszeniem gaciach i pantoflach. A potem chciał, żeby ten lokaj wrócił, ale lokaj nie wrócił. I tak znalazł mnie. – Z zadowoleniem pociągnął usmoloną łapą za guzik liberii. – I wtedy żem dostał to ładne ubranie...

– Od kiedy służysz jaśnie panu?

– Będzie jakieś... – Chłop rozcapierzył palce i z wyraźnym wysiłkiem policzył do pięciu. – ...o, tyle dni i jeszcze ze dwie ręce.

Tyszkowska wzniosła oczy do sufitu. Oktawian był przynajmniej czysty, potrafił się grzecznie odezwać. A ten brudas?! Boże, czy niewiasta jej rodu naprawdę może upaść tak nisko, żeby mieć za synowe chłopki, a za służbę cuchnącego chama?!

Dopisała w myślach jeszcze jedną sprawę do wyjaśnienia z Antonim i przeganiając gestami wszechobecny zapach cebuli, zeszła na parter. Przez chwilę pomyślała, aby poprosić Aleksego o zrobienie herbaty, ale nie wiadomo dlaczego przed oczami stanął jej rozbity serwis po babce.

Skręciła do oranżerii.

Jeśli tęskniła za czymkolwiek w tym domu, to właśnie za zimowym ogrodem. Wilgotny szelest roślinności, żywa, milcząca obecność natury za plecami uspokajały ją i koły nerwy, odkąd pamiętała. Z tym miejscem wiązało się mnóstwo wspomnień.

I leż.

Jako szesnastoletnia żona płakała przy pniu araukarii, jako siedemnastoletnia matka tuliła wiotkie ciało pierworodnego syna, który zmarł po dziesięciu dniach („Ciągłe macasz rośliny, to urodziłaś roślinę” – skwitował Wincenty), tutaj, nad krzakiem herbacianej róży kołysała w ramionach Antoniego, a potem Józefa. Tu w końcu stała trumna jej męża, obstawiona bujnymi kwiatami amarylisów, które zakwitły wszystkie naraz, jakby specjalnie na tę okazję. Nie ścięła wtedy kwiatów, ale przesadziła je do dwóch wielkich, ołowianych donic, ustawionych po obu stronach trumny. Szkoda marnować żywe piękno dla uczczenia śmierci.

W ogóle historia tych donic była fascynująca i zaważyła ogromnie na życiu jaśnie pani.

A zaczęło się od tego, że przywiózł je aż z Anglii w ślubnym darze brat Wincentego, Paweł, dodając do prezentu mrozącą krew w żyłach historii o swym ostatnim odkryciu. Kolekcjonowanie niezwykłych opowieści było jego pasją, a jednocześnie obowiązkiem, który wypełniał z mocy swego urzędu członka-korespondenta Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Co dziwne, mając tak światłego brata, Wincenty nigdy nie interesował się przesadnie nauką. Świętości miał dwie: Biblię i okupowaną ojczyznę. Żył surowo, skromnie, wręcz ascetycznie. Od synów wymagał bezwzględного posłuszeństwa, fanatycznej wiary i patriotyzmu – Józef się ugiął przed ojcowską wolą, Antoni zaś jako nastolatek uciekł do Wiednia, by spróbować wszystkiego, czego mu zabraniano w rodzinnym domu.

Wiktoria cierpiała najgorzej. Wincenty jeszcze przed ślubem zakazał jej noszenia strojnych sukien, a co za tym idzie – balów, wachlarzy, spotkań z przyjaciółkami i czytania romansów. „Jesteś młoda, szybko się przyzwyczaisz” – mawiał. Łkając nocami w poduszkę, uczyła się na pamięć tego, co Wincenty nazywał „cechami roztropnej niewiasty”, a co dla niej nie było niczym więcej jak tylko listą kompleksów autorstwa męzczyzn nienawidzących kobiet, samców z najniższej półki matrymo-

nialnej i ukrytych impotentów: „ręce stale zajęte, a usta zamknięte”, „nie wydawaj pieniędzy, dom przywodząc ku nędzy”, „lepsze dla ciebie milczenie okraszone rumieńcem niżli plotki złym dyktowane sercem” i tak dalej, i tak dalej, bleblebleble...

Poddana reżimowi Wiktoria szybko przyswoiła mężowskie pryncypia. Rozliczała służące z każdego grosza, coraz rzadszych gości częstowała jak najoszczędniej, wreszcie własnym sumptem przerabiała i szyla swe suknie. W małżeństwie nie doświadczyła nigdy troski, czułości czy zwykłego uśmiechu, więc nauczyła się zwracać swe serce ku przyrodzie, a zwłaszcza ku kwiatom. Były kolorowe, wdzięczne, odpłacały urodą za okazaną im miłość i zawsze chętne do wysłuchania swej opiekunki. Wincenty z początku kręcił nosem na dziwactwa młodej żony, ale ostatecznie dał spokój. Uznał, że w oranżerii prócz kwiatów można także hodować ogórki, sałatę i pomidory, a to znacznie obniżało koszty wyżywienia we dworze. Szczęśliwa do łez Wiktoria zasadziła w ołowianych donicach pierwsze cebulki amarylisów i zwartnic podarowane jej przez szwagra. Kiedy zakwitły, na klęczkach wpatrywała się w nie całymi godzinami, porażona olśniewającym pięknem, delikatnością płatków, gładkim połyskiem łodyg i liści. Wincenty nie przestawał burczeć pod nosem, że w donicach powinny rosnać warzywa. „Zapomniałaś Boga, twego Zbawiciela, i nie pamiętałaś o Skale twej obrony. Dlatego sadzisz rozkoszne sadzonki i zasiewasz obce kwiaty”<sup>[8]</sup> – cytował grobowym głosem słowa proroka Izajasza, a Wiktoria zasłaniała sobą amarylisy, gotowa bronić ich własnym ciałem. Wyrok został wydany, kiedy podczas wyjątkowo deszczowego lata Wincenty oświadczył, że ani myśli chodzić do mokrego ogrodu i od teraz w ołowianych donicach będzie rósł szczypior i pietruszka. Wiktoria rzuciła się z płaczem do nóg małżonka, ale pozostał niewzruszony. Kwiatowe cebulki trafiły do wyłożonych sianem koszy, a Wiktoria do łóżka, gdzie leżała prawie tydzień trawiona gorączką. Krzyczała, wyla, miotały nią torsje i szalone, wyostrzone temperaturą sny, w których widziała swego męża zjedanego żywcem przez kwiaty.

Poranek, gdy wybudziła się z choroby, należał do najpiękniejszych w jej życiu. Wstała na chwiejnych nogach i przytuliła do siebie wystraszonych synów, rozdając im obficie uściski i pocałunki.

– Tata mówi, że to tylko kwiatki i nie wolno się tak nimi przejmować! – oświadczył czteroletni Józus z poważną miną, pakując się jej na kolana.

Połaskotała synka w szyję. Zachichotał i wtulił się w Wiktorię całym swoim dziecięcym istnieniem, które przypomniało jej, po co żyje.

– A kwiatki co mówią? – chciał wiedzieć Antoni.

– Kwiatki mówią to samo o tacie – szepnęła mu do ucha, a wtedy Tońcio roześmiał się na cały głos jak z dobrego żartu.



**P**ogonił za nią jak chart za bażantem. Zahamował dopiero przed roślącym chłopem, który spocony, ale za to w drogim, baranim kożuchu, wywróconym sierścią na wierzch, gorliwie mamrotał modlitwę. Tyszkowski odczekał, aż Katja z żebraczką wyjdą, a potem trącił chłopca, żeby otworzył mu cerkiewne drzwi, co też kmieć skwapliwie uczynił.

Po kościelnym zaduchu marcowy wiatr wydał się Toniemu słodki niczym śródziemnomorska bryza. Jedyne niebo nie przypominało śródziemnomorskiego – było po galicyjsku szare, smutne i mokre od deszczu. Tyszkowski wyteńczył wzrok.

Siwa mgła oklejała swą przędzą dwie zgarbione postacie oddalające się w stronę wsi. Żebraczka kuśtykała podparta na kiju, a Katja podtrzymywała staruszkę za ramię, od czasu do czasu nachylając się jej do ucha. Toni zachłannie obserwował ciało przeświecające przez dziury w łachmanach aptekarki, miękkie ruchy leśnego zwierzątka i coś jeszcze, co po raz nie wiadomo który kazało Tyszkowskiemu wierzyć w nie-

czystą siłę, która ciągnęła go do tej dziewczki. Jakąś magiczną aureę, czarowną, kuszącą i lepłą jak sieć pająka.

Zapatrzył się na kark przysłonięty popielatym splotem warkocza. Nabral powietrza.

– Sarnino! – huknął.

Rozległ się głośny plusk. Dziewczyna wpadła w błoto i pociągnęła za sobą staruszkę. Tyszkowski usłyszał grube przekleństwo.

– Sarnino!

Spojrzała na niego po dobrej chwili. Najpierw pomogła staruszce wygramolić się z błota, a potem wolno, z urazą, otrzepała uwalaną suknię. Kiedy odwróciła głowę, przejrzyste oczy zwęziły się w szparki.

– Podejdź tu!

– Jaśnie panie, przecież biedaczka jest niewidoma! Przewróci się, jeżeli ją puszcze!

– I dobrze, o jedną łazęgę mniej. Nie potrzeba mi, żeby strzygła uszami, gdzie jej nie proszą! Słyszałaś, ślepugo?! Wynocha stąd!

Starucha znieruchomiała, a potem wyrwała rękę i zrobiła niepewny krok, ostukując kijem grunt. Katja błyskawicznie schwyciła dłoń starej, nie pozwalając się oddalić.

– Poczekajcie, mateczko, chwilę! Tu za duże błoto! Połamiecie się albo i gorzej. Zaraz zaprowadzę mateczkę, gdzie trzeba!

Toni pobladł.

– Powiedziałem, że stara ma odejść! Ostrzegam cię, Sarnino, nie kpij sobie ze mnie!

– Nie kpię, ale też nie będę czekać, aż Wasylisa się przewróci! – I odezwała się pokornie do staruchy: – Matko, poczekajcie, proszę! To tylko chwila.

Jaśnie pan zmełł w ustach przekleństwo.

– Podejdź tu, do jasnej cholery, bo nie będę się powtarzał! Zostaw tę nędzarkę, rogata dziewczko, i podejdź!

– Skoro nie chce się pan powtarzać, niech pan sam podejdzie! Nie będę ociemniałej prowadzić przez błoto, żeby się potknęła i upadła!

Chyba się przesłyszał.

– Mnie się przeciwstawiasz?! Mnie? Najpierw księdzu, aż cię musiał zgromić przy wszystkich, a teraz mnie?! Jaśnie panu, który z przykazania boskiego jest twoim...

– Tak, wiem! – przerwała przez zaciśnięte zęby. – Jaśnie pan jest ojcem i opiekunem nas maluczkich, co swojej woli nie mamy ani rozumu! Codziennie w modlitwach dziękuję za łaskę bycia pańską poddaną i słomianką pod pańskie nogi, podobnie jak wszyscy mieszkańcy rybotycznego klucza! I Walerkowie, i Oktawian, który za sprawą jaśnie pana prawie umarł z gorączki, i te Bogu ducha winne dzieci, które chce pan w rzece potopić...

– Dosyć! – warknął i Katja umilkła. Wciąż stała kilka metrów od niego, wyprostowana, harda, bez najmniejszych oznak lęku.

Obejrzał wilczą głowę wyrzeźbioną na gałce swej hebanowej laski.

– Taki ci wstrętny jestem, tak...? Walerek wciąż siedzi na posadzie, chociaż chciał mnie otruć razem z tą swoją przekłętą połowicą! Twój mąż nieudacznik jest teraz moim lokajem, chociaż wytlukł całą porcelanę i wyciera nos w moje haftowane obrusy! Jego dzieci żyją i jakoś nikt ich w rzece nie topi... A ja, żeby ciebie, niewdzięcznico, wykupić, w długi popadłem i na śmieszność się wystawiłem u sąsiedztwa! Życie ci uratowałem, bo inaczej byś teraz w piekle pyskowała, więdźmo! Taki niedobry jestem!

Wydarł to wyznanie z samego dna zranionej duszy, nie bacząc na to, że echo niesie jego słowa aż pod cerkiew. Dziewka otworzyła usta. Krople deszczu osiadały na jej wargach rozszerzonych zdumieniem. Dobrze jej nagadał! Niech wie, jędza, komu zawdzięcza przywilej chodzenia po tej ziemi!

Miał już na końcu języka przekleństwo, ale opanował się ostatkiem sił.

– A ty psa mojego ukradłaś! – rzucił ze złością. – Żeby mi głodny nie chodził, bo...

Głęboka uraza odbiła się w przejrzystych oczach dziewczyny.

– Nie ukradłam Marlonka! Gdyby chciał, to wróciłby do pana! Skoro nie wraca, to znaczy, że nie chce!!!

Porzucił swą szlachecką dumę i podszedł do chłopki. Ślepa żebraczka, wpatrzona w przestrzeń czerwonymi, niewidzącymi oczami, musiała wyczuć pęd powietrza, bo usunęła się z drogi.

– Wiesz, dlaczego mój pies z tobą został? – Przybliżył usta do odciętego ucha. – Bo lubi kości!

Zwinęła dłoń w kulak, aż pobieleły jej knykcie. Podwinięte rękawy sukni ściągnęły wzrok Antoniego jak magnes – delikatny, jasny puszek na przedramionach, zielonkawa skóra dłoni zaciśniętych w pięści. Nie rozzłościło go to, a wręcz przeciwnie – rozczuliło. Chciał coś powiedzieć, coś bliższego sercu, na przykład to, że kiedy zobaczył, jak Katja psuje Podlaszeckiemu ceremonię i hojnym datkiem zawstydza tych wszystkich świętoszków przed ołtarzem, to miał ochotę bić jej brawo. I że chciałby, aby ktoś o niego tak walczył, jak ona walczyła o tę niewartą splunięcia nędzarkę. I że odważna z niej dziewczyna, bo trzeba wielkiej odwagi, kiedy jest się niewiastą, o której złe języki gadają, że z diabłem ziola zbiera i panów uwodzi... Chciał jej to wszystko powiedzieć, ale zdusił pragnienie, nim zmieniło się w słowa.

Cofnął się i odszedł.



**N**ajważniejszym miesiącem w kalendarzu Tyszkowskiej był marzec. *Hippeastrum*, czy też jak ją zwano po polsku: zwartnica – rozkwitała wczesną wiosną. Termin sadzenia amarylisów i zwartnic był święty. Kiedy postępowano zgodnie z harmonogramem, w oranżerii regularnie



pojawiały się dorodne, spęczniałe na końcach łodygi, a wreszcie kwiaty – tak piękne, że ilekroć Wiktoria na nie patrzyła, chciała się zatopić w dziękczynnej modlitwie.

Rośliny, choć pozornie do siebie podobne, wymagały odmiennej pielęgnacji: amarylisy po przekwitnięciu należało przesuszyć i wynieść do zimnej spiżarni, a cebule zwartnic – wykopać. Problem pojawiał się wtedy, gdy Sabinie zdarzyło się pomylić oba gatunki (choć Wiktoria odróżniała je bezbłędnie). Zwartnica z czterema kwiatkami na pędzie otwierała się na cztery strony świata niczym róża wiatrów i wykształcała pusty pęd. Pędy amarylisów były pełne, a kwiaty kwitły obficie; zdarzało się ich i kilkanaście. Amarylisy najpierw wypuszczały liście, a potem kwiaty, u zwartnic zaś kwiaty i liście pojawiały się równocześnie.

Wiktoria czytała, że w Australii skrzyżowano już amarylis z tropikalną brunsvigią i wyhodowano rośliny z nasion, ale w zapadłej galicyjskiej dziurze taki sposób rozmnażania kwiatów wciąż jeszcze stanowił mrzonkę. W zapadłej galicyjskiej dziurze należało bezwzględnie przestrzegać terminów sadzenia. I teraz, jako że zbliżał się koniec marca, jaśnie pani musiała sprawdzić, czy opiekująca się zimowym ogrodem ochmistrzyni wywiązała się ze swych obowiązków.

Stała u drzwi oranżerii. Pchnęła je i... zamarła.

Potworny widok sparaliżował zmysły, Wiktoria poczuła się jak znieczulony gorzałką pacjent, któremu wyrywają żywcem ząb. W zwolnionym tempie oczy jaśnie pani rejestrowały wszystkie szkaradzieństwa: potłuczone skorupy glinianych donic, wyrwane korzenie, zeschnięte liście, ziemię rozprysniętą na wiklinowych krzesłach i kominku. Wychuchane latami, pieczołowicie pielęgnowane rośliny wyglądały, jakby zmiotł je huragan.

Z kilkunastu kwitnących strelicji została jedna. Żółte tulipany, rodem z Holandii, dogorywały na parapecie z rozerwanymi łodygami. Areka z lwowskiej palmiarni chwiała się na przestrzelonym pniu. Ogromne geranium zwieszało połamane, pierzaste liście. Cebula różowego *hippe-*

*astrum*, kupiona za horrendalną cenę od Pawlikowskich, usychała pod stołem wraz z kiełkującym dopiero, osmalonym na czarno pędem orchidei.

Mój Boże, co za jatka! Co tu się odbyło? Pojedynek? Ale jaki, z kim, z czym? Z naturą?! Oczy Tyszkowskiej zaszły łzami. Podniosła z ziemi glinianą skorupę z przyklejonym doń korzeniem gardenii.

– Niech no cię dorwę, skurwysynu – wyszeptała, a potem cisnęła skorupą o posadzkę, aż poszło echo.

Na reakcję nie musiała długo czekać. Za drzwiami rozległ się łomot i do środka wpadł drab w za ciasnej liberii.

– Jaśnie pani!

Skłonił się pokracznie i zastygł z otwartą gębą.

– Podejź no tu! – odezwała się przez zaciśnięte zęby. – I mów, czyja to sprawka!

Uniósł ramiona w obronnym geście, ukazując poprutą pod pachami liberię.

– A bo ja wiem?

Tyszkowskiej zapulsowało w skroniach.

– Gdzie ochmistrzyni? Gdzie panowie? Skąd te ślady prochu?! Mów, do diabła!

– A tego to jaśnie wielmożnej pani nie powiem, bom tego, co tu się stało, nie widział. Mogę tylko powiedzieć, że jejmość gospodyni opowiadała w wielkim zaufaniu, że pan Antoni pojedynekował się tutaj z butelką.

Wiktoria krążąca po pokoju jak tygrysica w klatce raptownie przystała.

– Antoni?! Pojedynekował się z butelką?! Mów jaśniej, bo cię każę oćwiczyć batogiem!

Chłop się przeżegnał, a Tyszkowska zganiała się w myślach za swój brak opanowania, chociaż w towarzystwie niższych urodzeniem niewiele dbała o maniery.

– Ja tylko powtarzam, com słyszał. Tak jejmość Sabina mówiła. Że pan Antoni walczył tutaj z butelką. I jeszcze powiedziała, że gdybym jeszcze kiedy słyszał o takim pojedynku pana Antoniego, to żebym mu przypadkiem w drogę nie wchodził, a i innych ostrzegł, bo mało brakowało, a rodzzonego brata by postrzelił.

Wiktoria pobladła.

– I tak pani gospodyni radziła, bo to niewiasta zacna i bardzo dla mnie życzliwa, a jak gotować potrafi! – Drab wzniosł oczy do góry. – I pozwoliła mi nawet wziąć sobie cebulę. Trochę kwaśna ta cebula i trochę mnie w brzuchu po niej kręciło, ale to pewnie dlatego, że zjadłem na czczo z kapustą. Najgorzej to zjeść z kapustą, a ja że zjadłem i przedwczoraj, i wczoraj, ale dzisiaj się wziąłem na sposób i najpierw zjadłem kapustę, a dopiero teraz cebulę...

Wiktoria nagle tknęło złe przeczucie. Aleksy ciągnął wstrząsającą opowieść o kapuście, wymachując rękami i coraz bardziej prując liberię, jednak Tyszkowska nie słuchała. Podążyła w kąć oranżerii, gdzie w starej skrzynce zimowały przed ponownym posadzeniem holenderskie bulwy zwartnic. Uniosła chroniącą je słomę. Dwie, trzy, cztery... było siedem!

Do jej uszu dobiegło stłumione ciamkanie. Jak w transie przeniosła wzrok na Aleksego i ten widok ostatecznie zmroził jej zszargane nerwy.

– Wypluj to!

Ton przeraził Aleksego. Sługa pospiesznie przełknął nadgryziony kęs, a resztę cebuli ukrył za plecami.

– Powiedziałam: wypluj!!!

Wiktoria przyskoczyła do niego. Aleksy w ostatniej chwili odwrócił głowę, ale i tak jaśnie pani przeorała mu paznokciami policzek. Lokaj błyskawicznie wrzucił cebulę do zarośniętej gęby.

– Oddawaj moją zwartnicę, diabelski pomiole! Ta cebula jest warta więcej niż stu takich jak ty!

Aleksy złapał się za głowę.

– *W imia Otca i Syna, i Ducha Swiatoho!* Kiedy to cebula tak zdrożała?!

– Kto ci pozwolił żreć moje zwartnice?! Zejdź mi z oczu, bo cię każę oćwiczyć albo w turmie zamknę!

Sługa wydał z siebie stłumione beknięcie, rozsiewając delikatny aromat pożartej cebuli. Kłaniając się co chwila, wycofał się rakiem do drzwi.

– Pani ochmistrzyni powiedziała: „Weź sobie, Aleksy, cebulę ze spiżarki”, ale widzę, że tutaj leży i leży, i pewnikiem niedługo się zepsuje, to żem wziął! Klnę się na Pana Boga, żem dostał pozwolenie! Jaśnie pani zapyta pani ochmistrzyni, jak tylko wróci, bo teraz pewno paniątko pana dziedzica do chrztu trzyma w trójceckiej cerkwi...

– Jakie paniątko?! – eksplodowała Tyszkowska. – Coś ty powiedział?! Kto wyprawia chrzciny? Dzie... dziedzic?

– A któżby inny? Cała wieś pobiegła do Trójcy chrzciny oglądać! Sam bym poszedł, ale kazali mi dworu pilnować, ech, dola nieszczęsna...

Aleksy począł wyrzekać na los, Tyszkowska zaś milczała, lustrując kwietne cmentarzysko. Obraz zakrzywiał się, rozpływał i mienił, zniekształcony przez łzy wściekłości.



**A**ntoni zawrócił do cerkwi. Był zmoknięty i nieszczęśliwy (prawdowość, że zawsze kiedy spotyka czaroduchę, jest zmoknięty i nieszczęśliwy, zaczęła go zastanawiać), i jak zwykle w takich momentach rozpaczliwie pragnął zmienić swoje życie.

Wyobrażał sobie taki idealny dzień. Oto on, Antoni Gozdawa Tyszkowski, wstaje o piątej, je zdrowe śniadanie, pije mleko zamiast gorzałki, objeżdża majątek jak przykładowy *Gutsbesitzer*<sup>[9]</sup>, do obiadu wysłuchuje próśb oficjalistów i kmiotków, a wieczorem zamiast grać w karty, modli się o dobre zbiory. Ma głowę wolną od zmartwień, a serce od cza-

roduchy. Los mu sprzyja, włościanie błogosławią, sąsiedzi szanują, a matka wraca, by go ucałować w czoło ze słowami: „Jestem z Ciebie dumna, synku”. Urodzaj w domu i w zagrodzie, podwieczorki z księdzem proboszczem, polowania z Sapiehami, datki na przytułek dla sierot, gospodarna żona – koniecznie czystej krwi, jak rasowa klacz, gromadka dzieci. Ot, szczęśliwy żywot poczciwego ziemianina!

Brrr!

Otrząsnął się.

Jak dobrze, że to tylko imaginacja i że idealne plany znikną w starciu z rzeczywistością! No bo kto normalny wstaje o piątej?! Im bardziej Toni chciał wstawać o piątej, tym bardziej wstawał o jedenastej. A jak już wstawał o jedenastej, to wiadomo, że na wypełnienie reszty zobowiązań brakowało mu czasu. Kmiotków i oficjalistów odsyłał do Sepka, podobnie jak księdza proboszcza wiecznie skomlącego o pieniądze. Datków nie dawał, Sapiehów miał w dupie, matka, żeby go ucałować w czoło, musiałaby chyba wejść na drabinę, a myśl o ożenku z durną flądą w rodzaju Augusty przyprawiała Toniego o ból prącia. Idealny dzień według jaśnie pana kończył się samotnym rozbieraniem butelki węgrzyna i planami podpalenia trójceckiej leśniczówki. I tak też zamierzał uczynić dzisiejszego wieczoru.

Pokrzepiony tą refleksją uchylił drzwi cerkwi. Nie chciał robić bratu przykrości w tak ważnym dla niego dniu i w razie czego zamierzał się tłumaczyć, że dopadła go potrzeba.

– I co, jaśnie panie? Znowu uciekła! – usłyszał za plecami.

Puścił drzwi, które zamknęły się z hukiem, i odwrócił się błyskawicznie. Przed nim stała Amelia.

– Czego chcesz?! – warknął Antoni. – Przyszłaś oddać mi pieniądze?

Wzmianka o pieniądzach najwyraźniej ominęła uszy kobiety, bo nawet się nie skrzywiła.

– Wiesz, co w cerkwi gadają? Że diabeł przeszedł z matki na dziecko, kiedy twoja czaroducha krzyżyk Ludce z szyi zdjęła! Dlatego dziecko

wrzeszczy!

– A co mnie ludzkie gadanie obchodzi?! – wybuchnął Toni. – We wsi gadają pewnie z twego poduszczenia, bo odkąd pamiętam, nigdy języka za zębami nie utrzymałaś!

– I jeszcze to, że jak tu, do Trójcy, Katja przyjechała, niebo się ściemniło, piorun w dzwonnice strzelił, a na świat przyszło cielę z dwoma głowami!

– Dwugłowe cielę mniej pytluje niż głupie baby – warknął. – Chociaż ma dwa jęzory.

Podeszła bliżej, tak, że czuł smrodliwe ciepło jej oddechu. Czas obzedł się niełaskawie ze starą aptekarką. Amelia, jak zwykle chuda, teraz była jeszcze chudsza i wyraźnie zgarbiona. Bielmo za binoklami lśniło gęstym nalotem, jakby na lewe oko ktoś rzucił łyżkę kisielu. Twarz złożyły długie, głębokie bruzdy, włosy posiwiały, a głos nabrał owego drżącego, skrzekliwego brzmienia, jakie mają żebraczki błakające się po domach za łaskawym chlebem.

– I jeszcze gadają, że nie dość jej było ciebie opętać i kochanicę twego brata śmierci wyrwać, to w dodatku mężowi kazała kołtun ściąć, żeby szatan miał łatwiejszy dostęp do głowy i rozum Aleksemu odjął. Nie boisz się? Nie widzisz, że przed każdą chatą widły leżą albo brona? Lud tak odpędza czarownice.

Toni zmarszczył czoło. W istocie, jadąc na chrzciny, zauważył w obejściach powyciągane motyki, kolczaste brony, kosy, piły – wszystkie ustawione ostrzami do góry. Był przekonany, że to w oczekiwaniu na deszcz, który zmyłby z narzędzi resztki błota i ziemi. Słowa Amelii pozbawiły go złudzeń.

– A dziś paroch zgromił ją przy całej cerkwi. Wiesz, co to oznacza?

– Nic nie oznacza poza zabobonami! – wybuchnął. – I nie bałamuć mnie głupim gadaniem, tylko oddawaj, coś skradła!

Prawe oko Amelii nabrało wściekłego blasku.

– Słuchaj, jaśnie panie... – ściszyła głos. – Znasz mnie i wiesz, że zły to pomysł uciekać się do szantażu. Pieniędzy potrzebujesz na długi w Birczy...? Ach, cóż to za mina, acan, przecie wszyscy gadają, jakżeś się z powodu panny Jekateryny zadłużył! Kowalscy mają z ciebie uciechę! Aż pannę Konstancję oddelegowali, żeby sprawdzić, czy wyglądasz na takiego, co się wypłaci!

Toni zacisnął zęby. Miał szczery zamiar zrugać wstrętne babsko z góry na dół, jednak coś go powstrzymało.

– Nie jestem taki gołysz, żeby mnie guwernantka Augusty sprawdzała, czym się nie wyszastał! Oddaj mi dwa worki srebra, które wzięłaś, a zaraz do niej pójde i oddam dług!

– Guwernantka pewnikiem sprawdza, czyś całkiem opętany, czy tylko trochę. Przyznaj się, acan, że od kiedy czaroducha uciekła, życie ci obrzydło. Doprawiasz je dobrym winem, ale nie chce odzyskać dawnego smaku? – Znacząco pociągnęła nosem.

– Zamilcz! Oddaj pieniądze i zejdz mi z oczu, pókim dobry!

– Znam zbyt wiele twoich sekretów, acan – ciągnęła złowieszczo Amelia, ignorując wściekły ton jaśnie pana. – Także tych, które leżą pogrzebane w ogrodzie pod zamczyskiem... Więc lepiej dotrzymaj danego mi słowa!

– Pieniędze ci dałem. Czego jeszcze chcesz?

Pytanie zawisło w nagle powstałej ciszy.

– Receptariusz Batki Mazana. Cóż to? Nie pamiętasz, jakżeś mi go obiecał? Daj mi go, jaśnie panie, a zwrócę ci srebro, co do jednego florena. I pamiętaj: tak jak szklana kula czyni wrózkę, tak receptariusz czyni bisurkanię. Przynieś mi zeszyt jej ojca, a ściagnę z ciebie klątwę, co ci życie przykrym czyni.

– Klątwę?! – prychnął. – Matko Boska Kalwaryjska, co za bzdury!

Amelia podeszła bliżej, częstując go widokiem swego bielma w całej okazałości.



– Twój wybór, jaśnie panie: chcesz pozostać we władzy czaroduchy, to zostań. Męcz się i przeklinaj jej uroczone oczy. Schnij za nią jak drzewo na pustyni. Tęsknij we dnie, a w nocy przewracaj się z boku na bok, gdy jej postać będzie kusić cię w snach do grzechu. Szukaj ukojenia w trun- kach i we łzach, w okrucieństwie, w modlitwie i w cudzych ramionach. I pamiętaj, że na każde wspomnienie jej imienia, czaroducha chwytą twą duszę pazurami i rozdziera ją kawałek po kawałku, byś się wykrwa- wił z tęsknoty...

– Jak dłużej posłucham twego bajania, to naprawdę wykrwawię się na śmierć. Przez uszy.

– Dowiedz się lepiej, jakiemu ziołu się poświęciła! – Bielmo prawie dotknęło piersi Tyszkowskiego. – Bo musisz wiedzieć, mój jaśnie panie, że każdy zielarz i każda czaroducha ze swojego ciała składa ofiarę wy- branej roślinie i tej roślinie ślubuje wierność aż do śmierci, i z niej naj- częściej dekokty przyrządza, gdyż ziele to podane z jej rąk ma wtedy najwięcej mocy. Jakiemu zielu twa luba oddała w ofierze własne ucho, tego nie wiem, wiem tylko, że pewnie dlatego nigdy nikogo nie słucha! – Wybuchnęła nagle kraczącym śmiechem. – Ale ściąganie klątw to nie na rozum takich jak ty. – Zrobiła pauzę jak wytrawna aktorka. – Przyjdź do mnie z receptariuszem, a ja zdejmę z ciebie czar. Będziesz wolny!

Odsunął się. Aż poczuł słabość w nogach od tej litanii.

– Nie wiem, czym zasłużyłem na tyle łaski – odparł, siląc się na opa- nowanie. – Więc mówisz, że ściągasz teraz klątwy? Usługa płatna dodat- kowo czy w ramach rozliczenia starych długów?

Była rezydentka popatrzyła na niego z ledwie skrywanym politowa- niem.

– Głupi byłeś, głupi jesteś i głupi umrzesz, jaśnie panie. Żegnam, bo chrzciny się kończą, zaraz wysypie się mrowie ludzi i jeszcze mnie kto z tobą zobaczy, a ja dbam o reputację.

Zachichotała skrzekliwie, poprawiła binokle i po chwili jej czarna suknia zaszeleściła na kamieniach, którymi wysypano przycerkiewną

alejkę. A potem zniknęła z oczu jak zły sen rozmazany pierwszym drgnięciem powiek.



Ceremonia trwała. Wiktoria wcisnęła się głębiej w kąt. Twarz owi-  
nęła chłopską chustą Sabiny, którą znalazła w komodzie, i oparła  
głowę o ścianę cerkwi. Chciała się przekonać na własne oczy, że to, co  
nagadał Aleksy o chrzcinach „paniątką”, jest wierutną bzdurą!

A potem zobaczyła Sepka wpatrującego się we własny bezbożny po-  
miot, a jeszcze potem Antoniego, jak wybiega za tą przeklętą Katją!

Tyszkowska bladła i czerwieniała na przemian, serce łomotało, aż  
piękny wisior z purpurowym, syberyjskim kamieniem dygotał na jej  
piersi. Zmęczenie podróży, kilka bezsennych nocy poprzedzających  
przyjazd do Jamnej, zrujnowana oranżeria i widok obu marnotrawnych  
synów pokonały jej silną wolę.

Boże, zabierz ode mnie ten kielich!

Powstrzymaj hańbę krwi i marnotrawienie majątku, powstrzymaj  
nieczyste siły, które zawładnęły tym szanowanym niegdyś domem!  
W swym świętym słowie powiedziałaś, że nie pozwolisz żyć czarownicy.  
A co dopiero dwóm?!

Dziedzic pohańbił szlachectwo z chamką, a drugi za taką samą bała-  
mutnicą wybiegł z chrzcin jak sztubak!

Boże, Boże! Za co to wszystko? Czy przeznaczeniem matki jest tylko  
cierpieć i umierać ze strachu o swoje dzieci? Nawet dorosłe? Kierować,  
wskazywać drogę, a i tak widzieć, jak popełniają najgorsze błędy, kalają  
ród, własną godność i godność przodków? Panie, widzisz, a nie  
grzmisz! A może nie ma Cię w tym chłopskim, rusińskim kościele, że na  
to pozwalasz?

Pochyliła głowę, przeżegnała się wraz z tłumem wiernych, łowiąc uchem śpiewny, zawodzący bas Podlaszeckiego:

– *Chreszczajetsia raba Boża, Aniela, w imia Otca i Syna, i Swiatoho Ducha. Amin*<sup>[10]</sup>. – Paroch wykonał znak krzyża w powietrzu nad bachorem, w którym płynęła splugawiona krew Tyszkowskich i Giebułtowskich, jej krew, krew dumnego rodu, który szlachectwo otrzymał jeszcze od Jagiełły! Boże, jakąż hańbą okrywa się to święte miejsce!

– *Oblaczajetsa raba Boża, Aniela, w ryzu prawdy w imia Otca i Syna, i Swiatoho Ducha!*<sup>[11]</sup>

Rodzice chrzestni podali księdzu kryżmo<sup>[12]</sup>, a Wiktoria znowu się przeżegnała – tym razem z pełnym przekonaniem, że popełnia bluźnierstwo. Dziecko wrzeszczało.

Aniela. Jej wnuczka, a córka przekłetej po trzykroć Ludmiły Procyk, której jasny warkocz tak pięknie błyszczał w słońcu podczas ostatnich wykopków. Patrzcie wszyscy, oto acani Ludmiła, buraczana dama, z rękami szorstkimi od przędzy i motyki!

Owszem, ładna, nawet piękna, ale nie tak, by dla niej głowę, serce i przyzwoitość tracić! Panie w niebiesiech, gdzie te czasy, gdzie obyczaje?! Jeszcze sto lat temu rodzina kazałaby tej ladacznicy utopić dziecko w studni albo oddać do sąsiedniej wsi na wychowanie! Dwór by pieniądze dołożył i prosiaka! Ale teraz...? Teraz wypada sromotą swoją się chwalić i kłuć w oczy owocem bezwstydu?! Uch! Piekło niech pochłonie tę lafiryndę, tę wywłokę, tę chłopską żonę Potyfara, która swą czerwoną rękę wyciągnęła po jej Józefa!

Mało jej, że Dmytro został przygarnięty na ziemiański dwór jak paniątko? Odkarmiony, ubrany, pisaty i czytaty! Ale ta latawica, ta przypoludnica z piekła rodem nie pojęła, że na tym czas poprzestać! Że drugiego bachora, a w szczególności córki – którą pewnie ta kurwa spodziewa się szlacheckimi rękami wywianować – ona, Wiktoria, nie zdzierży! Koniec z chamstwem dookoła!

Zgrzytnęły cerkiewne wrota i wszedł Antoni. Tyszkowska pochyliła osłoniętą chustą głowę, udając pogrążoną w modlitwie parafiankę. Obcasy oficerków zadudniły i jej syn, głęboko zamyślony, podążył w głąb świątyni.

Widziała go po raz pierwszy od kilku miesięcy, ale jak każda matka od razu rozpoznała strapienie na twarzy dziecka. Głęboka pionowa zmarszczka przecinała czoło Toniego, a muskularny grzbiet garbił się niczym u Atlasa dźwigającego na plecach ciężar świata.

Przeżegnała się. W Boga nie zawsze wierzyła, bo zbyt często procesowała się z klasztorem na Kalwarii – ale przyklękła i zaczęła się żarliwie modlić. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, jednak gdy wypowiedziała: „Amen”, poczuła się spokojniejsza. Wysłuchana. Pewna tego, co zamierzała uczynić.

Przymknęła powieki.

– Mamo? – usłyszała szept i ledwie stłumiła okrzyk. Otworzyła oczy.

Nad nią nachylał się Józef.

– Mamo? – powtórzył z niedowierzaniem. – Ty tutaj? Jak? Jakim sposobem? Kiedy przyjechałaś z Zawozu? Dlaczego nas nie uprzedziłaś?

Zerknęła wymownie na księdza i odparła szeptem:

– Byłeś zajęty. Nie chciałam turbować was swoim przyjazdem.

– Dobrze się czujesz? – spytał z troską. – Masz wypieki.

Spłoszona dotknęła oburącz policzków.

– Wszystko w porządku, synku. Wzruszyłam się tylko. Ksiądz tak pięknie mówi...

W kącikach ust Sepka błysnął uśmiezek.

– Moja matka wzruszona modlitwą! Pierwsze słyszę, odkąd żyję.

– Ćwierć wieku to nie tak dużo. – Uścisnęła jego dłoń. – No, już! Wracaj na swoje miejsce. Porozmawiamy później.

Dziedzic szybko cmoknął jej policzek i zniknął w tłumie.



C hrzciny skończyły się małym skandalem, bo jaśnie pan dziedzic chwycił dłoń matki swego dziecka i wszyscy to widzieli! I żeby tylko chwycił, ale nie! Ścisnął tę brudną, chamską rękę, uniósł do ust i ucałował!

Tyszkowską szarpnął wstręt. Nabrała w płuca powietrza i wyszła z cerkwi.

Na zewnątrz panował potworny ziąb. Ciemne chmury sunęły po niebie jak karawan zaprzężony w parę narowistych koni. Deszcz siekł, wiatr zatykał dzioby ptakom. Józef i Ludmiła, podobnie jak obydwój rodzice chrzestni, opuścili cerkiew.

Chusta spowijająca twarz i podróżna suknia dawały Wiktorii anonimowość, mogła więc bez trudu przyglądać się reakcji swoich poddanych na skandal. Spodziewała się wstydu. Wstydu, szeptania i porozumiewawczych uśmiezków.

Zgorszenie dostrzegła tylko na kilku twarzach, bo na większości tępych, włościańskich gąb malowała się życzliwość. Wieśniacy gratulowali Ludce dziecka, a potem podchodzili do dziedzica i kłaniali się głęboko. No cóż, jej młodszy syn od zawsze miał łatwość budzenia sympatii u kmiotków, w przeciwieństwie do Antoniego...

Przymknęła powieki i pozwoliła smagać się wiatrowi za grzechy zaniechania, które popełniła jako matka. „Boże, jeśli moi synowie nie potrafią naprawić swoich błędów, niech chociaż nie przeszkadzają w tym mnie. Amen” – szepnęła.

Otworzyła oczy i wzdrygnęła się na widok Konstancji Méchante, która stała przed nią w ugrzecznionej pozie, niczym pudel czekający na łakocie. Kręcone na gwoździu włosy i trzymana oburącz torebka jeszcze bardziej upodabniały guwernantkę Augusty do skomlącego psa.

– Jaśnie pani! – zaćwierkała z obłudnym ukłonem. – Jakże mi miło widzieć panią w tak niespodziewanym miejscu!

– I wzajemnie. – Wiktoria uśmiechnęła się kwaśno, podając czubki palców do uściśnięcia. – Tym bardziej doceniam, że pofatygowała się pani aż tutaj z gorliwą modlitwą. Czyżby w Birczy zamknięto cerkiew?

– Och, droga pani! Jakże się nie pofatygować, skoro tyle się dzieje u kochanych sąsiadów? Trzeba się przecież wspierać, a w rodzinie Kowalskich Tyszkowscy zawsze mieli swoich oddanych sprzymierzeńców! Przesyłam najgorętsze pozdrowienia i wyrazy uszanowania od moich czcigodnych państwa!

– Jakież to miłe!

– Nawet sług swoich odstępujemy dla dobrosąsiedzkich stosunków... – ciągnęła guwernantka, popatrując chytrze na rozmówczynię. – *D'ailleurs*<sup>[13]</sup>, zauważyłam Jekaterynę, jak przeszkodziła w ceremonii, wprawiając księdza w słuszny gniew. Swoją drogą, prześliczny ten chrzczony dzieciak, tylko po chłopsku głośny!

Wiktoria zmęła w ustach przekleństwo.

– A co do Jekateryny, skoro ją państwo nadal trzymacie u siebie, to pewnie zalety tej dziewczki przeważają nad wadami? W końcu uczona w księgach, ludzi leczy... – trajkotała Konstancja. – Choć doktor Roztworowski mówi, że różnie bywa z tym leczeniem u takich jak ona...

– A cóż takiego mówi doktor?

– Och, że gdyby mógł, wypowiedziałby wojnę znachorom i szeptuchom w całej Galicji. Bo już doszło do tego, że nawet szlachta woli się leczyć zielskiem, zamiast słuchać lekarzy. „Wiele razy – mówi nasz Roztworowski – kolebię się powozem na odległy folwark, osłucham, obadam, przepiszę receptę, a potem słyszę, że pacjent nogi wyciągnął, bo majstrowała przy nim jakaś znachorka! A wszyscy jej wierzą, bo szafwią nakadzi w powietrzu, zdrowasiek naklepie i miast pieniędzy weźmie koszyk jaj albo ziemniaków”.

Tyszkowska spojrzała na guwernantkę z namysłem.

– Tak mówi doktor?

– O! Żeby tylko! Gorzej nawet mówi, aż uszy więdną!

Wiktorii zaświtał w głowie pewien pomysł, więc zanim Konstancja zagłuszyła go trajkotem, uścisnęła rękę guwernantki i odezwała się z lodowatą uprzejmością:

– Cóż za miła pogawędka! Żałuję, że nie mogę poświęcić pani ani chwili dłużej, ale sprawy rodzinne wzywają. Żegnam szanowną panią i proszę przekazać państwu Kowalskim najserdeczniejsze pozdrowienia od całej rodziny Tyszkowskich! A najgorętsze od pana Antoniego dla pani Augusty!

Skinęła głową i oddaliła się.

Następne stadium upodlenia: wścibska guwernantka rozmawiająca z nią jak z równą! Dziękuję ci, synku! Oby niebo miało cię w swojej opiece, gdy się spotkamy...

Naraz przystanąła. Usłyszała znajomy głos, wymyślający komuś od durniów. Szybkim krokiem podeszła do syna. Toni najpierw spojrzął na matkę jak na utrapionego żebraka, a dopiero potem w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– O! – wykrztusił tylko. – Mamusia?

– A cóż to, Tońciu? Nie cieszysz się, że mamusia przyjechała?

Nadstawiła policzek do pocałunku. Pierworodny cmoknął ją od niechcienia, drapiąc niedogolonym policzkiem. O dziwo, nie pił. Przynajmniej dziś rano.

– A to co? – wyjąkał. – Coś ty na siebie włożyła? Wybierasz się na wiejski pogrzeb?

Spostrzeżenie nie było tak odległe od tego, co jaśnie pani czuła jeszcze przed chwilą podczas szkaradnych chrzcin. „Pogrzeb honoru i szlacheckich wartości!” – miała ochotę wykrzyknąć, ale zamiast tego oświadczyła chłodno:

– Tak wyglądają matki prosto z podróży, które spieszą uściskać swoich synów. Nie miałam czasu zmienić toalety – skłamała gładko i zmie-



niła temat. – Przywitałeś się z panną Konstancją?

– Z kim?

– Z rezydentką naszych sąsiadów – westchnęła. – Przyjechała z pozdrowieniami od Kowalskich. Cóż za kochani, troskliwi sąsiedzi! Mam cichą nadzieję, że nie kupili sobie jakiej wsi, posługując się naszą pieczęcią na pierścieniu, który dałeś panu Adamowi jako porękę za weksel! A ty jak myślisz, synku?

Antoni, który znieruchomiał na początku tyrady, nie odezwał się ani słowem.

– Cóż to? – ciągnęła swobodnym tonem. – Nie pamiętasz już, że wystawiłeś weksel na tysiąc krajcarów? To dużo pieniędzy, dziecko!

– Mamo. Ale nie tak...

– Więc cóż? Skoro nie tak... Zatem czas wracać do domu, żebyś objaśnił mi, co jest tak.

Antoniemu zadrgał policzek.

– Ale skąd ty...

– Do powozu! – warknęła. – Natychmiast!

Toni spojrział na rodzicielkę ze strachem, a potem grzecznie poszedł w stronę koczka.



**K**atja zostawiła rozpromienioną żebraczkę przy karczmie (nie mogła oprzeć się wrażeniu, że właścicielem darowanego krajcara rychło zostanie arendarz), weszła w las i po dobrej chwili ślizgania się po błocie i przeskakiwania z korzenia na korzeń, znalazła się przed kładką prowadzącą do okolonej świerkami leśniczówki.

Rozpacz gniotła aptekarkę jak młyński kamień. Głupia! Dla jednego uśmiechu Józefa naraziła się na niebezpieczeństwo! Antoni mógł prze-

cież za nią pojechać i narobić kłopotów jej, dzieciom, Walerkom...

Nie znosiła tego człowieka. Nie za jego cechy, które przy innym urodzeniu i wychowaniu mogły wydać piękne owoce, ale za porywczosć graniczącą z szałem. Czego chciał, natychmiast dostawał, o nic nie musiał zabiegać. Jedyne walki toczył zapewne przy karcianym stoliku! Nie miała złudzeń, dlaczego interesował się nią – ubogą dziewczyną bez własnego kąta. Była dla niego ciekawostką. Chwilową odskocznią od wielkopańskiej nudy, równie intrygującą jak kobieta z brodą albo inny wybryk natury.

Choć życzliwe sąsiadki podpowiadały Katji, że najrozsądniej byłoby ulec i żyć bez troski o przyszłość – jak żyje kochanica pana Józefa – to aptekarkę aż skręcało na taką myśl. Brzydziła się Antonim, otaczającą go aurą okrucieństwa, wojska, cygar, węgrzyna i sprośnych uciech. Jego przeszłość, nałogi, kochanki, martwe płody pochowane w ogrodzie na zamczysku przyprawiały ją o dreszcz. Co zrobiłby, gdyby okazała mu przychylność? Najpewniej pobawiłby się nią jakiś tydzień, przeżułby i wyplułby jak pestkę, która straciła słodki smak.

Katja wzdrygnęła się. Potrząsnęła głową, jakby dzięki temu mogła wyrzucić z niej Antoniego i inne irytujące paskudztwa.

Stała przed zalaną kładką do leśniczówki. Rozłożyła ręce na boki, by utrzymać równowagę, i brodząc po kostki w wodzie, wbiegła na ganek.

Weszła do środka. Dzisiejsze nowiny były następujące: Marlon pogryzł siennik, Wikusia zbiła jajko, a Walerkowie wciąż nie dawali znaku życia.

To ostatnie zaniepokoiło Katję najbardziej, bo co innego pomieszkiwać w cudzym gospodarstwie, a co innego, urzędować w cudzym domu jak we własnym. Pod opieką były dzieci, pies, siedem kur, dwie gęsi i słój pijawek, a do tego tabuny chorych włościan. Nigdy – ani w Birczy, ani we dworze w Jamnej – aptekarka nie lękała się o zapasy chrustu czy cieknącą rynnę, ale teraz, bez Walerka, piętrowa stara leśniczówka jawiła jej się jako źródło nieustających zagrożeń.

– Mania! – krzyknęła z komory, gdzie właśnie zdzierała z siebie mokrą suknię. – Dorzuciłaś do pieca?

– Taaaaaaaak!

– A drewno suche?

– Taaaaak!

– Bo jeśli nie, to...

– Komin się zatka! – przerwały jej równocześnie oba dziecięce głosy.

Katja uśmiechnęła się do siebie. Dziewczynki, choć małe, były odpowiedzialne i gospodarne. Gotowały, potrafiły już przyrządzić proste zioła i pilnowały Marlona, żeby nie włamywał się do kurnika. Robiły wszystko, co podpatrzyły u Walerkowej i u sąsiadek, ale nie taka edukacja była celem przybranej matki. Aptekarka uważała, że dziewczęta tak bystre, tak inteligentne należało nauczyć czegoś więcej niż tylko przepisu na hryczanniki. Cierpła jej skóra na myśl, że za parę lat miałyby zostać żonami ciemnych chłopów, znosić głód, upokorzenia, pracę od świtu do nocy, a potem zemrzeć przy narodzinach któregoś z licznych dzieci.

– Przepisujemy po obiedzie alfabet?! – krzyknęła, nakładając fartuch na suchą suknię.

– Tak! – zapiszczała Wikusia, zawsze chętniejsza do nauki niż siostra. – Już wzięłam papier z kancelarii!

Katji zrobiło się trochę nieswojo na myśl o Walerku szukającym papieru na urzędowe pisma, ale przecież wiadomo nie od dziś, że nauka wymaga poświęceń.

– A czym będziesz pisać, niedojdo? – ofuknęła Wikusie siostra. – Palcem? Trzymaj i ładnie podziękuj... Pióro z dupy naszej gęsi.

– O! Jeszcze ciepłe!

Katja znów uśmiechnęła się do siebie. „To dobre życie” – odezwał się w jej głowie Batko. „Pilnuj, córeńko, by nikt ci go nie ukradł”.



Takiej awantury Toni nie pamiętał, odkąd żył.

Nic nie pomagało. Ani komplementy: „Ależ mamusia pięknie wygląda!”, ani nieudolne próby ominięcia tematu: „A mamusia widziała, jak stajenny wywalił się na kupie łajna?”, ani obracanie całej sprawy w żart: „Wolisz, żebym wydawał pieniądze na szlachcianki? Są droższe od chłopek!”. Nic nie działało na Wiktorię. Szalała z wściekłości.

Rozwrzeszczała się już w powozie, ale w domu osiągnęła apogeum.

– Nie tak cię wychowałam! – ryknęła, płosząc służbę, która w panice uciekła spod drzwi salonu. – Dobrze, że twój ojciec tego nie dożył! W grobie się przewraca!

Toni najpierw zaprzeczał, potem przeproszał, w końcu usiadł na taborecie, zapalił cygaro i w milczeniu obserwował miotającą obelgi rodzicielkę. Czekał, aż się zmęczy, a tymczasem zachodził w głowę, jaka zmiana w niej zaszła, że wygląda tak korzystnie.

Matkę napędzał wewnętrzny ogień. Oczy jakby się powiększyły, usta uwydatniły, a na policzkach kwitły rumieńce. Chyba schudła, ale jej sylwetka nie miała w sobie tej szkieletowej chudości starych kobiet, jak w przypadku Amelii, tylko zgrabne, młodzieńcze kształty, które – gdyby wypadało tak powiedzieć o własnej matce – wciąż prezentowały się kusząco.

„Do diabła!” – pomyślał. „Pięćdziesiąt lat i ani zmarszczek, ani jednego siwego włosa na skroni! Ja mam trzydzieści, a jedno i drugie w nadmiarze!”.

– No, mamó, daj już spokój – sapnął, puszczając dym nosem. – Wyszło, jak wyszło, nie odstanie się. Obiecuję poprawę.

Uśmiechnął się, ale to był zły pomysł.

– I jeszcze się cieszy, nicpoń! Wszyscy gadają! Wszyscy wiedzą! Sąsiedzi, służba, ksiądz polski i rusiński! Żeś ze mszy wypadł jak oparzony

i pogonił za dziewczką, wszyscy widzieli! Konstancja wszystko opowie Kowalskim! Tak jak mi ten Żyd wyjawiał, żeś księgi kościelne chciał zafałszować! Błóżnierco! Poganinie! Namówiłeś Józusia do świętokradztwa!

Toni westchnął. Zabrzmiało to tak, jakby Sepp był pięciolatkiem przywiedzionym do grzechu przez starszego brata. Tymczasem brawurowa akcja Sepka, polegająca na wydarciu z akt kościelnych kartki z adnotacją o ślubie Katji z Aleksym, wciąż budziła w Antonim najwyższy podziw. Szkoda, że wszystko się wydało.

– Ale najgorsza, najgorsza zbrodnia, jakiej śmiałeś się dopuścić, to oranżeria! Jak mogłeś zniszczyć moje kwiaty?! Mój trud, mój wysiłek?! Ty obrzydły pijanico, ochlaptusie! Wiesz, ile trzeba czekać, żeby zakwitły strelicje?! Cztery lata! Cztery długie lata doglądać, hodować, podlewać, uważać, żeby nie uszkodzić korzeni! Te kwiaty są jak dzieci! Jak małe, czteroletnie dzieci! Czy ja do ciebie strzelałam, gdy miałeś cztery lata?!

Toni parsknął śmiechem, ale matki to nie rozbawiło. Odgarnęła za ucho kosmyk włosów, który w furii wypadł ze starannie upiętego koka. Uwagę Tyszkowskiego przyciągnął czerwony znak w zagięciu szyi. Komar ją ukąsił? O tej porze? W marcu...?

– Mamo... – spróbował pojednawczo.

– Przestań skomleć, zbrodniarzu! Wszystko ci mogłam zapomnieć, wszystkie twoje głupoty, romanse, nałogi, ale kwiatów...? Nigdy! I nie przyglądaj mi się tym baranim wzrokiem, bo zdzielę cię w łeb jak parobka!

„Niemożliwe! Ten ślad wygląda jak malinka!”.

– Skoro to masowy grób rozstrzelanych strelicji, to może i mnie tam pochowasz? Leżałbym pośród twoich ukochanych kwiatów i wtedy byłabyś dla mnie miłsza. Mogłabyś mnie podlewać wężrzynem...

– I jeszcze kpisz sobie w najlepsze! Ty trwonicielu ciężko zarobionych pieniędzy! Ty marnotrawco rodzinnego majątku! Warchole! Rozpustniku! Pijany wieprzu!

Zagryzł wargi, tłumiąc chichot. Gdyby urodziła się mężczyzną, zrobiłaby karierę w wojsku.

Wiktoria wsparła się oburącz o oparcie krzesła i wyrzucała z siebie krótkie, urywane zdania:

– Sepek kala własne gniazdo czernińską krwią! Ty uganiaasz się za brudną posługaczką, co nie jest warta jednego miedziaka, a dałeś za nią tysiąc koron! Tysiąc! Koron! Do grobu mnie wpędzisz!

Napięte mięśnie szyi uwidaczniały czerwony ślad na skórze, który co rusz wyskakiwał z wycięcia wykrochmalonego kołnierza jak pieczęć.

„Do kurwy nędzy galicyjskiej, a jednak malinka!”.

– Opowiadają, że mam syna pijaka i rozpustnika, co żony włościanom kradnie! Jak ci nie wstyd! Jak nie...

I tu zamachnęła się otwartą dłonią. Toni się przeraził, że naprawdę chce go zdzielić w twarz, ale matka tylko sięgnęła po chusteczkę wystającą z szuflady komody i głośno wydmuchała nos.

– To kłamstwa, łgarstwa i pomówienia – powiedział bardzo oburzonym głosem.

– Toni, spójrz na mnie! Ileś narobił długów? Tylko mów prawdę, nie kłam rodzonej matce! Klękaj i na krzyż przysięgnij! Na pamięć ojca!

Posłusznie rozejrzał się za krzyżem. Jedyny wisiał na ścianie nad wejściem i Tyszkowski uznał, że znajduje się za wysoko, by matka mogła go dosięgnąć.

– Na pamięć ojca mogę przysiąc, że spłacę wszystkie długi, jakie mam. Ale jeśli i ty coś mi wyjaśnisz.

Matka znieruchomiała z oburzenia.

– Ja? Mam tobie wyjaśniać?! Tobie?! Niby co takiego?

Toni wstał.

– Bo tak jak ty słuchasz plotek na mój temat, tak i ja słucham na twój. W końcu to najpewniejsze źródło informacji dla mojej matki! A dziś na przykład dowiedziałem się takich rzeczy, że włos się jeży.

Spojrzał na nią uważnie. Czerwona malinka pulsowała razem z żyłą.

– Synu, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę! Nie wiem, do czego zmierzasz, ale...

– A niejaki pan Mroczkowski?

Wiktoria zawołała: „Ach!” i przycisnęła chusteczkę do ust, niczym pensjonarka na widok chędożącej się pary. Toni wiedział, że trafił. Szkarłatne plamy wykwitły na alabastrowych skroniach, a malinka nabiegła krwią, jakby za chwilę miała eksplodować.

– Pan Mroczkowski jest... rządcą. – Odchrząknęła. – I to nie moim, a twojej babki.

Zadziwiająco, ale opanowanie się zajęło matce dokładnie dziesięć sekund. Skronie przybladły, a głos ze schrypniętego zmienił się w lodowato obojętny.

– Znasz babkę Rozalię. Wiesz, jak jest wrażliwa na moralność, więc chyba nie wyobrażasz sobie, że pod jej dachem, ja i on...

– Babka ma siedemdziesiąt lat. Ty pięćdziesiąt. A pan rządcą dwadzieścia sześć.

– I co z tego? – zawołała piskliwym głosem.

Toni usiłował przypomnieć sobie pana Mroczkowskiego, ale pamięć podsuwała mu tylko niejasny obraz małomównego, zarośniętego młodzieńca z fajką, który plątał się po dworze w Jamnej podczas grudniowego balu.

– Wiesz dobrze, skąd się biorą te niewybredne plotki! Żeby go zdyskredytować i pozbawić funkcji! Twój brat ma tyle samo lat, a czy kiedykolwiek pomyślałeś, że źle wypełnia swoje obowiązki?!

– Pan Mroczkowski zapewne jest znakomity we wszystkim, czego się podejmie – odparował, a matka zmrużyła wściekle oczy.

– Nie masz prawa robić mi takich aluzji! Jestem wolna, jestem niezależna, mam swoje lata, nareszcie mam pieniądze i nikt... – Trzasnęła pięścią w komodę. – Nikt! Nie będzie mówił do mnie w ten sposób! Nawet syn!

Toni uśmiechnął się krzywo. Tyszkowska dyszała złością, ukradkiem masując obolałą od uderzenia pięść.

– No widzisz, mammo... jak nierówno nas oboje traktujesz. Jestem wolny, niezależny, mam swoje lata, pieniądze... i nie życzę sobie, by ktoś do mnie mówił w ten sposób. Nawet matka.

Podszedł do niej. Ignorując unoszącą się wokół aurę gniewu, bardzo delikatnie ucałował alabastrową skroń.

– A panna Katja była tylko naszą aptekarką. Chyba nie wyobrażasz sobie, że pod tym dachem...

– Przestań! – warknęła. – Albo zejź mi z oczu!

– Źle mnie zrozumiałaś. Nic nie mam do pana Mroczkowskiego. Przeciwnie – im lepiej ci służy, o pardon, babce... tym bardziej go lubię. Proszę tylko o odrobinę wzajemności.

Matka prychnęła.

– Nie ma wzajemności, synu, i nigdy nie będzie. Nie dostrzegasz jednej rzeczy: ja jestem wolna. Wypełniłam swoją powinność wobec tej rodziny i dałam Tyszkowskim dwóch synów! Ty i twój brat macie przedłużyć ród, a uganianie się za wiejskimi dziewczuchami odwodzi was od życia, do którego przeznaczył szlachtę Bóg, i od obowiązków względem narodu! – Zaciśnęła usta w linijkę. – Mam nadzieję, że wyraziłam się jasno, i oszczędzisz mi w tej kwestii swoich troskliwych rad?

Toni cisnął do kominka wypalone cygaro.

– Tak, mammo. Poza jedną.

Podszedł do matki, ujął ją za łokieć i delikatnie pociągnął w stronę zwierciadła. Stał za jej plecami tak, że brodą prawie dotykał kruczoczarnej fryzury.

– Następnym razem nakładaj szal. Pan rządca zostawia ślady nie tylko w postaci plotek.





**T**o teraz następne zdanie: *kto zjadł niezdrowe albo na wpół jadowite potrawy, wtenczas herbata z korzeni, nasienia i liści znakomitym jest środkiem na wydalenie szkodliwych materii. Wziąć w trzy albo cztery palce skruszonej mieszanki, zaparzyć szklankę wrzątku i przykryć. Pić po kwadransie.*

Katja przerzuciła stronę w receptariuszu i podkreśliła płomień olejnej lampki.

O właśnie, i jeszcze olej! Lada chwila może się skończyć. Powinna pisać z dziećmi przy świetle dziennym, zamiast wyczerpywać zapasy leśniczego, ale co miała zrobić, jeśli od chorych wracała tuż przed zachodem słońca...?

– Jak się pisze: archangelika czy andżelika? – chciała wiedzieć Mania.

– Dzięgiel – odparła Wikusia, równiutko skrobiąc gęsim piórem po papierze. – Albo likwor. To, co Walerek pije, kiedy Maria nie patrzy.

– Litwor – poprawiła Katja. – Arcydzięgiel litwor. Albo archangelika od archanioła Gabriela, który pewnego razu przyśnił się jednemu doktorowi. Doktor był bardzo smutny, bo nie znał lekarstwa na zimnicę, która dziesiątkowała wsie i miasta. Aż tu we śnie archanioł wskazał mu roślinę przypominającą wielki koper. Koper ma jadalne łodygi, które można żuć dla ochrony przed chorobą, ma nasiona, którymi można zaprawiać wódkę na bóle żołądka, ale najmocniejszy w nim jest korzeń. Tak powiedział archanioł, a kiedy lekarz obudził się rano, zerwał się z łóżka i pobiegł na poszukiwanie tej...

– Wódki? – odgadła Mania.

– ...rośliny ujranej we śnie. – Katja zrobiła pauzę i skręciła knot w lampie, bo dziewczynki przerwały pisanie. – Szukał, szukał, ale nigdzie nie mógł znaleźć, aż w końcu zrezygnowany opowiedział swój sen jednemu z tutejszych pasterzy. A ten powiedział, że owszem, widuje ta-

kie rośliny wysoko w górach, ale krótko je widuje, bo zaraz je kozy zjadają...

Dziewczynki parsknęły śmiechem.

– I dlatego kozy nie chorują na zarazę, tylko ludzie – dokończyła, cytując ulubioną puentę Batki.

– Ale ty masz arcydzięgiel w słoiku! – zaprotestowała Mania. – Jakim sposobem?

– Jestem szybsza niż kozy.

„Chociaż rogata” – pomyślała, przypominając sobie dzisiejszą rozmowę z Antonim.

Za oknami zapadł zmierzch i wyobraźnia podsunęła Katji kilka nieprzyjemnych scenariuszy z udziałem dziewczyny z dwójką dzieci w samotnym, stojącym pośrodku lasu domu. Boże Myłyj, niech Walerkowie wracają! Deszcz leje, piwnica podchodzi wodą i kończą się ziemniaki. Mąka i kapusta coraz bardziej zawilgocone, podobnie jak drewno. Tylko patrzeć, jak komin przestanie ciągnąć.

Zmusiła się, żeby skupić wzrok na zgrabnych literkach Wikusi i kulfonach sadzonych przez jej siostrę. Ciepły krąg bijącego z lampki światła rozlewał się po kancelaryjnym stole Walerka, delikatnych profilach dzieci i psim łbie wyzierającym zza ramienia Mani.

Marlonek zasłużył dzisiaj na pochwałę, bo rano przyniósł zagryzioną dziką kaczkę. Zdażył ją już porządnie napocząć, tak że zostały z niej głównie szyja i skrzydło, ale liczył się gest.

„Dobre życie” – powtórzyła w myślach Katja. „To dobre życie i jeszcze nikt mi go nie ukradł. Trzeba się cieszyć, zamiast oczekiwać nieszczęść”.

Z tą myślą podniosła się z zydła. Świńskie pęcherze w oknach powlokły się granatowym zmierzchem. Nie lubiła szybkich zmierzchów. Marzyła o lecie, dłuższym dniu, pełnym zapachu traw i ziół.

– Co na kolację? – spytała Wikusia, głaszcząc psa. – Marlon, opuść te uszy, wyglądasz jak gacek!

– Kapusta z zacierką. – Katja zmniejszyła płomień do małego ogienka i odstawiła lampę na półkę. Teraz światła w kancelarii było tylko tyle, żeby nie potknąć się o własne nogi. – I nie chcę słyszeć żadnego narzekania. We wsi dużo jest takich, którzy nie mają co do garnka włożyć. Wikus, nie naciągaj mu tak uszu, bo zaczniesz przypominać zająca!

Marlona najwyraźniej znudziły tortury, bo nagle wyswobodził łeb.

Uszy ogara poderwały się gwałtownie, uniósł prawą przednią łapę i znieruchomiał.

– Poczuj coś! Poczuj! – rozdarła się Mania, zrywając się z miejsca.

– Walerkowie wrócili! – zapiszczała Wikusia i rzuciła się do okna.

Marlon zaczął basowo ujadać, a Katja, nie wiadomo dlaczego, poczuła ciężar w żołądku.

Turkot powozu. Nie chłopskiej bryczki, którą udali się w podróż Walerkowie, ale solidny, ciężki, taki jaki każe się spodziewać bogatych gości. Odgłos narastał, a potem zamarł. Katji zrobiło się gorąco. Czyżby ściągnęła kłopoty myślami? Odsunęła zaferowane dzieci od okna, oparła dłonie o parapet i wychyliła się ostrożnie. Strugi lodowatego deszczu chlusnęły jej na twarz, ale nie zwróciła na to uwagi. Zamrugła, wyłapując z mroku kształt wieczornej zjawy.

Utopiony w błocie na środku podwórca stał kocz zaprzężony w parę koni. Od ostatniego stopnia powozu do stopnia na ganku leśniczówki brakowało jakiegoś metra, a zgrabna stopa, wychylona spod podbitego lisami płaszcza, usiłowała dosięgnąć prowadzącej na ganek kładki.

– I jakżeś zajechał, Jacenty? – dobiegł z wnętrza pojazdu kobiecy głos. – Złaź i pomóż mi wysiąść!

Wyraźnie przestraszony woźnica natychmiast wykonał polecenie. Zeskoczył z kozła (błoto chlapnęło mu do połowy tydek) i wyciągnął rękę do damy w powozie.

– Gdzie ta łapa?! Chyba nie myślisz, że będę cię dotykać?! Obie ręce! Niżej!

Sługa posłusznie przesunął dłonie we wskazane miejsce. Splótł mocno palce, a kobieta potraktowała ich wewnątrz jak stopień: nadepnęła na dłonie woźnicy, oparła się o jego zgięte plecy i sprawnie wskoczyła na ganek leśniczówki. Odgarnęła woalkę.

Katja wstrzymała oddech.

Jaśnie pani Wiktorii nie widziała od pamiętnego, grudniowego balu, wyprawionego ku czci koronacji najmiłoścowszego cesarza. Jednak nie bal najbardziej utkwiał w pamięci aptekarki, ale metaliczny smak herbowego pierścienia Tyszkowskich rychło zastąpiony przez inne, bardziej paskudne doznanie, jakim były natrętne usta pana Antoniego. Właśnie tego incydentu nie mogła Katji zapomnieć pani Tyszkowska, niesłusznie podejrzewając aptekarkę o zakusy na swego syna.

– To Walerek i Maria? – dobiegło pytanie Wikusi.

– A skąd, głupia?! – ofuknęła siostrę Mania. – To wóz ze dworu!

Modląc się, żeby w powozie nikt więcej nie siedział, aptekarka sfru-  
nęła ze schodów i poprawiając nerwowo warkocz, otworzyła drzwi.

– Pilnujcie psa! – zdążyła jeszcze krzyknąć do dziewczynek, ale było już za późno. Olbrzymi ogar, rozpoznając zapach domownika, nagle wypadł przez drzwi z głośnym szczekaniem i skoczył wprost na Tyszkowską. Pani zachwiała się pod wpływem ciężaru, ale po chwili dało się słyszeć głośne: „Siad!” i Marlon posłusznie przysiadł na zadzie. Ogon latał mu jak szalony.

Katja przywołała dziewczynki i zmusiła, by skłoniły się z szacunkiem.

– Pies rozpuszczony jak zwykle! – usłyszała głos Tyszkowskiej, a powiew zimnego powietrza uderzył ją w twarz wraz z zapachem fiołkowych perfum. – Jakże się miewasz, Katju? Kończ te ceremonie i podnieś głowę, bo chcę ci się przyjrzeć.

Aptekarka spełniła prośbę. Poczowała, jak drżące w jej dłoniach dłonie dziewczynek pokrywają się potem.

Tyszkowska uniosła poły swego podbitego lisami płaszczka i śmiało weszła do środka. Spod płaszczka wyglądała falbana aksamitnej sukni

w nasyconym kolorze indygo.

– Czysto i schludnie – oświadczyła Tyszkowska, rozglądając się. – Pierwszy raz jestem w tej leśniczówce i muszę przyznać, że porządek i ochędóstwo to coś, co najlepiej świadczy o gospodarzach. Wiem, że leśniczych nie ma w domu i że ty rezydujesz razem z... No właśnie! Przedstawisz mi te młode damy...?

Zatrzymała wzrok na młodszej druciarzównie. Dłoń w rękawiczce z czarnej koronki dotknęła policzka Wikusi. Dla dziewczynki było to za wiele. Czmychnęła za Katję i kurczowo przywarła do jej pleców.

– To córki mego męża, wielmożna pani – odezwała się aptekarka. – Starsza ma na imię Maria, a młodsza Wiktorja, tak jak jaśnie pani – dodała z uśmiechem.

– Masz na imię Wiktorja? – Tyszkowska pochyliła się, usiłując spojrzeć w twarz małej uciekinierce. – Przepiękne imię! A lubisz cukierki?

Wikusia wychyliła się nieznacznie, by zmierzyć się z pokusą, ale Mania była szybsza.

– Ja bardziej.

– Mania... – wymówiła bezgłośnie Katja, ściskając rękę dziewczynki.

– Ale się nie poczęstuję i Wiktorja też nie, bo pani nas chce stąd wypędzić i potem utopić – wypaliła, a Katja poczuła, jak jej puls przyspiesza do dzikiego galopu.

– Jaśnie pani, proszę o wybaczenie... – zaczęła, ale Tyszkowska tylko skwitowała wypowiedź Mani machnięciem ręki.

– Niepotrzebnie. Urocza dziewczynka. Szkoda, że niedługo świat ją przygasi i każe odzywać się tylko wtedy, gdy jej pozwolą.

– Urocza, choć nadto bezpośrednia – zdołała wykrztusić Katja, jeszcze mocniej ściskając dłoń Mani. – Manieczko, przeproś jaśnie wielmożną panią!

Zanim Mania zdecydowała się ukłonić, Tyszkowska już wcisnęła do jej piąstki pełną garść cukierków. Uśmiechnęła się, ukazując piękne zęby. Przez ten moment stała się boleśnie podobna do Józefa.

– A teraz idźcie się pobawić.

W jej głosie pobrzmiwało ponaglenie – widocznie jaśnie pani wyczerpała granice koniecznej cierpliwości. Klasnęła w dłonie, a Wikusia i Mania, niczym kury zapędzone do kurnika, posłusznie umknęły z pola widzenia. Pies podreptał za nimi.

Pani zdjęła płaszcz i podała go Katji. Dziewczyna ułożyła okrycie na dębowej skrzyni, uważając, by nie zagnieść kołnierza z lisów. Zastygła w pozie pełnej pokornego wyczekiwania.

– Gdzie możemy swobodnie porozmawiać, moja droga?

Katja wskazała wejście do jadalni.

Mimo iż wewnątrz paliła się lampa, aptekarka pobiegła po jeszcze jedną, a potem przepisowo, jak nauczono ją jeszcze na birczańskim zamku, podążyła w odległości trzech kroków za indygową damą. Aksamitna suknia przesuwała przez próg, rozpościerając za sobą aromat fiołkowych perfum i piżma. Światło chwiało się na gęstych, potraktowanych czernidłem włosach opadających na kark i na wystającej zza ucha szpili z olbrzymią szarą perłą wartości niewielkiego folwarku. Gdy pani się odwróciła, na jej piersi zaświecił srebrny wisior z owalnym, przedziwnej urody, purpurowym kamieniem.

– Zamknij teraz drzwi i posłuchaj.

Dziewczyna spełniła polecenie. W głowie tłukła się jej jedna myśl: Antoni wysłał matkę, aby ściągnęła nieposłuszną sługę do dworu. Boże, niech robi, co chce, tylko niech nie tyka dzieci!

– Doprawdy, nie wiem, od czego zacząć... – Tyszkowska splotła obciążone czarną koronką palce obu rąk i uśmiechnęła się krótko. – Katju, otóż... zamierzam cię stąd zabrać.

Aptekarka z trudem zachowała zimną krew.

– Dokąd?

– Do Zawozu. – Druga próba uśmiechu. – Wiesz, gdzie to?

– Nie, jaśnie pani.

– To bieszczadzka wieś, nad rzeką Solinką. Stoi tam dwór, który wybudował jeszcze mój dziad Ignacy.

Katja już otwierała usta, ale pani pokręciła głową.

– Pozwól mi skończyć, proszę. Przyjechałam do ciebie... – zrobiła pauzę – ponieważ dostałam dziś list z Zawozu, w którym doniesiono mi o pierwszych zachorowaniach na zarazę. Moja matka nie szczędziła mi opisów cierpień, bólów żołądka, wymiotów i innych szkaradzieństw, które daje ta straszna choroba. – Dotknęła purpurowego kamienia na piersi. – Chcę, Katju, żebyś pomogła moim poddanym. Jestem przerażona.

Aptekarce trudno było dostrzec przerażenie na twarzy Tyszkowskiej. Wyczuwała raczej zimną kalkulację i brak szczerości. Oraz coś, co pewnie nazwałaby potrzebą powszechnego uznania, kiedy to dobra szlachcianka gotowa jest ponieść ofiarę dla ludu, pod warunkiem że wszyscy patrzą.

– Dostaniesz swój pokój i dworską apteczkę do dyspozycji. Za służbę żądam jeno zapłaty w postaci ozdowieńców we dworze. Chciałabym także, abyś w miarę możliwości doglądała włościństwa, bo chorzy i słabi nie mają siły do... do niczego.

„Do pracy” – dopowiedziała w myślach Katja. „Jeśli zachorują, kto zasieje i obrobi pola?”

– No cóż. – Tyszkowska rozłożyła ręce. – To chyba wszystko. Jeśli jeszcze coś chcesz wiedzieć, pytaj.

– A co z moimi dziećmi, jaśnie pani?

– Z dziećmi? – Przez czoło Tyszkowskiej przebiegł grymas zniecierpliwienia. – Nie masz chyba na myśli tych tutaj małych, które przygarnęłaś z serca, ale bez namysłu? Przecież to nie twoje córki! Z tego, co wiem, mają rodzzonego ojca i powinny wrócić pod jego opiekę.

– Tak, jaśnie pani – przytaknęła gorliwie Katja – ale jeśli obie wrócą do Jamnej, pozostaną na łasce pana Antoniego, który odgrażał się niedawno, że je potopi!

– Więc niech zostaną tu.

– Ale leśniczy z żoną wyjechali na polecenie pana dziedzica i nie wiadomo, kiedy wrócą. A nawet gdyby mieli wrócić jutro, przecież nie mogę im zostawić takiego ciężaru! Od kiedy tu mieszkam i lecę chorych, zawsze dostanę coś, co starcza na skromne utrzymanie moje i dziewczynek. Choć Maria i jej mąż są najlepszymi ludźmi, nie mogą się zająć moimi dziećmi, które wymagają jedzenia, przyodziewku i... – zawahała się – ...i edukacji.

Na alabastrowej twarzy Tyszkowskiej wykwitł szeroki uśmiech, tym razem nieudawany. Tak jak podarowała młodszemu synowi piękne zęby, tak tym szelmowskim, krzywym, zapowiadającym kpinę uśmiechem z pewnością obdarowała starszego.

– To zabawne. Uczysz te małe chłopki czytać i pisać?

Katja wbiła wzrok w podarte trzewiki.

– Tak, jaśnie pani. Tak jak i mnie nauczono, nie bacząc na to, żem chłopka.

– Cóż, tak zdecydował twój ojciec. A ich ojciec? – W kącikach ust Tyszkowskiej zaigrał grymas. – Czy to ten wielki drab, który tłucze filiżanki? On się zgodził, żebyś jego córki uczyła alfabetu...?

Milczenie Katji starczyło za odpowiedź. Tyszkowska pokiwała z politowaniem głową.

– Wiedziałam. Szlachetnie z twojej strony, Katju, ale zastanów się: co im po tym, że będą umiały czytać i pisać, kiedy ojciec zapędzi je do pasienia krów albo przędzenia wełny? Posłuchaj. – Ton przeszedł w stanowczy, widocznie rola cierplivej pocieszycielki znużyła panią. – Dzieci są własnością ojca i on za nie odpowiada. Tak mówi prawo i obyczaj, którego nawet szlachta nie może łamać. Domyślam się, że się do nich przywiązałaś. Wiem, że będziesz tęsknić, ale jest coś ważniejszego od tęsknoty. Masz obowiązki względem cierpiących, a o dzieci niech zadba ich ojciec. A teraz szkoda czasu. Szykuj się do drogi.

– Ale... jak to? Kiedy...?



– Pada deszcz. Im dłużej pada, tym bardziej ryzykuję, że Jacenty uotnie wraz z powozem na tej przeklętej polanie i nie pojedziemy nigdzie.

– Ale... – Aptekarka rozpaczliwie szukała argumentu. – Niechże jaśnie pani da mi choć kilka dni... Walerek i jego żona wrócą niebawem. Czy nie mogłabym wziąć dziewczynkę ze sobą... – zaczęła nieśmiało, ale Tyszkowska tylko przewróciła oczami.

– Dzieci, dzieci! Los dwóch głupich dziewcząt obchodzi cię bardziej niż umierający! – Przespacerowała się nerwowo po pokoju. Aksamitna falbana z trzaskiem zahaczała o pokryte drzazgami, źle wyheblowane deski podłogi. – Bez dyskusji! Pojedziemy jutro z samego rana. Spakuj się i czekaj na mnie od wschodu słońca. I nie chcę słyszeć ani słowa więcej o tych smarkulach!

Skinęła głową na znak, że rozmowa skończona. Zdruzgotana Katja pomogła włożyć Tyszkowskiej podbity lisami płaszcz i odprowadziła panią do wyjścia.

Ciemność rozgościła się już na dobre: w świerkach pohukiwały sowy, a wiatr szarpał gałęziami, nucąc aptekarce do ucha, że oto doczekała kresu dobrego życia.



**K**iedy Wiktoria wróciła z leśniczówki, we dworze czekały na nią dwa listy: jeden od Milusia, drugi od matki. List od matki odłożyła na bok biurka, kopertę od pana rządcy zaś niecierpliwie rozszarpała. Zato piła się w lekturze, pożerając wzrokiem litery.

*Najczcigodniejsza Pani i Przyjaciółko moja!*

*Nie ma słów, którymi opisałbym swą tęsknotę za Twoją mądrością, urodą i zimną krwią, której jakże nam wszystkim w tych dniach brakuje! Rad przeczy-*

tałbym Tve listy, ale ponieważ ich nie piszesz, pocieszam się francuskim przyśłowiem: *point de nouvelles, bonnes nouvelles*<sup>[14]</sup>.

O nas tego nie mogę powiedzieć. Z Krakowa przyjechali krewni i znajomi Bernarda. Jak zapewne się domyślasz, cieszą się dobrym zdrowiem, wypróżniają spizarnię i wodzą na pokuszenie cały zastęp podkuchennych i służebnych dziewczek. Wystarczy, że kto z nich głośno wymówi słowo Kraków, a obsiadają ich te baby jak muchy plaster miodu, że nie da rady spędzić. Doprawdy, mam dosyć krakusów i tylko dobre maniere powstrzymują mnie przed wygarnięciem, co myślę o tych pyszałkach. Starsza pani takowoż. Skarży się na nocne tańce, hulanki, spać nie może i wczoraj aż na Chryż pojechała z intencją, by się wreszcie wynieśli... Wasz spowiednik *en toute perfection*<sup>[15]</sup> używa życia, pije za trzech i za nic ma przyzwoitość, ucztując w dzień i w nocy ze swymi gośćmi. Czy już kiedyś pytałem Cię, moja Pani, o przyczynę, dla której Ty – owszem wierząca, ale daleka od dewocji – pozwalasz na tak zdumiewającą poufałość owego duchownego? Nie moja to rzecz radzić niewieście tak mądrej i swemu domowi oddanej, więc zmilczę, zwłaszcza że przy wielebny Bernardzie *les murs ont des oreilles*<sup>[16]</sup>.

Teraz o gospodarstwie: jeszcze tydzień, dwa i ruszą zasiewy. Pierwszy pewno obszar pod Dąbrową, to jest od drogi Polanckańskiej do rzeki Solinki i drugiego pola Wozik. Pola tamtejsze niezgorsze, glinkowate, pod owies sposobne, jak się dobrze w jesieni obornikiem zaprawi. Pastwiska obydwu jednakiego gatunku, zarośnięte brzezina, tam, gdzie dziegciarze urządzili swoje smolarnie.

Wiktorja uśmiechnęła się pobłaźliwie. Uwielbiała nadgorliwość swego rządcy. Kiedy Miluś nauczy się pisać jak stęskniony mężczyzna, a nie jak oficjalista? Wykaz pól, które znała od dziecka, był bezsensowny, popisywanie się francuszczyzną również... Boże, dlaczego mężczyźni są próżni jak małe mopsy? Podstawiają łeb do głaskania, jakby kilka obcojęzycznych zwrotów i spostrzeżenie, że na glinkowatej ziemi rośnie owies, miało wyrwać z kobiecej piersi okrzyk zachwyty. „Same ich tak chowamy” – skarciła się w myślach. Siostry, żony i matki – każda się zachwyca chłopcami daleko bardziej niż istotami własnej płci. Roz-

plywamy się nad ich umysłowością i talentem, nad silną wolą i przymiotami charakteru, podczas gdy u kobiet je umniejszamy: umysł to głupstwo, talent to krotochwila niewarta uwagi, silna wola to babski upór, a charakter nie jest nigdy zasługą kobiety, tylko efektem zbożnego wychowania.

„Nie jesteś moim synem, Milusiu, a już włożyłam ci do głowy przekonanie o własnej wyjątkowości...” – przemknęło jej przez myśl.

Wróciła do lektury.

*Tęsknię za Tobą, moja Pani, jak głodny za chlebem. A wiem, co to znaczy być głodnym, bom chleba w więzieniu nie jadł kilka długich miesięcy, a kiedym go dostawał, był tak spleśniały, że do palców się kleił jak pajęczyna. Tak za Tobą tęsknię, moja Pani, jak tęskniłem za świeżą wodą, za wiatrem i słońcem, kiedym siedział w zimnej celi, wdychał zapach cierpienia i czekał na śmierć. Wracaj, Ukochana, wracaj czym prędzej, jeno na drogach uważaj, bo przez te ulewy gościńce rozplywają się równie szybko jak bohaterstwo na torturach.*

Twój Maksymilian

O, to zdecydowanie lepsze! Wiktoria przeczytała końcowy fragment jeszcze raz, uśmiechnęła się i ucałowała papier. Teraz sięgnęła po list od matki.

*Droga Córko!*

*Mam nadzieję, że Twoje plany zakończyły się powodzeniem i zjawisz się niebawem w Zawozie wraz z tą latawicą, co dla igraszki panów zwoździ. Pamiętaj tylko, aby nic nie mówić Antoniemu, bo mężczyźni pokroju mego wnuka nie myślą dużo, jeśli w ogóle. A jeśli w ogóle, to nie głową... U nas błoto i ciągłe deszcze, jak to wczesną wiosną. Agafia, ta, co po chałupach łązi i chłopstwu pracować przeszkadza, mówi, że na rozstajnych drogach widziała rozczochraną, ubraną na czarno babę, której postać zarazę zwiastuje. I jak to u chłopstwa bywa, plotka dostała nóg i zawędrowała najpierw do wsi, a potem do dworu! Najpierw słyszę,*

że jakiś parobek z Wołkowyi zmarł na skręt kiszek, potem, że żona naszego krawca Samuela cały dzień spędziła w wygodce, bo starej marchwi się najadła! Maciejowi poszkodziły suszone grzyby, Wasylek zjadł funt zjełczanego sera i podzielił się z siostrą, więc teraz cały dom stęka i jęczy, jak dusze czyścicowe. Nawet jeden z kuzynów naszego Bernarda, niejaki Bartusik struł się czymś i zrobił kucharce piekielną awanturę, że gotować nie potrafi! Nasza Olga nie potrafi gotować, wystaw sobie! Niewiasta mało spazmów nie dostała, boć to przecież honor swój kobieta ma i od byle kogo nie będzie słuchać wstrętów! A ten krakusik, że to, tamto, owo, że do lasu musiał w nocy uciekać, bo wygodka jedna na piętro! Istne książątko! Spił się pewnie do nieprzytomności i szukał miejsca, gdzie kwas z żołądka wyrzucić. Nie wiem, skąd znalazłam w sobie tyle cierpliwości, by zamilczeć te impertynencje.

Przyznam Ci się, Córko, że zlekłam się tych żołądkowych boleści i aż żem list wysłała do doktora Roztworowskiego z prośbą, by do nas zajechał. Odpowiedział dość szybko, że przyjmuje propozycję, choć nie ukrywa, że robi to z wielką łaską przez wzgląd na życzliwość dla naszej rodziny i chociaż rozrywany jest po całym sanockim cyrkule jak świeży kołacz. Ile pieniędzy przyjdzie mi za jego łaskę zapłacić, nawet nie liczę, ale jak wiesz – nie warto być skąpcem we własnym domu.

Kończę już, bo zmrok zapada, a moje oczy źle znoszą pisanie przy lampie. Tuszę, iż do Twojego powrotu wszystko wróci do normalności, a dziewczka z dala od Antoniego też się uspokoi. Dostanie zajęcie przy chorych, to romanse wywie-trzeją jej z głowy.

Całuję Cię, Córko, i oczekuję Twego rychłego powrotu. Niech Jacenty uważa na drodze!

*Twoja Kochająca Matka*

List kończył się misternym zakrętasem i silnym odciskiem rodowej pieczęci Giebułtowskich.

Ostatni list, prawie ukończony, leżał na skraju biurka. Tyszkowska włożyła w prawe oko monokl (dzięki ci, Wincenty za jedną z nielicznych dobrych rzeczy, które po sobie zostawiłeś!) i przebiegła tekst oczami.

*Szanowny Panie!*

*Doszły mnie słuchy, że zgodził się Pan odwiedzić mój rodzinny Zawóz na zaproszenie Matki mej, Jaśnie Wielmożnej Rozalii Giebułtowskiej. Wizyta ta sprawia mi radość szczególną, albowiem tuszę, iż możliwość spotkania z Panem wybawi mnie z pewnego kłopotu, którego sama sobie swego czasu przysporzyłam. Chodzi o pewną młodą zielarkę, którą miał Pan szczęście (bądź nieszczęście) poznać zeszłej jesieni w naszym majątku w Jamnej, gdy „leczyła” ona nogę mego starszego syna Antoniego. Z pewnością pamięta Pan ów niefortunny upadek z konia, kiedy to kolano jeźdźca napuchło na wiele miesięcy, unieruchomiło mego nieszczęsnego Tońcia w łóżku i dopiero dzięki Pańskim staraniom i nieoczekiwanej wiedzy medycznej udało się Antoniemu powrócić do pełnej sprawności, za co cały dom Tyszkowskich wdzięczny jest dozgonnie!*

*A otóż i mój kłopot: panna, którą Pan wtedy poznał (zresztą zwykła włościanka), zjechać ma także do majątku mojej matki i przyznam się, że ta wizyta budzi we mnie głęboki sprzeciw. Bo czy godnym jest, aby dziewczce z ludu dać przyzwolenie na kurowanie chorych? Swymi zabobonami i sztuczkami w głowach psuje szlachcie, zdrowie składa na ołtarzu chłopskich przesądów, życie ludzkie rzuca na pastwę czarodziejstwa! Czy w nowoczesnych czasach godzi się ufać takim znachorkom? Rozmawiałam o tym nie raz i nie dwa z matką moją, ale jak to w jej wieku bywa, cokolwiek jest nie po jej myśli, to z miejsca odrzuca.*

*Dobro rodziny i poddanych leży mi na sercu, stąd pragnę zasięgnąć Pańskiej rady. Otóż słyszałam niedawno o pewnej znachorce z okolic Przemyśla, która do śmierci kilkoro ludzi swoimi gusłami doprowadziła, a na którą to jakiś światły doktor złożył doniesienie do żandarmerii, wstrząśnięty bezmiarem krzywd, jakie baba ta wyrządziła bliźnim swą zielarską „sztuką”. Czarownica teraz odsiaduje wyrok w przemyskim odwachu, a ja nie mogę nie dostrzec pewnej analogii, która narzuca się sama w związku z przybyciem do Zawozu owej pannicy.*

*Nie śmiem czynić Panu Doktorowi żadnych uwag odnośnie do tej nieszczęsnej wieśniaczki, ale czyż nie jest obrazą dla człowieka z medycznym wykształceniem znoszenie obecności takiej osoby pod jednym dachem? Ba! Przy jednym łóżku z chorym! Nie wyobrażam sobie ogromu upokorzeń i przykrości, jakie staną się udziałem Pana, niemniej jednak zapewniam, że jakiegokolwiek kroki*

*zdecyduje się Pan podjąć, z całą pewnością będą one słuszne. Wystarczy już popisów niekompetencji i medycznej arogancji w wykonaniu owej Katji, której jedynym nauczycielem był las, a guwernantką – łąka służąca owcom za pastwisko. Żeby dziewczka choć skromna była i zechciała uczyć się od mądrzejszych od siebie – wiele mogłabym wybaczyć. Jednakże w tej sytuacji, gdy zagrożone jest zdrowie mych bliskich oraz poddanych, proszę Pana Doktora, aby w razie konieczności postąpił z dziewczką stanowczo i zgodnie ze swym sumieniem.*

Ujęła pióro, zanurzyła je w kałamarzu i dokończyła:

*Jednocześnie zapewniam Pana o swym niesłabnącym wsparciu dla wszelkich Pańskich działań. Załączam pozdrowienia i ufam, iż niedługo spotkamy się w Zawozie.*

*J.W. Wiktoria z Giebułtowskich Tyszkowska*

Przywołała służącą i wręczyła jej list, nakazując, by umyślny dostarczył go do rąk własnych doktora. Potem wstała od biurka, ziewnęła i choć pora była późna, udała się na poszukiwanie syna.

Nie musiała długo błędzić. Toni, na wpół pijany, siedział przy kartach w swej sypialni i grał w mariasza z tym drabem Aleksym. Na stole gorzała gruba świeca w lichtarzu, po podłodze walały się puste butelki, a dym z cygar wygryzał oczy.

Wiktoria wykonała gest, jakim zwykle odpędzała muchy, i Aleksy, zgięty w ukłonie, opuścił pokój.

Toni z wysiłkiem skupił wzrok na rodzicielce. Od ostatniej kłótni nie zamienili ze sobą ani słowa.

– Wyjeżdżam – oznajmiła Tyszkowska. – Zabieram rzeczy i resztkę kwiatów z oranżerii, żebyś nie miał do czego strzelać.

– Aha... – wybełkotał z wysiłkiem jej syn. Zwiesił głowę między kolana i zanurzył obie dłonie w czarnych, przedwcześnie posiwiałych kudłach.

– Nie spytasz dokąd?

– Dokąd?

– Do Pakoszówki. Liczę na to, że do mojego powrotu załatwisz wszystkie swoje sprawy, spłacisz długi i odzyskasz herbowy pierścień.

Nie unosząc głowy, zasalutował. Wiktorii, choć uodpornionej przez lata na widok pijanego syna, krwawiło serce.

– Powiem Sepkowi, żeby cię pilnował i nie pozwolił grać w karty – zakończyła tonem surowej rodzicielki i podeszła do drzwi. Specjalnie poruszała się wolno, żeby dać synowi szansę na pojednanie.

Toni się nie odezwał. Nie podszedł, nie uścisnął matki. Nawet nie życzył jej dobrej drogi.

Wiktorcia stłumiła w sobie rozpacz, potem gniew, aż w końcu znużenie. Wyszła na korytarz i krzyknęła na służbę, by znosiła bagaże do powozu.



**K**atja w swym dziewiętnastoletnim życiu miała już kilka przeprowadzek. Wyjazd z Birczy do Jamnej, potem z Jamnej do Birczy i z powrotem, a ubiegłej zimy przenosiny z dworu do trójeckiej leśniczówki. Każdej zmianie towarzyszyła niepewność jutra i obawa przed nowym miejscem.

Ale dzisiaj, w ten ohydny marcowy świt pierwszy raz czuła rozpacz, potworną, rozdzierającą serce rozpacz rozstania. Dziewczynki czepiały się jej sukni, krzyczały, płakały. Katja już nie prosiła, by mogła je wziąć ze sobą, ale błagała o chwilę zwłoki, by się pożegnać. Na próżno, Tyszkowska była nieugięta. Oderwała zaciśnięte na schodkach powozu palce Mani, wrzasnęła na Jacentego, żeby ruszał, a Katji powtarzającej Wikusi po raz setny, że ją kocha, kazała zamilknąć, bo „te głupie czułości tylko dzieci psują”.

Chcąc nie chcąc, aptekarka zasłoniła oczy i wcisnęła się głębiej w kątek powozu. Odgłos kopyt, mlaskanie błota, siorbiący, gęsty jak flegma odgłos zagłuszył jej szloch.

Katji zdawało się, że zawodzenie dzieci i ujadanie Marlonka ciągnęły się za powozem jeszcze długo po tym, jak leśniczówka zniknęła z oczu.



Toni nie mógł sobie znaleźć miejsca. Duch rwał się do wielkich czynów (wpaść do Birczy, obić mordę Kowalskiemu, a potem Żydowi od weksła), serce do Katji (złapać za warkocz i powlec do Jamnej), ciało Tyszkowskiego zaś było z nich wszystkich najmądrzejsze i odmawiało współpracy.

Toni pił, jadł, uczył grać w wista Aleksego, potem wyglądał przez okno i kłął, bo zalaną deszczem drogą nie dostałby się ani do Birczy, ani do trójeckiej leśniczówki. Chcąc nie chcąc, snuł się po domu i pił jeszcze więcej. Mimo iż druciarz okazał się całkiem zręcznym kompanem do kart, a w dodatku tłukł już tylko jeden talerz tygodniowo, Toni nie zaliczał jego towarzystwa do szczególnie interesujących. Aleksey mówił głównie o swoich córkach, rozplątywał się nad ich urodą i charakterem, a poza tym od czasu do czasu – zwłaszcza po pijaku – lał łzy tęsknoty. Jaśnie pana również trawiła tęsknota za rodziną druciarza, a konkretnie za jego żoną, nie miał jednak tyle śmiałości, aby spytać wprost o pewną kwestię, która od dwóch miesięcy spędzała mu sen z powiek. Ale jak wiadomo, odpowiednia ilość gorzałki ośmiela nawet najbardziej wstydlivego młodzieńca, a cóż dopiero Toniego, który młodzieńcem nie był od dobrych dziesięciu lat, a wstydził się ostatni raz podczas Pierwszej Komunii, gdy świecą podpalił księdzu sutannę.

– Suaaj, no, Aleksey – zagadnął któregoś wieczoru, pełnego kart, gorzałki i skacowanej, obezwładniającej niemocy. – Kiedyś mi mówiłeś, że



po ślubie z czaroduchą paroch ostrzegł cię, byś jej nie próbował, bo... bo ma zęby między nogami. A teraz... zanim do leśniczówki uciekła... – Odchrząknął i spojrzał druciarzowi uważnie w oczy. – Fszyznaj sie. Tknołeś ją?

Sługa potasował karty. Jego duże dłonie nie bardzo dawały sobie radę w obejściu z tekturą, ale zrobił już spore postępy, bo nie łamał kart na pół.

– Ale że jak ją tknąłem, jaśnie panie? Kijem?

Toni jęknął w duchu.

– Kijem to każdy potrafi babe traktować... Pytam, czyś ją swoim kijem próbował... Rozuiesz chyba...

Druciarz pokiwał głową, że rozumie, jednak jego rozdziawiona gęba wskazywała, że nie do końca radzi sobie z przenośniami.

– Matko Boska Kalwaryjska! – nie wytrzymał Toni. – Pytam, czyś ją chędożył?!

Druciarzowi wypadły karty z rąk i ułożyły się w bezładny stos.

– Ja...? – upewnił się.

– Tak. Tak, ty! Teraz, zanim do leśniczówki uciekła!

– I dzieci mi zabrała...

– I zanim dzieci zabrała! Do kurwy nędzy galicyjskiej, ten znowu o dzieciach! Chłopie! Pytam się ciebie, czyś spał z czaroduchą?!

Druciarz wzruszył ramionami.

– Jaaa...? A po co?

Toni wzniósł oczy ku górze i wyszeptał litanie bardzo brzydkich słów.

Aleksy rąbnął się kułakiem w pierś.

– Jaśnie wielmożny panie, przysięgam, że nigdy nie chędożył żony swojej Jekateryny! Nie taki prędko jestem, by przyrodzenie tracić, jak to się mężom przydarza, co z czarownicami spółkują! Obznajomił mnie o tym ze szczegółami paroch z Birczy, o czym że nawet jaśnie panu swego czasu wspomniał! Wiem, co o mnie mówią, że kołtun na jej

rozkaz ściał i rozum zgubił. – Z wyraźnym smutkiem sięgnął dłonią karku, gdzie jeszcze niedawno spoczywał kłęb brudnych, rojących się od robactwa włosów. – Ale co tam! Gdybym rękę stracił, byłoby gorzej, rozumem przecie na chleb nie zarobię.

Toni zgodził się z nim w zupełności.

– Paroch do mnie jeszcze jedną rzecz powiedział, o czym żem panu nie wspomniał, bom nie do końca zrozumiał, ale powiedział, że jak wiedźma czyjaś duszę posiadzie, trzeba posiąść wiedźmę razem z tą skradzioną duszą. Wtedy dusza wróci z powrotem do ciała, zamiast tułać się po piekle. „Ale jakże to?” – pytam. „Za własną duszę męski przymiot tracić?!”. Wtedy powiedział: „Aleksy, synu, czy bardziej dbasz o swe ciało, czy o swą duszę nieśmiertelną? Wszak Chrystus powiedział: ‘Jeśli cię gorszy twoje prawe oko, wyłup je i odrzuć od siebie’<sup>[17]</sup>, tak i ty, synu, musisz dbać bardziej o duszę nieśmiertelną niż o grzeszne ciało!”. Tom odpowiedział parochowi, że dusza na chleb nie zarobi, a sikać czymś trzeba.

Toni nie potrafił odmówić słuszności rozumowaniu druciarza. Wyższość posiadania przyrodzenia nad duszą nieśmiertelną była niezaprzeczalna i jak widać, pogląd ten jednaczył mężczyzn z różnych klas społecznych.

Tyszkowski wsparł podbródek na dłoniach i zafrasował się tak głęboko, jak tylko potrafią pijani.

Aleksy zaczął tasować karty, ale jaśnie pana gra nagle przestała interesować. Zamiast tego intensywnie wyobrażał sobie, jak pomaga Katji pozbyć się miana czaroduchy. Strawił na tych rozmyślaniach resztę dnia i całą noc, z czego noc była najgorsza, bo mimo parcia na pęcherz po hektolitrach wypitego węgryzna nie mógł skorzystać z nocnika.

Gdy czwartego dnia po wyjeździe z Trójcy Katja przekroczyła próg dworu w Zawozie, był już późny wieczór.

Nikt się z nią nie przywitał, nikt na nią nie czekał. Tyszkowska kazała tylko zakwaterować gościa w narożnym pokoju, a sama pobiegła na pilną naradę ze swoim rządcą. Starsza pani Rozalia obrzuciła przybyłą lodowatym spojrzeniem, burknęła: „Chorymi zajmuje się doktor, a ty jutro z samego rana dostaniesz dyspozycje”, dała rękę do pocałowania i odeszła do swoich apartamentów.

Gospodyni Maciejowa wrzuciła na talerz garść zimnych klusek, nakażała prędko zjeść, a potem poprowadziła aptekarkę długim korytarzem do gościnnej izby. Katja, zdumiona niezwykłym przyjęciem, próbowała nawiązać rozmowę z ochmistrzynią, ale po kilku rzuconych w złości wyrazach zrezygnowała. Gdy szła przez sień w ślad za Maciejową, jej uwagę przykuł hałas dobiegający z pobliskiej sali. Mijając uchylone drzwi, zerknęła do środka – czterech mężczyzn, wśród nich duchowny, wznosili właśnie toast i ryczeli ochryplymi głosami:

*Kieliszek braciszek,  
Gorzaleczka siostra,  
Rączka przyjaciółka  
Do gęby doniosła!*

Rozległ się stuk rozbitego szkła, a któryś z mężczyzn wyzwał posługaczkę, która przyszła posprzątać, od „głupich dziewczek”. Katja przyspieszyła kroku i nieprzyjemny obraz zniknął jej z oczu.

Wbrew obawom, przeznaczona dla aptekarki izba okazała się całkiem przytulnym miejscem. Kominek świecił ogniem, wylaniając z mroku sosnowe, zgrabnie ciosane meble: stół, krzesło, szafę, skrzynię na ubrania i obszerną, odgradzoną parawanem umywalnię. Łóżko z żelazną ramą, choć wąskie, było wygodne i nie skrzypiało. Pod nim leżał

okrągły, kolorowy, tkany z resztek wełny kilim. Duże okno wychodziło na ogród, o tej porze dnia złowróżbny, pełen szelestów i pohukiwania puszczyków.

Całe ciało aptekarki żyło jeszcze wspomnieniem podróży. Kocz kolebał się z początku przez następujące miejscowości: Arłamów, Kwasze-  
ninę, Jureczkową, Liskowate, Krościenko. W Berehach Dolnych musieli  
zrobić postój w austerii przez wzgląd na rozmytą drogę. Potem jechali  
już bardzo powoli przez Ustrzyki, Jasień i Hoszów, dalej przez Zadwó-  
rze i Rabbe, gdzie zrobili popas, a następnie w którejś z zamglonych  
deszczem górskich osad przeprawili się przez San. Krajobraz stał się gó-  
rzysty i ponury, powietrze ostre, a pani Wiktoria coraz bardziej niecier-  
pliwa. Korzystając z okazji, Katja zadawała pytania o zarazę, jej symp-  
tomy, liczbę chorych oraz czy cholerycy stosowali już jakąś kurację, bo  
chciałaby dobrze przemyśleć metody leczenia, jednak pani odpowiadała  
wymijająco.

– Kuracja? – Zmarszczyła brwi. – Interesuje mnie tylko jeden rodzaj  
kuracji i będę rada, jeśli mi o nim co nieco opowiesz. Kuracja odmładza-  
jąca.

– O! – skomentowała Katja, bo nie znalazła odpowiedniejszego słowa.

Chcąc nie chcąc, dziewczyna uczyniła zadość prośbie Tyszkowskiej.  
Od Czarnej do Horodka spisała w trzęsącym się powozie recepty na płu-  
kanki do włosów, na lukrecjowe wywary do przemywania cery, pudry ze  
zmielonego na proszek ryżu, rozchlapując przy tym atrament i gubiąc  
otrzymywane od pani luźne kartki, gdy konie wchodziły w zakręt. Prócz  
tego zaleciła Tyszkowskiej spożywać napar z bukwicy i polnych brat-  
ków, płukać zęby oliwą, a zmieszany z cytryną olejem rycynowym  
smarować głębsze zmarszczki. Gdy Jacenty zakrzyknął: „Zawóz”, Katja  
odetchnęła z ulgą. Próżność pani Wiktorii w obliczu śmiertelnej zarazy  
wydała jej się niestosowna, jakby cierpienie umierających ludzi ustępo-  
wało wobec dbałości o urodę.

Aptekarka ziewnęła i zajęła się rozpakowywaniem bagażu. Jak na  
młodą kobietę był to bagaż nietypowy, pozbawiony odzieży na zmianę,

smarowideł czy biżuterii. Zawierał tylko nóż, grzebień, a także jeden przedmiot o nadzwyczajnej wartości, czyli receptariusz.

Batko, przybrany ojciec Katji, który przetrwał w swym długim (choć przedwcześnie skróconym) życiu trzy zarazy, a z każdą sobie poradził, spisywał w owym zeszycie wszystkie swoje kuracje. Poplamione, gdzieś niedzie pomięte i powycierane kartki wciąż stanowiły przedmiot pożądania dla okolicznych szeptuch i zielarek. Było to tym zabawniejsze, że większość z nich nie potrafiła czytać, a co dopiero odcyfrowywać łacińskie nazwy, których często używał przybrany ojciec. Na przepisy Batki miała ponoć chrapkę sama panna Amelia, choć zagadką pozostawało, czy stara zielarka Tyszkowskich pragnie receptariusza, żeby się dokształcić, czy tylko po to, by dokuczyć Katji, przerastającej ją sławą i umiejętnościami.

Dziewczyna wsunęła zeszyt pod poduszkę, uprzednio owijając go pasem surowego płótna. Nóż i grzebień położyła na stole. Węzełek opróżnił się, bo tym razem zioła, zamknięte w dwóch wielkich słojach, przyjechały do dworu powozem razem z kuframi, a Tyszkowska nakazała służbie przenieść je do aptecznego składu.

Katję ogarnęła senność. Wspomnienie Mani i Wikusi, wciąż świeże, doskwierało jej niczym ość w gardle, ale czy mogła zmienić ich los uzalaniem się nad sobą? Kolejne miejsce, kolejne obowiązki. Tylko oddana służba temu domowi mogła zapewnić dziewczynkom lepszą przyszłość. Choć martwiła się i imaginowała sobie najgorsze scenariusze, ufała, że dzieci są mądre i w razie niebezpieczeństwa pobiegną do wsi po pomoc. A poza tym lada dzień mieli przecież wrócić Walerkowie! Może już wrócili, a ona niepotrzebnie się martwi?

Nalała wody do miednicy i po krótkich ablucjach, gdy zmyła z siebie kurz gościńców, rzuciła się na łóżko. „Boże Myłyj i Batko, opiekujcie się dziewczynkami” – poprosiła w myślach i zapadła w głęboki sen.



O piątej rano Toni kiwał się jeszcze nad karcianym stolikiem, zastawionym pustymi i pełnymi butelkami. Towarzyszący mu Aleksy pierwszy usłyszał podejrzany dźwięk. Coś jakby skrobanie, skomlenie, odgłos tym dziwniejszy, że przecież od miesiący we dworze nie było żadnego psa!

– Idź! – burknął Antoni do Aleksego, wskazując na drzwi. – Pewnie jakiś wsiowy kundel kręci się po korytarzu. Szpica w dupę i przepędź.

Druciarz, choć też miał mocno w czubie, poderwał się z krzesła i podbiegł do drzwi. Nie zdążył nacisnąć klamki, kiedy ta sama z siebie drgnęła i odskoczyła. Aleksy krzyknął.

Tyszkowski poczuł, jak cygaro wypada mu z ust.

– Marlon? – wyszeptał.

Czarny ogar (a raczej niegdyś czarny, bo teraz całą sierść miał zlepioną błotem) wbiegł do pokoju i przywarł Toniemu do kolan. Tyszkowski był tak zdumiony, że zapomniał o „zradzie”, a poczucie krzywdy wyrządzone przez zwierzę natychmiast poszło w niepamięć.

– Marlonek – wyszeptał, czochrając ubłocony kark. – Mój Marlonek! Co tu robisz?

Dłoń gładząca psa wyczuła otarcia na grzbiecie, jakieś blizny, pręgi, co świadczyło o tym, że Marlon miał za sobą długą drogę.

– Ej, durniu! – Toni wrzasnął do Aleksego. – Przynieś no z kuchni jakieś obrzynki z mięsa albo kaszę! I wodę! Widzisz przecież, jakiego mam gościa!

Druciarz początkowo nie rozumiał, o jakim gościu mowa, jednak przynaglony karcącym wzrokiem swojego pana rychło wybiegł za drzwi. Po chwili dał się słyszeć odgłos tupania po schodach oraz gromki okrzyk:

– Pani ochmistrzyni! Jaśnie pan ma gościa i życzy sobie mięsnych obrzynków!

Tyszkowski tymczasem ukląkł przy psie i przytulił go do siebie. Wzruszenie odbierało mu mowę. Marlonek merdał ogonem jak nakręcony i piszczał, wciskając czarny, podrapany łeb pod pachę Antoniego.

– Schudłeś, maleńki... A ta jędza o urocznych oczach powiedziała, że będzie cię karmić i że nie stracisz na wadze. A schudłeś!... I widzisz? Jak to mówią: ani na wsi, ani w mieście nie trza dowierzać niewieście.

Marlonek nie odezwał się na te słowa, tylko popatrzył na Tyszkowskiego z wdzięcznością. Do pyska kleiło mu się kurze pióro.

– Mądry piesek, mądry... Pamiętałeś o panu. Pamiętałeś cały czas! Żle ci było, to przyszedłeś. Taki kawał drogi... śliczny piesus przebył taki kawał drogi, żeby mnie zobaczyć!

Śliczny piesus szczechnął gardłowo i wytarł o nogę Tyszkowskiego resztę błota.

W końcu zjawił się Aleksy z jedzeniem i wodą. Marlonek rzucił się na kaszę ze skwarkami tak gwałtownie, że prawie połknął miszkę.

– Ileś nie jadł? Kości przebijają przez skórę... Nie martw się, jeszcze dwa tygodnie i będziesz błyszczał jak pączek w maśle!

Marlonek poddany pieścizocie głaszczącej ręki wydawał się całkowicie szczęśliwy, do momentu gdy w misce zaświeciło dno. Wtedy otarł się o dłoń Tyszkowskiego, szczechnął i chwycił go za nogawkę spodni. Toni zgłupiał.

– O co chodzi? Jeszcze jesteś głodny?

Skinął na Aleksego, który z podejrzliwą miną przyglądał się psu karmionemu lepiej niż połowa włościan we wsi, ale nie odezwał się słowem.

– Jeszcze raz to samo dla wielmożnego pana Marlona – poleciał Tyszkowski. – A potem przydałaby się jakaś kąpiel, bo pachniesz, piesku, jak ja po tygodniu włóczenia się po zamtuzach. Tych tańszych.

Aleksy posłusznie wybiegł z pustą miską, ale z pełną pofatygowała się już sama Sabina. Na wieść, że Marlon wrócił, ochmistrzynie przyniosła trzy razy większą porcję kaszy ze skwarkami (a raczej porcję skwarków z kaszą) i klękawszy na podłodze, z zapalem nielicującym jej wiekowi i stanowisku, rzuciła się do obściskiwania brudnego, cuchnącego jak stary śledź zwierzaka.

– Śmutno się zrobiło zia Siabinką, tiak? Moje śliczne, moje malusie...

Tyszkowski uśmiechnął się pod nosem. Wieczne pomstowanie ochmistrzynie na pożarte przez Marlonka kury odeszło w niepamięć.

– Puśćże go, acani, nie ściskaj tak, bo mu oczy wypadną. Jest głodny.

– Ja już tam swoje wiem! – zatrajkotała Sabina, tarmosząc ogara za uszy. – Poza tym on wcale nie jest taki głodny, na jakiego wygląda. Wyraźnie czegoś od pana chce.

Rzeczywiście, Marlon tkwił przy kolanach Tyszkowskiego jak wrośnięty i co rusz gapił się na niego z uniesionym łbem. Skwarki połknął jednym chapnięciem, kaszę zostawił.

– Chce coś od pana! – powtórzyła Sabina. – Niechże pan go wysłucha!

Jak na zawołanie, Marlon szczeknął i znowu złapał Tyszkowskiego zębami za nogawkę. Szarpnął. Pijany Toni prawie się potknął, co nie zrobiło na psie żadnego wrażenia. Zaparł się zadnimi łapami, znowu szarpnął, aż wreszcie zawłókł swego pana do drzwi.

– Prowadzi gdzieś! – odezwała się Sabina. – Może chce pokazać, że jaką kurę zagryzł? No, Marlon, niech ja się kur nie doliczę, to popamiętasz!

Toni przyjął tłumaczenie ochmistrzynie za całkiem prawdopodobne, więc dał się sprowadzić psu po schodach, powlec na ganek, a potem do stajni. Tam Marlon przywitał się z Azą, objając ją po nogach ogonem, szczeknął i podbiegł do miejsca, gdzie leżało siodło.

Stajenny odskoczył ze strachu, gdy czarny ogar kłapnął w powietrzu zębami, usiłując dosięgnąć uprzęży.

Tyszkowski kucnął i przywołał psa.



Marlon zaszczekał, a potem zaczął skakać i biegać jak opętany między siodłem a Azą.

– Aaaaa... Chyba wiem! Upolowałeś coś, piesku? Chcesz się pochwalić? Co to jest? Królik...? Może sarna...?

Ponieważ próby uspokojenia psa spełzły na niczym, Toni westchnął, kazał stajennemu osiodłać klacz, a potem przynieść z dworu swoje wilcze futro.

Marlonek wciąż czekał w napięciu, kręcąc się w kółko i skomląc.

Dopiero kiedy Toni wyjechał na podwórzec, skomlenie przeszło w naglące poszczekiwanie.

– Prowadź, piesku. Tylko błagam, nie po tym strasznym błocie!

Ogar popędził przed siebie, co chwilę oglądając się, czy jeździec i koń spieszą za nim.



**M**aksymilian spał. Jego pierś unosiła się cicho, płynnie, miarowo, jakby zachęcała do przyłożenia tam policzka i zapadnięcia w słodki sen zakochanej kobiety.

Wiktoria narzuciła szlafrok na nagie ciało i sięgnęła po pióro. Nie pisała kilka dni, więc emocje szalały w niej jak rzeczny wir.

*Co chwila myślę, po co mi się to przydarzyło? Mój Boże, byłam taka szczęśliwa, zanim go poznałam! Byłam szczęśliwa, wolna, wreszcie mogłam kupić holenderskie tulipany albo suknie farbowane indygowcem. Byłam wolna, ale i samotna. Samotna tą samotnością, kiedy żyjesz wśród ludzi, którzy nie rozumieją ani jednego twojego słowa... Aż nagle doświadczyłam, jak cudnie jest leżeć na niedźwiedziej skórze przed płonącym kominkiem i po tylu latach po raz pierwszy zrozumieć, czym jest cielesna rozkosz! Tak długo, tak ciężko na to pracowałam! Patrzę teraz na niego, jak śpi, i gratuluję sobie w duchu. Ileż misternej*

*roboty włożyłam w tego chłopca! Uwodzenie w pięćdziesiątym roku życia bywa równie trudne jak haft richelieu tępą igłą. Szczęściem Miluś nigdy nie miał kobiety. Odgadłam to od razu, bo gdy kazałam mu czytać co pikantniejsze francuskie romanse, krwisty rumieniec rozlewał się na jego przystojnej twarzy i ginął pod zarostem... Miałam wtedy ochotę rzucić się z brzytwą, ogolić go całutkiego i obejrzeć dokładnie. Ale z zalotami nie wolno się spieszyć. Ba! Trzeba udawać, że to nie żądza, a miłość – największe oszustwo, pod którym się kryje oddanie nad sobą władzy, poddaństwo i odurzenie silne jak opium.*

*Starannie szykowałam grunt: stroiłam się, sypałam komplementami, upuszczałam chusteczki, słabowałam na serce i płuca (raz nawet poprosiłam, by poluzował mój gorset, co też uczynił uroczo drżącymi palcami), udawałam atak globusa. A ten sierota, więzień, nie wiadomo – bardziej wygłodniały pierogów czy ludzkiej uwagi – uwierzył we wszystko. Lubił doradzać, pomagać, wpadać na genialne pomysły, lubił służyć... Zасыpywałam go więc obowiązkami we dworze, których mój niewieści rozum nie mógł ogarnąć, a wieczorem dziękowałam, skwapliwie podkreślając przy tym swą bezradność. „Co ja bym bez ciebie zrobiła” (dobrze wiem, że to samo, co on, tylko szybciej) i „Ach, gdyby nie twoja pomoc” – brzmiało we dworze jak litania, aż służba, zniecierpliwiona pojawieniem się przybłądy, który podejrzenie szybko awansował, zaczęła mu dokuczać tym nieszczęsnym Swędziworem...*

Tyszkowska przerwała pisanie. Odłożyła pióro.

Pożądanie jak tęskniący pies dopadło wszystkich jej zmysłów i wbiło się weń głodnymi zębami.

Tam, na łóżku leżała jej zdobycz, jej nagroda za ponad trzydzieści lat bólu serca. Leżała na prześcieradle mokrym od potu i nasienia. Odmrożone palce pewnie jeszcze mają smak wszystkich jej otworów...

Gwałtownie wstała od stołu i zrzuciła szlafrok.



Ranek aptekarka wymknęła się z izby. Przemierzyła dworski korytarz, niezauważona przez nikogo pchnęła prowadzące na zewnątrz boczne drzwi dla służby i stanęła po kostki w wilgotnej mgle. Świat dopiero nabierał zielonej barwy, wraz ze słońcem unoszącym rozpaloną głowę zza łańcucha gór na horyzoncie. Bieszczadzkie szczyty były tu wyższe niż w Jamnej, a powietrze tnące jak żwir.

Zawóz wedle słów Tyszkowskiej liczył nie więcej niż czterdzieści chałup, położonych wzdłuż głównego gościńca, przecinającego wieś na pół. Zachodnią granicę siola wyznaczała wijąca się jak wściekły wąż rzeka Solinka, zasilana przez kilka rwących górskich potoków, brudnych, błotnistych i na przednówku wezbranych do niemożliwości. To właśnie rzeki, stawy i studnie – podobnie jak inne ujęcia wody – roznosiły epidemię, która trafiała do domostw wraz z cmentarną ziemią i szczątkami ludzi zmarłych na zarazę. „Jeśli szukasz źródła cholery we dworze, szukaj dworskiej studni. Jeśli szukasz źródła cholery we wsi – szukaj wiejskiej studni” – mawiał Batko, a także zamieścił w receptariuszu nader interesującą notatkę, którą Katja odkryła dopiero podczas podróży.

*„Niemalym zdziwieniem była dla mnie notatka – a znalazłem ją w którymś z gospodarskich kalendarzy – że londyńscy lekarze podejrzewają związek między zarazą a brudną wodą i nawet żądają, by oddzielić szamba od miejsc, skąd biedota czerpie wodę. Niestety, nikt nie traktuje tych żądań poważnie, albowiem cholera wybija głównie nędzarzy, co na rękę jest tamtejszym możnym. Ja zaś zauważyłem dawno, że grasanka pojawia się wszędzie tam, gdzie skupiska ludzkie i ich nieczystości, stąd ważnym jest, aby wodę zawsze przegotowywać i nie zastępować jej we wszystkim gorzałką, jak to nasz lud ma w zwyczaju”.*

Pomna rad przybranego ojca Katja postanowiła zlustrować najbliższą okolicę. Wedle tego, co powiedziała Tyszkowska, wszyscy, którzy zachorowali, przebywali krócej lub dłużej we dworze i tu też wystąpiły pierwsze objawy zakażenia.

Dziewczyna przyjrzała się budynkowi. Dom stał na podmurowaniu z rzecznych głazów, widać było po nim wiek i solidną, oszczędną elegancję: przy schodach żelazne poręcze, po bokach dwie bliźniacze kolumny z piaskowca, podtrzymujące modrzewiowe pięterko i dach kryty gontem. Puste kamienne wazy po obu stronach schodów oczekiwały wiosennych kwiatów. Od ganku w górę, podparta na drabinkach, pięła się dzika winorośl. Siedziba Giebułtowskich emanowała spokojem i dostojnością, jakie przekazali jej budowniczy z początku wieku, gdy w Bieszczadach jeszcze nie słyszano o cholery, powstaniach ani chłopskiej rabacji.

Katja skręciła za załom zachodniej ściany, w wąską ścieżkę, przykrytą warstwą zeszłorocznych liści. Dróżka, okolona z obu stron omszałymi głazami, prowadziła na dół, prosto w mgliste objęcia dworskiego ogrodu. Wciąż rozglądając się za studnią, dziewczyna weszła między bezlistne pnie.

Mgła wisiała tu gęstsza, niczym dym z mokrego ogniska, jednak już na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to zwykły ogród, a raczej park nasadzony dziwnymi odmianami drzew. Katja na palcach jednej ręki policzyła dęby, brzozy, topole, nawet platan z korą obłazącą jak u węża, jednak większość gatunków stanowiła dla niej zagadkę. Drzewa i krzewy rosły bardzo blisko siebie, więc ścieżka ginęła między korzeniami, a wszędobyłska mgła sięgała już ramion aptekarki. Po kolejnym uderzeniu się w palec u nogi Katja pojęła nagle, że zgubiła drogę. Zakląła i rozejrzała się bezradnie.

– Niech się panna nie rusza! – usłyszała za sobą męski głos.

Za plecami narastał dźwięk stukających o kamienie obcasów i ten sam, lekko schrypnięty głos powtórzył:

– Niech się panna nie rusza! Niedaleko stąd jest staw! To z niego mgła taka idzie!

Katja nadstawiła uszu. Rzeczywiście, dało się słyszeć delikatny szelest wody, choć pogoda była bezwietrzna. Odwróciła się, nadaremnie wypa-

trując właściciela schrypniętego głosu, który nagle wyłonił się ponad jej ramieniem.

– Gdyby skręciła panna w prawo, niechybnie wpadłaby do wody. Mgieł na ogół nie ma o tej porze, ale kilka dni z rzędu mieliśmy dosyć ciepło, a dziś się oziębilo i stąd takie mleko. Brzegi stawu zdradliwe i nietrudno o wypadek. Miałem się tym zająć tydzień temu, ale najpierw te przekłete deszcze, a teraz zaraza!... – Urwał i nagle, jakby przypominając sobie o manierach, dokończył z ukłonem: – Proszę pozwolić, że się przedstawię: Maksymilian Mroczkowski, tutejszy rządca. Zapewne mam przyjemność z panną Jekateryną?

Aptekarka dygnęła.

– Owszem. Jekateryna Szylak, do usług.

Przez jedną sekundę patrzyli na siebie w milczeniu. Katja zauważyła, że pan Maksymilian jest bardzo młody jak na rządcę oraz że widziała go przelotnie na grudniowym balu w Jamnej. Tak jak wtedy miał równo przyciętą, jasną brodę i równie jasne, błękitne oczy, zdradzające, że nie pochodzi z krainy czarnowłosych werchowyców, a z innej części kraju. Jego nos i dłonie musiały paść ofiarą wyjątkowo okrutnej zimy, która trwale je odmroziła.

– Przyszłam tu, bo szukam studni – przełamała ciszę Katja. – Tej, z której dwór czerpie wodę.

– Dobrze panna trafiła – uśmiechnął się. – To tu.

– Ale przecież... – Katja skrzywiła się na widok mętnej powierzchni stawu.

– Do codziennych prac, do kąpieli i sprzątnia czerpiemy wodę ze stawu, a jeśli kto chce mieć wodę czystą jak kryształ, to z Solinki. A jeśli kto chce świętą, to też taką mamy, ze źródelka na Chryżu. Na południowy zachód stąd znajduje się kaplica, przy której bije źródło leczące choroby oczu. Tak przynajmniej głosi legenda. Czy źródło cudowne czy też nie, nie miałem okazji się przekonać, ale że woda zacna wiem, bo nasza pani Rozalia sobie ją wysoce chwali.

– Czyli pani Rozalia nie pije wody z rzeki, a ze źródła? I nie zachorowała jak dotąd?

– Zdrowa jak ryba. Mówi, że to cud... Widać, dużo cudów tu mamy – kontynuował młodzieniec. – Na przykład ten park. Starsza pani opowiadała, że w zamierzeniu miał być ogrodem, ale jej świętej pamięci mąż, a ojciec pani Wiktorii, pan Adam, nie znosił kwiatów. Ponoć nie lubił patrzeć na usychające piękno. Miał za to słabość do drzew i z tego względu nakupił sporo egzotycznych gatunków, które stały się solą w oku jego żony. – Wskazał na obłazący z kory platan. – Jeśli panna ma życzenie, mogę kiedy o tych drzewach opowiedzieć, bo niektóre nasze dziwolągi nie rosną nawet w botanicznych ogrodach.

Katja już miała na końcu języka, że bardzo chętnie i żeby nie nazywał jej panną, kiedy Mroczkowski w popłochu zerknął na zegarek.

– Proszę wybaczyć, ale dostałem polecenie, by doprowadzić pannę do sali dla chorych. Doktor za chwilę zacznie obchód. Trzeba nam wracać do dworu.

Aptekarka zgodziła się niechętnie. Na myśl o doktorze dostała gęsiej skórki, ale już po chwili uspokoiła się siłą woli. Zapowiadała się przecież świetna szansa, by nauczyć się czegoś nowego. „Nie każdy doktor jest doktorem Roztworowskim!” – pomyślała i ruszyła za rządcą przez zamglony park.

Kopyta Azy kląskwały po błocie i Toni miał dość. Marlon z nosem przy ziemi gnał przed siebie jak strzała. Oglądał się coraz rzadziej, za to coraz częściej omijał gościniec i wciągał jeźdźca w las. Tyszkowski stracił już wszelką nadzieję, że pies wiedzie go w stronę myśliwskiej zdobyczy. Patrzył tylko w ziemię i klął, manewrując Azą, która przechodziła przez coraz to głębsze bajora, sięgające jej czasem aż po brzuch.

– Wrócimy do domu, to się porachujemy, Marlon... – burknął Toni, otrzepując strzemiona z błota. – Jeśli się okaże, że się utytłał jak świnia dla jednego bażanta, to zobaczysz kundlu! Coś ty tam zagryzł, u licha? Niedźwiedzia...?

Naraz przystanął. Ta część Lasu Cieni wydała mu się nagle zbyt znajoma, żeby mógł to być przypadek.

– Marlon! – krzyknął.

Pies przestał węszyć i się odwrócił. Z ubłoconego pyska wystawał mu dyszący, czerwony jęzor.

– Do diabła! Chyba nie prowadzisz mnie do tej przeklętej leśniczówki?!

Ogar zamerdał ogonem i ryjąc nosem w błocie, wbiegł między drzewa, pośród których na pierwszy plan wybijały się masywne świerki. Te świerki Toni znał aż za dobrze. Czasem patrzył na nie przez rozpięte na oknach świńskie pęcherze i obiecywał sobie, że jak tylko stąd wyjdzie, potrząśnie największym tak mocno, żeby jakaś szyszka spadła i trzasnęła go w ten durny, zauroczony łeb.

– Marlon, wracamy do domu! Nigdzie nie jadę!

Ogar najwyraźniej uznał, że pan żartuje, i jednym susem znalazł się między świerkami. Aza ochoczo poszła za psem. Zatrzymała się dopiero na skraju polany, skąd rozciągał się upiorny widok.

Leśniczówka stała w wodzie. Wielkie brązowe bajoro zajęło już ganek i sięgało klamki u drzwi. Mieszkańcy domu, chcąc poczuć suchy grunt

pod nogami, musieliby przebyć około kilkudziesięciu kroków, brnąc w błocie po pas albo i głębiej. Toni (choć wmawiał sobie, że nic go to nie obchodzi) zastanawiał się, czy Katja wciąż tkwiła w tym miejscu, a jeśli tak, to dlaczego. Może bała się wyjść? Może któraś z małych chamek zachorowała, uziemiając ją na dobre? Antoni walczył ze sobą. Zastanawiał się, czy Aza zdołałaby podejść wystarczająco blisko, żeby wziąć na swój grzbiet Katję i dwoje dzieci. W ostateczności dzieci mogą poczekać...

Marlon szczerknął basowo.

Na poddaszu natychmiast uchyliło się okienko i wyjrzała z niego czarna rozczochrana głowa. Głowa zapiszczała radośnie na widok psa, a potem zrobiła miejsce dla drugiej, nieco mniejszej. Mniejsza głowa rozbeczała się, za to większa rozdarła buzię tak, że po lesie poszło echo:

– Jaśnie pan Antoni! Jaśnie pan przyjechał! Patrz, Wika, sam jaśnie pan po nas przyjechał!

Toni zmarszczył brwi. Te słowa były stanowczo zbyt dużym nadużyciem, jednak pomachał do okna, w oczekiwaniu na trzecią głowę z popielatym warkoczem. Niestety, nie pojawiła się.

– Gdzie Katja?! – krzyknął, zwiijając dłonie w trąbkę.

– Nie ma! – odkrzyknęła większa głowa, należąca do Mani. – Jaśnie pani ją zabrała!

– Co?! Mów głośniej, nie słyszę!

– Jaśnie pani! Przyjechała powozem, w takiej pięknej sukni i zabrała Katję! Chociaż płakałyśmy, żeby ją zostawiła, dopóki leśniczy z podróży nie wróci!

Tyszkowskiemu pociemniało w oczach. Co ta smarkuła bredzi?! To na pewno jakieś oszustwo! Wyobraził sobie Katję, jak kuca w kącie pod oknem i instruuje córkę druciarza, co ma mówić.

Nie czekając, cmoknął na Azę i wjechał na polanę. Klacz potrząsnęła łbem, ale posłusznie wlaźła w bajoro. Jej tarantowata sierść, którą Toni kazał codziennie wyczesywać zgrzebłem, teraz przypominała gniadą. Ciemne, łuszczące się plamy oblepiały nogi i brzuch Azy, ogon sterczał



niczym pędzel wyciągnięty z brązowej farby. Klacz jednak wyglądała na całkiem zadowoloną. „Najszczęśliwszy koń, to brudny koń”. Toni przypomniał sobie słowa jednego ze swoich profesorów, kiedy po ukończeniu politechniki zapisał się na weterynarię. Rzucił studia po roku, ale im dłużej żył, tym bardziej dochodził do wniosku, że pewne mądrości są uniwersalne zarówno dla koni, jak i dla włościan.

– Ej! – zawołał w stronę głowy. – Słyszycie mnie? Idę po was!

Dziarski okrzyk zamarł Tyszkowskiemu na ustach, kiedy Aza zanurzyła się w bajorze. Bardziej niż „idę”, pasowało słowo „płynę”. Woda była głęboka i gdzieś podchodziła aż pod strzemiona. Klacz szła z trudem, prawie sunąc brzuchem po jej powierzchni. Dotarcie do zalanego ganku zajęło jej kilka długich minut, w końcu w mętnej mazi zamajaczyła zbita z desek platforma. Toni zeskoczył na nią (ubrudił przy tym futro i paskudnie zaklął) i starając się ignorować chlupanie w oficerkach, przedarł się do wejścia.

Drzwi, wypaczone od wilgoci, ustąpiły dopiero po trzecim kopniaku.

Tyszkowski wcisnął się do środka. W nozdrza uderzył go zapach stęchlizny. Mętna woda sięgała mu do pól uda, unosząc na powierzchni garnki i talerze, siano, szczapy drewna i warstwę drobnych śmieci. W powietrzu wirował kurz. Toni zrobił krok i zaraz potem się potknął. W ostatniej chwili złapał za poręcz schodów. Uniósł nogę i zdjął mokrą szmatę, która owinęła się wokół oficerka. Wszedł na kilka pierwszych stopni i zadarł głowę.

– Ej! Dzieci! Jesteście tam?

Usłyszał gdakanie. Zaciekawiony postąpił w górę i na najwyższym stopniu zauważył kurę, a zaraz obok niej Manię. Dziewczynka miała sińce pod oczami, wyglądała na wycieńczoną. W głębi piętorka, na sieniku zarzuconym szmatami, kulila się młodsza, przyciskając do siebie spasioną gęś. Cała podłoga zasypana była ziarnem, wśród którego kręciły się kury.

– Niech jaśnie pan uważa, bo wdepnie w łajno – odezwała się Mania na widok pnącego się po schodach Tyszkowskiego. – Kurnik zalało, to

wzięłyśmy je do siebie. Były jeszcze dwie, ale Marlon je zadusił i zjadł. I zjadł jeszcze jedną gęś. Na szczęście uratowałyśmy ziarno...

Toni wszedł na pięterko, łapiąc kątem oka rozczarowane spojrzenie Mani, gdy zawiesiła wzrok na zabłoconych oficerkach. Potarł nos. Woń stęchlizny parująca z dołu wręcz zapierała dech. Na starym sienniku młodsza druciarzówna tuliła się do tłustej gęsi jak do ciepłej poduszki. Za oknem tkwił słoik na deszczówkę, wypełniony w połowie wodą.

– Długo tu jesteście?

Podbite fioletowymi sińcami oczy Mani zmrużyły się z namysłem.

– Już kilka dni, odkąd pani zabrała Katję.

– Dokąd zabrała? – spytał szybko.

– Do Za... – zaczęła Wiktoria, ale umilkła skarcona spojrzeniem siostry.

Toni miał wrażenie, że sondują się wzajemnie, czy powiedzieć prawdę.

– Do zarazy – odparła Mania. – Tyle usłyszałyśmy. Katja wzięła jaśnie panią do jadalni i zamknęła drzwi. Podśluchałam tylko, że w jakimś dworze chorują ludzie na zarazę. W tym dworze, do którego ją pani zabrała.

Toni zmarszczył czoło. Nie przypominał sobie, by matka mówiła, że ktoś zachorował w Pakoszówce.

– Mów dalej – ponaglił.

Mania chuchnęła w dłoń.

– Na początku miałyśmy jedzenie i suche drewno, ale potem, kiedy deszcz padał i padał, zaczęło się dymić. I piec nie chciał ciągnąć, i w domu było pełno dymu.

Urwała. Na schodach rozległ się szelest psich łap i po chwili do izby wpadł zabłocony ogar. Szczeknął, rzucił się do Mani, polizał ją po policzku, a potem to samo zrobił z młodszą druciarzówną, oblizując niby to przypadkiem gęsi kuper.

– Zalało piwniczkę, a potem kurnik, to kury i gęsi zabrałyśmy do domu. Jak woda zaczęła podchodzić na ganek, chciałam biec po pomoc do wsi, ale Wika bała się sama zostać. Więc pomyślałam, że pójdę następnego dnia rano. Tylko że rano obudziłyśmy się już w wodzie po kostki. Na polanie było jezioro. Zabrałyśmy siennik, i co się dało, na górę, i czekałyśmy, aż przestanie padać. Ale nie przestało...

Znów urwała i zadzwoniła zębami.

– Najgorsze było to, że zalało kuchnię i nie można było zjeść nic ciepłego. Z początku miałyśmy chleb, ale później zostało tylko ziarno dla kur... Jadłyśmy ziarno, bo na szczęście było go sporo.

– Ty zrobiłaś pojemnik na deszczówkę?

Przytaknęła.

Przymilanie się komukolwiek, a zwłaszcza włościańskiej smarkuli nie leżało w naturze Toniego, ale za tę jedną rzecz musiał ją pochwalić.

– Dobra robota.

Pokraśniała z zadowolenia, ale potem zmarszczyła nos, jakby miała się rozplakać. Obserwował, jak walczy ze sobą, mruga, krzywi się, ale nie pozwala łzom popłynąć.

– Jaśnie pan nas stąd zabierze?

Tyszkowski bił się z myślami. Wewnętrzny pojedynek między dranem a filantropem długo nie mógł się rozstrzygnąć, wreszcie wygrał ten ostatni.

– Zabiorę.

Łzy puściły się w okamgnieniu. Mania otarła je siną, zmarzniętą piąstką.

– Do tatula?

Toni przypomniał sobie Aleksego, który teraz już całkiem sprawnie grał w karty i równie sprawnie obalał kolejne flaszki węgryna.

– Do tatula. No to jazda. Bierzcie najpotrzebniejsze rzeczy.

Mania pisnęła z radości. Poderwała się, chwyciła parciany worek i chciała złapać do niego kurę, ale Antoni zaprotestował.

– Zostaw je. Przeżyją, mają jeszcze ziarno. Aza nie udźwignie wszystkiego, więc bierzcie tylko najpotrzebniejsze rzeczy!

– Przecież Marlon zje kury!

Toni się zastanowił. Marlonek regularnie pustoszył jamneński kur-nik, a przecież lepiej, żeby zezarł kury tego zdrajcy Walerka niż dwor-skie!

Udał, że wiele go ta decyzja kosztuje.

– No dobrze – westchnął. – Pakuj te sraluchy do worka!

Mania zaklaskała z radości, ale z siennika dobiegło chlipanie. Młod-sza druciarzówna z gęsią w brudnych rączkach popatrzyła błagalnie. Toniemu nie zmiękło serce, wręcz przeciwnie – zobaczył samego siebie, jak wjeżdża konno do Jamnej z dwojgiem smarkatych obdartusów i gdaczącym workiem. Widok niezapomniany dla wszystkich włościan na najbliższe dwadzieścia lat.

– Nawet o tym nie myśl. Gęś zostaje, bo jest za ciężka.

– Zostaw ją tu, Wiki – poprosiła Mania.

Mała podeszła do Antoniego, chwiejąc się na patyczkowatych nogach. Grubą gęś trzymała jak ulubioną lalkę i Toni nie potrzebował wybujałej wyobraźni, by domyślić się, że wyrywanie małym dziewczynkom ulu-bionych lalek nie należy do łatwych rzeczy.

– Gęś zostaje – powtórzył na wszelki wypadek, ale mała ani drgnęła.

Toni nie miał wyjścia: zarzucił na lewe ramię dziecko z gęsią (gęś za-syczała i uszczypnęła go w ucho), a na prawe wypchany niezbędnymi rzeczami węzełek i worek z kurami.

– Wskakuj na barana! – polecił Mani.

Dziewczynce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Usadowiła się wy-godnie na barkach Tyszkowskiego, chwyciła za kołnierz futra i powie-działa: „Wio!”.

Toni na tę zniewagę nie odezwał się słowem. Spocony, obciążony jak juczny osioł, brnąc przez wodę, ruszył do wyjścia. Worek z kurami podskakiwał mu na plecach, a przekłeta gęś dziobała guzik w spodniach na wysokości przyrodzenia. Czasem nie trafiała.

Wyszli na ganek zalany wodą i słonecznym światłem. Toni rozejrzał się, zanosząc w myślach modły do Matki Boskiej Kalwaryjskiej, żeby udało się załadować cały ten żywy majdan na konia i dojechać bezpiecznie do Jamnej.

Przywołał gwizdnięciem Azę. Klacz podeszła bliżej, więc posadził dziewczynki na jej grzbiecie, a worek z kurami i węzełek przerzucił przez siodło. Nie zdążył udusić gęsi, bo mała Wiktoria chwyciła ją w objęcia.

Klacz wydostała się z bajora na leśną ścieżkę i teraz jechali ostrożnie po zdradliwej, namokniętej ziemi: pierwsza Mania, pilnująca gdaczącego worka, przerzuconego przez siodło, potem Wiktoria, a na końcu Tyszkowski. Marlonek dreptał za Azą.

Gęś co chwilę wychylała się zza pleców młodszej druciarzówny i atakowała dziobem guzik w spodniach. Toni kłął. Chętnie ukreśliłby ptakowi łeb, ale ponieważ w obu rękach trzymał lejce, postanowił odroczyć egzekucję do czasu powrotu do Jamnej.

Przejechali szczęśliwie przez mostek na Wiarze, kiedy nagle Mania wskazała przed siebie ręką.

– Jaśnie panie, co to? Czy to powóz jedzie z naprzeciwka?

Toni wyteżył wzrok. Powóz, do kurwy nędzy!... Modlitwy o to, żeby nie spotkać nikogo z sąsiedztwa, chyba nie zostały wysłuchane. Tyszkowski ukrył twarz w kołnierzu futra, ale na próżno. Szlachecki koń, obciążony ponad miarę, dźwigający prócz swego właściciela dwie obdarte włóścianki i gęś stanowił widok tak oryginalny, że nie sposób go było zignorować.

Woźnica zareagował natychmiast: krzyknął, otworzył usta i z wrażenia zatrzymał pojazd. Z wąskiego okienka wyłoniła się czerwona, nalana twarz pani Porembalskiej, właścicielki sąsiadującej z Birczą Ru-

dawki. Pani zamrugła, jęknęła ze zgrozy i w miarę jak Aza podchodziła coraz bliżej, oczy Porembalskiej robiły się większe i większe, aż przybrały rozmiar śliwek mirabelek. Szlachcianka chwyciła się za serce, po czym trzęsącym się głosem zakomunikowała wszem wobec:

– Nie może być! Toż to pan Tyszkowski!

W głębi powozu rozległ się stuk. Przestraszony pan Porembalski uderzył czołem w okienko, a że znajdowało się ono po przeciwnej stronie powozu i dawało gorszy widok, stary szlachcic wywiesił się przez nie do połowy.

– Gdzie? – zawołał na wpół przytomnie. – Jaki Tyszkowski?!

– No przecież pan Antoni! Nie widzisz?... Ten z gęsią!

Toni miał ochotę skręcić do lasu i uciec, gdzie pieprz rośnie, ale jedno zerknięcie na potężne błoto pozbawiło go złudzeń.

– Co ty bredzisz, kobieto?! – burknął wciąż zakleszczony w oknie Porembalski. – To nie sezon na gęsi, teraz się do szaraków strzela!

Mania zachichotała i Toni, który z początku nie zwracał uwagi na głupie miny sąsiadów, również poczuł łaskotanie w gardle.

– Spokój! – syknął do druciarzówny, ale było już za późno.

Mania zatykając oburącz usta, padła twarzą na worek z kurami, z którego dobyło się wściekłe gdakanie. Worek podskoczył i byłby spadł, ale Toni zdążył go w porę pochwycić. Chichot Mani nagle się urwał i zmienił w jęk przerażenia. Wskazała na wystający z rozwiązanego worka opierzony kuper.

– Kura wypada!... – zapiszczała Wikusia.

Toni panicznym ruchem rzucił się w przód i przytrzymał rozchylający się otwór. Wepchnął kuper do środka, potrząsnął workiem i związał brzegi na supeł. W środku się zakotłowało, ptactwo zagdakało z oburzeniem, ale po chwili ucichło.

Toni odetchnął. Uniósł wzrok.

Pani Porembalska zdążyła już wyjść z powozu i teraz oparta drżącą ręką o budę przyglądała się jeźdźcowi. Na jej twarzy gościł wyraz abso-

lutnego osłupienia. Pan Porembalski, zaklinowany w ciasnym okienku, wrzeszczał do woźnicy, żeby mówił, co się dzieje. Woźnica nic nie mówił.

Toni trącił piętami Azę i podjechał bliżej.

– Moje uszanowanie sąsiadom. – Skłonił się uprzejmie, mijając powóz. – Dziewczynki, ukłońcie się grzecznie.

Obie druciarzówny pochyliły główki.

Pani Porembalska odpowiedziała słabym głosem na pozdrowienie, ale jej słowa zagłuszyło gdakanie z worka.

– Uszanowanie dla czcigodnego małżonka – odezwał się Toni swym najbardziej czarującym barytonem. – Mam nadzieję, że ischias już mniej dokucza... Pani wybaczy, pogawędziłbym z sąsiadką jak szlachecka tradycja nakazuje, ale co za pech! Gospodarskie sprawy wzywają!

Do powozu przydreptał Marlonek. Obwąchał i obsikał przednie koła.

– Marlon, do nogi! Państwo wybaczą, mój pies ma problem z nerkami, to przez tę wilgoć. Miłego dnia życzę i szczęśliwej podróży!

Uklonił się ponownie i pospieszył Azę, uznając, że najlepsze, co można teraz zrobić, to błyskawicznie zniknąć Porembalskim z oczu.

Mania zakryła obiema rękami usta. Plecy trzęsły się jej od tłumionego chichotu.

– Przestań – wycedził, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość. – Skompromitowałem się w towarzystwie do końca życia! Przez wasze przeklęte kury i gęś! Jezusie Nazareński, ależ mnie będą obgadywać! Porembalska żylaków na języku dostanie!

Druciarzówna odjęła dłonie od ust i zaniósła się głośnym śmiechem. Toni zgromił ją spojrzeniem.

– Przestań, bo cię uduszę i wsadzę do worka razem z kurami!

Mania otarła piąstką łzy śmiechu.

– Jak to? – spytała z udanym zdziwieniem. – To już nie będzie topienia w Jamnince, jaśnie panie?

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo jest za płytko.
- To co pan teraz zrobi?
- Pojedziemy nad San.



Rozmawiali przez całą drogę do dworu. Rządca torował Katji drogę wśród zarośli i streszczał wydarzenia poprzednich dni, odkąd to pojawili się pierwsi chorzy na grasankę.

Okazało się, że nie wszyscy goście spowiednika Bernarda cieszą się dobrym samopoczuciem – jak mogła wywnioskować wczoraj, mijając salę biesiadną. Niejaki Bartusik ciężko zaniemógł i położono go w pośpiesznie zaimprovizowanej szpitalnej izbie. Dwa dni później słabość dopadła wiernego Macieja wraz z dziesięcioletnią córką Emilką i leczeniu tej trójki poświęcił się doktor, przybyły niedawno z sanockiego. Tego samego dnia wieczorem przyniesiono jednego z lokajów, który od kilku dni chorował w swoim pokoju, skarżąc się na dziwną febrę i rżnięcie w brzuchu.

– Nie znam się na medycynie – mówił Mroczkowski – ale jedno zerknięcie na jego twarz powiedziało więcej, niż chciałbym wiedzieć. Zasiwna skóra, pot kleisty, oczy wpadnięte w głąb czaszki, a nade wszystko potworne skurcze mięśni wskazywały na ostatnią fazę zarazy. Doktor szykował się, by nieszczęśnikowi krew puścić, ale nie dał rady, tak była gęsta. Chory zaczął bredzić, a potem wycieńczony cierpieniem zmarł. Najgorsze było to, że wielebnego Bernarda ledwo dałem radę odciągnąć od stołu. – Mroczkowski nie krył irytacji. – Com się go naprosił, by namaścił konającego świętymi olejami, tylko ja wiem i niech mi to w niebie zapamiętane będzie. A zakonnik, kiedy uczynił już swoją powinność



kapłańską, wymówił mi, że rad byłby być wzywany do godniejszych osób niż do, panna wybaczy, ale tak powiedział – do takiego, co „zasrał się na śmierć”.

Katja nie miała okazji poznać wielbego Bernarda, ale po tej relacji uczuła ku niemu żywą niechęć. Mroczkowski dokończył opowieść wzmianką, że wczoraj rano zachorowało czterech oficjalistów z Rajskiego, którzy przebywali we dworze w interesach, a w południe pięcioosobowa rodzina parocha z Olchowca. Księżdzowie przyjechali dwa dni wcześniej w odwiedziny do swego kuzyna w Zawozie, ale ponieważ ulewa rozmyła drogę, skorzystali z gościnności pani domu i przenocowali w oficynach. I tak teraz we dworze leżało dwunastu chorych, jak dwunastu apostołów cierpienia, a pani Rozalia z bólem serca zmawiała za nich modlitwy.

– Wiadomo, że we wsi też są chorzy – oświadczył Maksymilian, przytrzymując ponad głową Katji frontowe drzwi do dworu i pilnując, by wiatr ich nie zatrzasał – i nawet pani chciała przyjąć jeszcze kogo do naszego szpitalika, ale doktor się nie zgodził, mówiąc, że lekarstw mu nie starczy.

– A doktor stąd? – spytała Katja, podbiegając do rządcy, który sadił wielkimi krokami przez sień. – Zna pan może jego nazwisko...? – zapytała, ale odpowiedź stała się zbędna, bo oto drzwi na końcu korytarza się otworzyły i stanął w nich doktor Roztworowski.



**T**yszkowski miał szczerzy zamiar wysadzić dzieci przy wjeździe do Jamnej, żeby nie kompromitować się dodatkowo w oczach wieśniaków, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Żal mu się zrobiło smarkul. Pozostawione same sobie mogły gdzieś zemdleć z głodu i zmę-

czenia. Wystarczy, że ta jędza Katja nagadała we wsi, że jaśnie pan zamierza dzieci potopić! Zrobi jej na złość!

Umęczone druciarzówny posnęły: Wikusia z gęsią w objęciach, a Mania z workiem. Toni dla bezpieczeństwa powiązał sznurem obie dziewczynki, a sznur przytroczył do pasa.

Przejeżdżali właśnie przez mostek nad Jamninką, gdy Mania nagle się pochyliła i mało brakowało, a fiknęłaby kozła nad końskim grzbietem. Toni złapał ją w ostatniej chwili i usadził prosto w siodle. Dziewczynka obudziła się.

Przez chwilę przecierała zaspane oczy.

– Co to za ludzie, jaśnie panie? – spytała.

Toni się rozejrzał. Wzdłuż gościńca prowadzącego do jamneńskiego dworu trąkotała grupka rozemocjonowanych włościan. Na widok jaśnie pana tłum przycichł. Gdyby Tyszkowski miał podać definicję określenia „nieufne spojrzenie”, ów ludzki szpaler nadałby się do tego idealnie. Chłopstwo patrzyło spode łba i tylko nieznaczne skinienia podbródkiem w kierunku jeźdźca mogły imitować powitalny pokłon. Nad głowami w chustkach i baranich czapach parowały zmieszane ze słowami oddechy.

– Czaroducha kazała naszemu panu swe pomioty przywieźć – dobiegło uszu Toniego. – Z wody je wyratował, coby się nie potopiły!...

– Przecież to ona powódź ściągnęła, czarcica!... A sama uciekła!

– I zarazę! Ślepą babę do cerkwi przywiodła!

– Pieniądz jej dała! Zapłaciła jej, żeby całą wieś cholera zjadła!

– Sama precz wyjechała, a urocznymi oczami przygląda się skądeś, jak zdychamy!

Tyszkowski miał ochotę ryknąć: „Co to za szemranie?! Na kolana!” i trzasnąć na odlew batem dla większego efektu, ale po pierwsze, ręce miał zajęte trzymaniem lejców i dzieci, a po drugie, niechcący mógł uderzyć drepącego przy Azie Marlonka.

Wstrzymał konia. Powiódł po zebranych surowym spojrzeniem.

– Słuchajcie no, niewdzięcznicy!

Rozległ się szmer oburzenia. Tyszkowski gestem uciszył włościan.

– Tak! Niewdzięcznicy, bo widziałem, co przygotowaliście dla czaroduchy: brony, widły i grabie wywrócone ostrzami do góry! A ona wam tymczasem darowuje ten oto worek z tłustymi kurami! Abyście jej źle nie wspominali, bo nie wyjechała stąd, żeby patrzeć jak umieracie, ale by chorych doglądać!

Odpiął worek od siodła. Przeczekał, aż szum konsternacji ucichnie, i nie czekając na komentarz jakiegoś mądrali, że pewnie kury są przeklęte, wręczył gdaczący wór wójtowi. Ten przyjął dar z głębokim ukłonem.

– Dziękujemy jaśnie panu za łaskę! – wyburczał, uchylając baraniej czapy.

– Rozdziel wedle swego uznania. I przykaż, niech brony i widły pochowają, bo jeszcze jaki pies albo dziecko się skaleczy!

Nie czekał dłużej. Trącił piętami Ażę. Tłum, zaskoczony niespodziewanym prezentem, rozstał się przed jaśnie panem – tym razem z szacunkiem i bez szeptów.



**Z**aczęło się źle już od samego początku, bo Roztworowski oświadczył, że wspólne leczenie z wiejską znachorką uraża jego godność, a jedyne, co może uczynić (na gorącą prośbę obu jejmości), to tolerować tę ciemną dziewczkę jako posługaczkę. Katja – wprawiona w milczeniu na birczańskim dworze – przystała na tę propozycję, choć w środku wszystko jej się gotowało. Takiej zniewagi jeszcze nigdy nie doświadczyła! Po co w takim razie wezwano ją tutaj? Żeby zamiatała apteczny składzik czy podawała Roztworowskiemu lekarską torbę? Po co prawie gwałtem wyrwano ją z leśniczówki, od dzieci, od chorych w Trójcy i sąsiednich wioskach?!

Doktor oczywiście ją rozpoznał. Skojarzył ich pierwsze spotkanie przy niewładnej nodze Antoniego Tyszkowskiego i jak to sam z lubością określił, „uratował jaśnie pana przed smarkułą, co nic nie umie, a potrafi tylko krwi napsuć”. Aptekarka na końcu języka miała ripostę, że lepiej krew psuć, niż puszczać bez umiaru, zmilczała jednak i pokornie zniosła reprimendę.

Roztworowskiemu milczenie nie wystarczyło. Nie wiadomo, czy z konieczności, czy tylko złośliwie, ale zaraz po obchodzie wysłał Katję do składu aptecznego i zabronił wyściubiać stamtąd nos.

Chcąc nie chcąc, Katja zastosowała się do polecenia i do obiadu przesiadziała zamknięta w składziku, z nudów studiując „Ustawę dla farmaceutów i aptek zatwierdzoną przez Radę Administracyjną byłego Królestwa Polskiego z dnia 21 października 1844”, którą i tak musiała znać na pamięć za czasów Batki.

Sam składzik prezentował się bez zarzutu: ciemne, czyste pomieszczenie, wyposażone w wagi, flaszki i słoje z zielonego szkła, co dobrze świadczyło o właścicielce dworu. Naczynia zawierały większość tego, co Rada Administracyjna byłego Królestwa Polskiego wymagała przepisanymi, a więc: ałun, amoniak, boraks, ołowiane plastry, saletrę, emetynę i wiele, wiele innych, w tym także zioła. Katja z ciekawości zajrzała do przeznaczonych na nie pojemników i dostrzegła jedynie trzy susze: korę kruszyny, senes i kłącze rzewienia. Wszystkie trzy działały przeczyszczająco i w czasie cholery nie wolno ich było stosować. Przynajmniej według Batki. Roztworowski mógł uważać inaczej.

Zwiedziwszy składzik, Katja – korzystając z nieobecności doktora – wymknęła się do infirmerii. Przysposobiono na nią dwie duże izby w amfiladzie, rozdzielone drzwiami: na samym końcu znajdował się skład apteczny, potem mniejsza, przechodnia izba z piecem pełniącą rolę kuchni, gdzie przyrządzano cholerykom posiłki, aż w końcu największa sala z łózkami dla chorych. Łóżka były przedzielone parawanami, aby zapewnić intymność i ograniczyć nieprzyjemne widoki (a tych ostatnich nie brakowało, podobnie jak koszmarnych dźwięków

i zapachów). Ciągłe biegunki, wymioty, bolesne skurcze, wydzierające z gardeł chorych dzikie wrzaski, utraty świadomości i napady szału – wszystko to przypominało Katji sceny z wnętrza piekieł, namalowane na północnej ścianie jamneńskiej cerkwi.

Szpitalik graniczył przez ścianę z pralnią, skąd dostarczano świeżą pościel i bieliznę. Niestety, zgrabiałe ręce praczek mówiły same za siebie. Do prania używano zimnej wody, co Katję zaniepokoiło, albowiem Batko surowo nakazywał w receptariuszu, aby wrzucać do wrzątku wszystko, co miało kontakt z wydaliniami chorych, a skażone sprzęty przecierać specjalnym, olejkowo-alkoholowym eliksirem, złożonym w równych częściach z kajeputu, goździka, anyżu i mięty. Doktor Roztworowski najwyraźniej i tej wiedzy nie posiadał albo uważał gotowanie zarażonych brudów za fanaberię.

Chorym, prócz Katji, usługiwały dwie młode dziewczyny: Hela i Lesia. Hela – czarnobrewa piękność o pełnych piersiach, biodrach i wąskiej tali, na której stale drapowała fartuch, by podkreślić figurę – strzelała oczami za Roztworowskim i pracowała tylko wtedy, gdy patrzył. Za to Lesia – równie ładna, ale nieporównanie skromniejsza szatynka o łagodnych oczach – wydawała się szczerze przejęta swymi pacjentami. Traktowała ich z troskliwością i szacunkiem, bez słowa skargi zmieniała powalane prześcieradła, myła, karmiła i zjawiała się przy łóżku zawsze, kiedy tego potrzebowali.

Gdy Katji wreszcie pozwolono oficjalnie opuścić składzik i dołączyć do grona posługaczek, było już późne popołudnie, a pacjentów zostało tylko dziewięciu. Cholera, lubująca się w dzieciach i starcach, zabrała parochowi dziesięcioletniego syna oraz sędziwą matkę. Zabrała mu także łzy, którymi mógł opłakać stratę, biedak leżał więc tylko i wył w poduszkę. Fornal z Rajskiego, który liczył ponad sześćdziesiąt lat, zmarł jakąś godzinę po matce parocha. Z szeptów pozostałych chorych wynikało, że doktor podał nieszczęśnikowi gorzką nalewkę, po której fornalowi zeszytniał kark i szczęki. W godzinę po przyjęciu eliksiru

mężczyzna począł cały drzeć i prężyć się jak w ataku epilepsji, a jakiś czas później oddał ducha z głupim uśmiechem na twarzy<sup>[18]</sup>.

Aptekarce trzeba było jakiegoś kwadransa, żeby się domyślić, że oficjalista nie zmarł na zarazę, ale na złe lekarstwo. Owoc kulczyby wroniego oka działał niezawodnie (Batko zalecał ten specyfik w małych ilościach studentom przed egzaminami oraz starcom, którzy poślubiali młode żony), jednak dawka lecznicza niewiele różniła się od śmiertelnej. W każdym razie dla fornała okazała się zbyt szczodra. „Pamiętaj, córuchno, używać wroniego oka w ostateczności – mawiał Batko – nie dlatego, że jest nieskuteczne, ale dlatego, że powoduje śmiertelne skutki uboczne”.

Zgon człowieka, któremu podano morderczą dawkę strychniny, przynębił Katję okrutnie, jednak swoim spostrzeżeniem nie śmiała się z nikim podzielić. Zamiast tego, ponaglona przez Lesię, udała się do przestronnej bawialni z kominkiem, skąd dobiegał już władczy, nie znoszący sprzeciwu głos Roztworowskiego:

– Zapewniam czcigodne panie oraz wszystkich tutaj, że zarazę... – Jego wzrok padł na stojącą w drzwiach Katję. – ...leczę wyłącznie naukowo, opierając się na badaniach niejakiego doktora Józefa Dropsy'ego, lekarza Guberni Wołyńskiej. Tenże doktor, autor wielu uczonych dzieł, twierdzi bezsprzecznie, że przyczyną cholery jest mroźne powietrze, a naukowo mówiąc, powietrze ubogie w elektryczność dodatnią!

Katja przewróciła oczami, jednak towarzystwo zebrane w salonie – wliczając w to obie panie, Maciejową, wielebnego Bernarda, oficjalistów i resztę lekko zniecierpliwionych, bo oderwanych od roboty sług – westchnęło z podziwu. Roztworowski mówił dalej, przechadzając się wzdłuż ściany i przyglądając się otoczeniu z mieszaniną rozbawienia i pogardy, właściwej ekspertom w swoim fachu.

– Spytacie, czcigodne panie, i wy tam... – Machnął tłustą łapą, wskazując na słuchaczy bez szlacheckiego rodowodu. – ...jakie jeszcze środki

zastosuję, aby tutejsza zaraza w... no, jak się ta wioska zwie, bo już tyle ich zwiedziłem, że gubię rachubę...

– W Zawozie – mruknął ktoś.

– W Zawozie... panie wybaczą. – Doktor skłonił się przed Rozalią i Wiktorią. – Aby zaraza w Zawozie pozostała tylko nieprzyjemnym wspomnieniem tegorocznej wiosny. – Splótł ręce za plecami. – A więc w kuracji według doktora Dropsy’ego dwie rzeczy są najważniejsze: wypróżnianie i womitowanie! Trzeba organizm wyczyścić całkowicie z chorobowego pierwiastka! Na to pierwsze zacznę od podania mocnej kawy co pół godziny, potem *rheum* i olej z kleszczowiny. Następnie ipekakuana do spółki z emetykiem, a także kalomel<sup>[19]</sup>, proszek Dovera<sup>[20]</sup> i gorzka sól<sup>[21]</sup>. Aby wywołać oczyszczające wymioty żółcią, potrzebny będzie *oleum crotonis*. – Zerknął znacząco na obie panie. – Liczę przy tym na to, że moje czcigodne dobrodziejki zamówią wszystko, co niezbędne, i nie pozbawią mnie leków, bo to hańba najgorsza dla lekarza, na którego głowę potem gromy spadają za niepowodzenia w kuracji!

– Jutro wyślę posłańca do apteki – zapewniła pani Rozalia.

Roztworowski kontynuował wywód, nie szczędząc zebranych łacińskich nazw i wyraźnie rozkoszując się faktem, że nikt ich nie zrozumie. Katja słuchała tyrady ze zgorzaniem, bo tak powszechne środki, jak *rheum*, czyli rzewień, albo ipekakuana, czyli wymiotnica stały w prawie każdym aptecznym składzie, tyle że polski język odzierał je z tajemniczości.

Natomiast propozycja kuracji przyprawiła dziewczynę o gęsią skórę. Teorię, według której cholere należało atakować na zmianę lekami przeczyszczającymi i wymiotnymi, Batko uważał za absolutnie chybioną. Zbyt wielu pacjentów umierało z wycieńczenia organizmu, a potraktowani kulczybą, opium czy zabójczym olejem krotonowym, szybciej przenosili się na tamten świat. Doktor nie wspomniał o stosowaniu ziół ani o nawadnianiu chorych, którzy niejednokrotnie za sprawą biegunki byli tak pozbawieni płynów, że nie posiadali łez, potu ani śliny, a ich krew gęstniała jak galareta. Batko zaczynał od przywrócenia wody

w ciele, bo to ona rozprawiała lecznicze substancje, a później dopiero uderzał w zarazę ziołowymi dekoktami.

Uczoną perorę przerwał głośny, dziecięcy jęk dochodzący od strony szpitaliku. Wszyscy obecni odwrócili ze współczuciem głowy, tylko doktor spokojnie dokończył:

– Jak macie właśnie okazję słyszeć, nie wszystkim pacjentom spodobalo się to, co dla nich przygotowałem, hehe... Już ostrzegłem, że jak który zacznie w nocy krzyczeć i pobudzi domowników, to otrzyma specjalną kurację: będzie się leczył sam! Ja zaś mogę zalecić wszystkim tu obecnym, by udali się teraz na zdrowotną kurację obiadem. To nie przypadek, że zaraza uderza najczęściej tam, gdzie głód. Hehe...

Odpowiedziały mu kwaśne uśmiechy. Zaraza budziła grozę i chociaż dwór szczyił się już posiadaniem w swych murach lekarza, żarty – zwłaszcza w obliczu niedawnych śmierci – jakoś nie poprawiły nastroju obecnych. Katja zerknęła na panią Rozalię, która ze zmarszczonym czołem wpatrywała się we własne, splecione na podołku dłonie.

– Czy to prawda, co mówią inni chorzy? Że podał pan fernalowi z Rajskiego kulczybowy eliksir? – spytała, unosząc głowę.

Uśmiech zamarł doktorowi na ustach. Medyk zmieszał się, a po chwili odparł z oburzeniem:

– Fernal zmarł na zarazę, szanowna pani. Tak jak setki innych, którzy kulczybowego eliksiru nie stosowali. Co do samej strychninowej kuracji: zalecają ją autorytety lekarskie, a ja autorytetów nie śmiałybym podważać.

– A szkoda! – odparowała starsza pani. – Ślepa ufność właściwa jest dzieciom, a pan doktor – o ile mnie wzrok nie myli – wyrósł już z tego wieku.

Roztworowski spurpurowiał na twarzy.

– Jaśnie pani kwestionuje moje metody?

Pani Rozalia dotknęła pięknej, wysadzanej ametystami karawaki<sup>[22]</sup> na piersi.



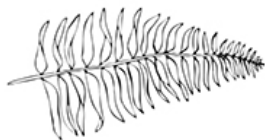
– Kwestionuję jedynie pańską ślepą wiarę w autorytety, drogi panie. Co rok, co dwa, w miarę pojawiania się kolejnej fali zarazy objawia się jakiś mędrzec ze swoją cudowną kuracją, którą obiecuje zbawienie rzeszom nieszczęśliwych. A wy bezkrytycznie stajecie się ich kapłanami, wy, doktorzy, po studiach, po szpitalnych praktykach, doświadczeni widokiem śmierci tak samo jak wasi mistrzowie, autorzy naukowych rozpraw. Cóż więcej oni wiedzą o cholery, czego pan, doktorze, nie wiedziałby...? Czyżby oglądali więcej chorych i umierających od pana? Od pana, doktorze, który z poświęceniem jeździ po całym sanockim cyrkule od tyłu lat i widzi, jak zaraza zbiera okrutne żniwo w postaci setek ludzkich istnień! A jednak kiedy pacjent umiera po zastosowaniu nowomodnej kuracji, nie ma pan odwagi postąpić po swoim i dociekać prawdy. Ba! Nie ma pan odwagi nawet powiedzieć: „To nie działa”, „Pomyliłem się”!

Roztworowski stał blady, zaciekle żując wąsy. Giebułtowska przyglądała mu się bez mrugnięcia okiem.

– Zmarł dobry człowiek i dobry fernal. Służył w naszym majątku przeszło trzydzieści lat, zostawił żonę i pięcioro dzieci. Oczekuję zatem, że zanim zjawi się pan na obiedzie, najpierw ulży pan cierpieniu nieszczęśliwego dziecka, które tak krzyczało. Chciałabym, żeby chłopiec przeżył, bo nie mam tylu poddanych, aby próbować na nich skuteczność zawodnych receptur. – Skończywszy mowę, odwróciła się do córki i rzuciła ponaglająco: – Wiktorio, chyba na nas już czas? Wolałabym, żeby mój ukochany, świeżo przybyły gość nie czekał zbyt długo na obiad.

Rozalia skinęła głową doktorowi. Rządca podał seniorce ramię, drugie ramię zaoferował pani Wiktorii, po czym cała trójka opuściła salon.

Możni podążyli do jadalni za zapachem rosółu, reszta obecnych zaś rozeszła się do swoich zajęć. Zirytowany doktor pospieszył do szpitalika i po chwili dało się słyszeć przez ścianę, jak niewybrednymi słowami ruga niesforne pacjenta. Potem zapadła cisza.



Tego samego dnia Toni oddał dzieci pod opiekę ojca i natychmiast tego pożałował. Aleksy, zamiast w pierwszej kolejności zająć się obowiązkami, a więc zsunąć oficerki z jaśniepańskich opuchniętych nóg, a futro z jaśniepańskich obolałych pleców – najwyraźniej zwariował ze szczęścia. Ścisnął córki, płakał, dziewczynki podskakiwały z radości, brudząc czarnymi stopami dywan, a do tego piszczwały: „tatulo, tatulo” tak głośno, że Tyszkowskiemu dzwoniło w uszach. Marlon szczeptał, przez nikogo niepilnowana gęś łaziła po stole i dziobała zajadłe gęsie pióro Tyszkowskiego, podejrzewając najpewniej, że to jedno z jej własnych. Co więcej, spaskudziła się przy tym na list od Kowalskich z pytaniem o termin spłaty weksla, nie przypuszczając pewnie, że dzięki temu Toni darował jej godzinę życia.

Jaśnie pan usiadł na zydlu i westchnął znacząco. Oficerki – nasiąknięte błotem i wodą – wyschły i zeszytniały. Już, już, prawie się schylił do tej urągającej szlachcie roboty, kiedy w drzwiach zjawiała się Sabina. Toni otworzył usta, szykując się do wyartykułowania prośby, jednak szybko je zamknął. Ochmistrzyni, nawet nie drasnawszy wzrokiem pryncypała, rzuciła się ścisnąć druciarzówny, po czym okręciła się na pięcie i zawróciła do kuchni po kluski, którymi – jak Toni właśnie się dowiedział – obie smarkate zajadały się podczas ostatniego pobytu w Jamnej.

Tyszkowski czekał cierpliwie, aż chamstwo zauważy jego obecność. Nadaremnie. Dopiero Mania, zmęczona gonitwą za gęsią dookoła stołu, podeszła do Toniego i zmrużyła kpiąco oczy.

– Nie potrafi pan zdjąć butów?

Tyszkowski miał na końcu języka, że jaśnie panowie nie są od takich czynności, ale sceptyczna mina dziecka przeważała szalę. Chwycił za obcas, zaparł się z całych sił i pociągnął. Miał wrażenie, że oficerkę zsu-

nał się z nogi wraz z połową pięty. Z drugim butem poszło niewiele szybciej.

– Faj! – skomentowała Mania. – Ale smród!

Zerknął na swoje stopy. Rzeczywiście cuchnęły, były blade i spuchnięte.

– Wyglądają jak rozgotowane kluchy – dobiła go dziewczynka, podając kaptcie.

Mruknął jakieś podziękowanie. Ulga przy wkładaniu pantofli nigdy nie wydała mu się tak rozkoszna.

– Okropnie te pana buty zniszczone. I zbiegły się, i całe z błota. Już w nich pan nie będzie chodził, bo są za ciasne. – Wbiła w Tyszkowskiego badawczy wzrok. – Prawda?

Domyślał się, dokąd zmierza wymiana zdań.

– Nieprawda. Od za ciasnych butów jest czernidło, воск, a w ostateczności szewc. Zbyt wiele kosztowały, żebym miał się ich, ot tak, pozbywać.

Mania przełknęła ślinę.

– A wiele są warte?

– Tyle, co ty i twoja siostra razem wzięte... Plus gęś.

Buźka Mani przybrała skrzywdzony, buntowniczy wyraz.

– Ale możesz je pożyczyć... – Zreflektował się natychmiast. – Rzecz jasna, masz tylko chodzić we dworze po korytarzu i tylko tam, gdzie czysto! – zastrzegł. – Żadnego biegania po kurzych gównach!

Mania rozpromieniła się w sekundzie.

– Naprawdę?! Dziękuję!!!

– I pod pewnym warunkiem...

Położył palec na ustach, ściszył głos.

– Powiesz mi, gdzie jaśnie pani wywiozła Katję.

Katja biła się z myślami. Z pewnością nie był to najlepszy moment, żeby wspomnieć Roztworowskiemu o ziołach na zarazę, które ze sobą przywiozła, ale przecież każdy następny mógł się okazać gorszy.

Pełna złych przeczuć stanęła na progu szpitalnej izby i uchyliła drzwi. Roztworowski siedział bokiem na łóżku synka parocha. Lesia przytrzymywała dziecku głowę, a doktor przybliżał do wrzeszczącej buzi śmierdzący eterem kieliszek.

– Uspokój się! – warknął.

Chłopiec zacisnął zęby. Nos podpowiedział Katji, że w kieliszku znajdują się krople Hoffmanna<sup>[23]</sup>, zazwyczaj dedykowane hałaśliwym pacjentom.

– Myśli pan, że to pomoże dziecku?! – warknęła, nim zdążyła ugryźć się w język. – Nie uzdrowi go to, tylko znieczuli!

Roztworowski rzucił jej spojrzenie zarezerwowane dla gzów, komarów i innych brzęczących, uprzykrzających bliźnim życie istot. Obwisłe policzki nabiegły krwią.

– Ktoś cię pytał o zdanie, czarownico? Zamknij się i wynocha do swoich obowiązków!

Chłopiec zerkał rozpaczliwie na aptekarkę, szukał wzrokiem rodziców, płakał i wiercił się w uścisku. Leżąca na sąsiednim łóżku księżdżowa, o rysach ledwie przypominających ludzką twarz, odwróciła głowę w stronę syna:

– Daniło... – wyszeptała po rusińsku. – *Ne placz. Pan хочi tobi dopomochty.*

– Niech pan doktor pozwoli mi się nim zająć. – Katja zmieniła ton na proszący. – Mam zioła...

Lekarz wydał z siebie sarkastyczny rechot.

– I co jeszcze? Sierść czarnego kota? Kurzą stopkę? Szałwię do kadzenia?... Dobrze wiem, jak czaroduchy leczą, widziałem nie raz, nie dwa te

pogańskie gusła! – Pochylił się nad malcem i wrzasnął: – Uspokój się, bo cię zwiążę!

Udało mu się wreszcie wlać zawartość kieliszka pacjentowi do ust. Po chwili jednak Daniło nadał policzki i wypluł wszystko na rękaw odprasowanej marynarki Roztworowskiego. Doktor sapnął z wściekłością. Katja złękła się, że uderzy chłopca, ale na szczęście powstrzymało go ostrzegawcze spojrzenie księżzowej. Kobieta przywołała Roztworowskiego do siebie, gestem pokazując, że chce mu coś powiedzieć. Pochylił się w jej stronę. Katja nie słyszała słów, ale po minie rozmówcy domyśliła się, że jest wściekły.

– Brawo! – warknął i rzucił aptekarce spojrzenie spode łba. – Tutejsza głupota i zabobon są nieuleczalne! Matka Daniły chce, żebyś leczyła jej dziecko. – Załamał ręce nad księżzową. – Nieszczęsna kobieto! Nie widzisz, że choroba odbiera ci rozum?!

Księżzowa nic nie odpowiedziała. Doktor wytarł chusteczką powalaną marynarkę.

– Rusińskie kołtuny – mruknął pod nosem. – Zaraportuję o tym jaśnie paniom, niech decydują, co z wami czynić, żeby potem na mnie wina nie spadła, jak znowu kto zemrze! Niewdzięcznicy!

Pomaszerował do wyjścia. Trzasnęły drzwi, a Katję załapała niebiańska ulga. Przykucnęła przy łóżku dziecka.

– Daniło? Tak masz na imię?

Chłopiec, na oko pięcioletni, pokiwał głową. Cholera nie zdążyła go jeszcze stłamsić. Z tego, co aptekarka zaobserwowała, malca piekło w dołku żołądkowym, a widok jedzenia wywoływał mdłości. Rano miał biegunkę, a teraz, gdy płakał, w rozdziawionej buzi bielił się obłożony język.

– Dostaniesz ode mnie coś do picia. Paskudne, ale trochę mniej paskudne niż krople od doktora. Wypijesz?

Znowu pokiwał głową. Przypominał jej trochę synka Józefa, Dmytro, choć między Bogiem a prawdą, wygląd chorych w miarę postępowania

cholery zmieniał się tak bardzo, że upodabniali się do upiorów zasiedlających krwiożercze rusińskie legendy. Katja uśmiechnęła się do chłopca i pogładziła policzek z czarnymi podkówkami zapadniętych oczu. Rozpacz ścisnęła ją w gardle.

– Poczekaj chwilę. Zaraz wracam.

Pospieszyła do składziku. Ledwie odnalazła jeden z dwóch ciężkich słoików z ziołami, które zabrała z leśniczówki, gdy szczęknęły otwierane drzwi. Domyśliła się, że to jedna z pielęgniarek.

– Ej, jak ci tam? Katja!

Aptekarka przeniosła wzrok na Helę, która wyciągała ku niej tacę z kieliszkami, wypełnionymi do połowy jakąś czarną mazią.

– Rozdaj to chorym. Doktor kazał.

– Co to jest?

– Czy to ważne? – zirytowana Hela wcisnęła jej tacę do rąk. – Mówię, co kazał doktor, przed chwilą wydał polecenia! Bierz się do roboty, nie przyjechałaś tu odpoczywać!

Katja poczekała, aż dziewczyna wyjdzie, postawiła tacę na szerokim parapecie i skosztowała zawartość kieliszka. Mdlący smak oleju rycynowego zmieszanego z kawą uszczypnął ją w język. Niewiele myśląc, szurnęła tacę na bok i zajęła się parzeniem ziół dla małego Daniły.

W drzwiach składziku pojawiła się Lesia. Na widok pełnych kieliszków zrobiła wielkie oczy.

– Miałas podać to pacjentom – zaczęła, ale w jej głosie prócz pretensji brzmiała ciekawość. – Doktor będzie zły... Lepiej go nie prowokować. Nie wiesz, co potrafi wyczyniać, kiedy któraś z nas się ociąga.

Katja przycisnęła pięści od czoła. Wściekłość piekła ją w żołądku, jakby najadła się pokrzyw.

– Doktor to idiota! – wycedziła. – Nie wiem, co potrafi zrobić, kiedy ktoś się ociąga, i niewiele mnie to obchodzi, ale wiem, co zrobi każdy chory po kawie wymieszanej z rycynusem!

– Co? – szepnęła Lesia.

– Wielką kupę!... – nie wytrzymała Katja. – A organizm pozbędzie się resztek drogocennej wody! Po wypiciu tego świństwa pacjent bardziej osłabnie i zostawi cuchnącą plamę na prześcieradle, którego bynajmniej nie zmieni doktor, ale któraś z nas!

Lesia tkwiła w drzwiach jak skamieniała i tylko jej falująca gwałtownie pierś wskazywała na to, że dziewczyna oddycha.

– Ale przecież doktor kazał – wymówiła bez tchu.

Naraz zmieniła ton, w oczach pojawiły się iskierki zrozumienia.

– Mój Boże, to ty! To ty! To o tobie mówiono, żeś wnuka pani Rozalii, pana Antoniego wykurowała! Mówili, że przybędziesz do nas leczyć cholere... Żeś znachorka, zielarka...

– I czaroducha! – Katja zacisnęła dłoń na tacy. Kieliszki brzęknęły o siebie. Jeden z nich uderzył o podłogę i roztrzaskał się z cichym kłębnięciem. – Tak mówią, prawda? Żem czaroducha i na niczym się nie znam, tylko jak panów bałamucić! Ale jedno wiem: nie przyjechałam tu, żeby komu śmierć przyspieszyć! Od tego jest zaraza!

Chwyliła napar, odsunęła na bok osłupiałą Lesię i wybiegła ze składziku. Łzy wściekłości płynęły jej ciurkiem po policzkach. Ocierała je fartuchem, łokciem, warkoczem, ale nie ustawały. Co ona tu robi?! W tej kuźni szaleństwa, gdzie zmuszają ją do krzywdzenia bliźnich?! Nie tak ją Batko uczył, nie tak wychował! Niech się dzieje, co chce, ale ona do zła i głupoty ręki nie przyłoży!

Weszła do szpitalnej izby i przysiadła na łóżku małego Daniły.

– Pij! – Pogładziła chłopca po twarzy. – Do dna.

– Co to? – Za jej plecami rozległ się głos księdzowej. – Elik sir?

– Bukwica, kuklik, niedźwiedzi czosnek, malinowe i jeżynowe liście, jałowiec, arcydzięgiel, imbir i szałwia – wyrecytowała Katja, odwracając się do rozmówczyni. – Wieczorem podam chłopcu drugą dawkę.

– Nie zabij mojego dziecka – szepnęła księdzowa. Jej oczy, zgaszone i otępiałe od bólu, wyglądały jak dwie zaśniedziałe monety. – Już mi jedno zaraza zabrała, niech mi choć to oszczędzi.

Chłopiec opróżnił kubek, padł ciężko na siennik i zamknął sine powieki. Jego ciałem wstrząsnął długi dreszcz.

– Mogę i wam ziół przynieść, matko.

Księżdzowa pokręciła głową.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Kobieta dała znak, by Katja podeszła bliżej. Jej szara, wyschnięta twarz wyglądała jak naciągnięta na czaszkę pergaminowa maska. Czarne usta poruszyły się z trudem.

– Mówią, żeś pakt z diabłem zawarła: on leczy ciała, a ty oddajesz mu dusze chorych... Tak mąż mój od jamneńskiego parocha usłyszał...

Katji zaszumiało w głowie. Chciała protestować, ale księżdzowa położyła palec na ustach.

– Syna mojego ulecz. Niech diabeł weźmie moją duszę za niego... Moja dusza stara i niewiele warta, niechże się na coś przyda i dziecko uratuje... – Naraz jęknęła i zwinęła się w kłębek, targnięta gwałtownym skurczem.

Katja chwyciła ją za rękę, ale kobieta wyrwała dłoń i resztką sił zrobiła na piersi znak krzyża.

– Zostaw mnie, bisurkanio! – syknęła.

Aptekarka nie odważyła się spierać ani udowadniać swej niewinności. Rozpacz bijąca ze słów księżdzowej wystarczała za każde przeprosiny. Delikatnie poprawiła chorej poduszkę i się oddaliła.

Weszła do składziku, zatrzaskała drzwi. Ciemność rozciął wąziutki sztylet słonecznego światła zza okiennej kotary. Słój wypełniony przeciwcholeryczną mieszanką mienił się wszystkimi odcieniami zieleni przetykanej czarnymi owocami jałowca. Katja pogładziła szkło dłonią.

Sekunda wystarczyła na podjęcie decyzji.

Wybiegła ze składziku i zatrzymała się w sieni, usiłując sobie przypomnieć, gdzie we dworze znajduje się jadalnia.





Tego popołudnia dwór w Jamnej bardziej przypominał cyrk niż szlachecką siedzibę. Dzika kawalkada, wrzeszcząc, ile sił w płucach, biegła w tę i z powrotem po korytarzu. Na przedzie Mania z kijem i w wypucowanych oficerkach, za nią Wikusia, za Wikusią gęś, a za gęsią zaśliniony Marlon. Toni, po trzech bezskutecznych próbach drzemki, wydarł się na dzieci, ale przestraszyły się go na jakiś kwadrans. Ostatecznie Tyszkowski machnął ręką i nakazał Aleksemu szykować podróżny kufer. Sługa spakował dziesięć jedwabnych koszul, kilka garniturów, pachnidło z fiołkowego korzenia, stertę wykrochmalonych chustek do nosa i pudełko cygar, po czym został oddelegowany do piwniczki.

– Tylko nie bierz za dużo węgrzyna! Dziesięć butelek na drogę wystarczy!

– Jak pan każe, jaśnie panie! A na miejscu nie zabraknie?

Tyszkowski posłał mu pobłażliwy uśmiech.

– U babki stoi połowa naszych zapasów. Matka, jak zobaczyła, że pociągam z butelki, to najpierw zamknęła piwniczkę na klucz, a potem, po śmierci ojca, wywozła cały węgrzyn do Zawozu. Pewnikiem teraz wypróżnia tę piwniczkę bez litości! A mnie zabrania!

– Jaśnie pani? – zbulwersował się Aleksy. – Pije? Jak to?!

– A coś ty myślał? W końcu mieszka w Bieszczadach.



Stała dłuższą chwilę na korytarzu, łowiąc uchem dobiegające z jadalni odgłosy uczty i rubaszny śmiech Roztworowskiego. Zabawiał towarzystwo jakąś anegdotką, podczas gdy za ścianą cierpieli ludzie!

Miała ochotę wpaść do środka i walnąć pięścią w zastawiony frykasami stół, ale rozsądek zwyciężył. Fantazyjne gesty są dla dobrze urodzonych, a dla biednych zielarek ze zrujnowaną reputacją najskuteczniejsze jest poddanie się woli możliwych i pokora wobec losu.

Katja mocniej otuliła się wystrzępioną chustą. Nie miała żadnego planu. Wiedziała tylko, że będzie czekać tyle, ile trzeba na panią Wiktorię, panią Rozalię albo kogokolwiek, kto zwolniłby ją z obowiązku usługiwania Roztworowskiemu. Z jadalni dobiegały śmiechy, brzęk sztuców mieszał się z odurzającą wonią pieczonego mięsiva, co jakiś czas dolatywał pobożny, aksamitny bas Bernarda, intonujący coś na kształt modlitwy. Katja uczestniczyła w uczcie uchem i nosem przez całe pół godziny, po czym nastąpiło szuranie krzesel, chrobot otwieranych przez służbę drzwi i oczom przyczajonej w cieniu aptekarki ukazali się opuszczający salę biesiadnicy.

A wśród nich, w pierwszej parze pod rękę z panią Rozalią... nie kto inny, tylko dziedzic Józef Tyszkowski!

Zaparło jej dech. Szykowny, w jedwabnej koszuli i angielskiej, kracastej kamizelce jak zwykle przewyższał o głowę wszystkich obecnych. Na widok aptekarki uśmiech zamarł mu na ustach. Znieruchomiał. Katja spiekła raka.

– I otóż o tej pannicy mówię! – ozwał się kraczący głos Roztworowskiego. – Głupia i krnąbrna! I przemądrzała!

– Na pewno o tej? – Tyszkowski uniósł dłoń do czoła, jakby nie dowiedział własnym zmysłem. Brylantowe spinki do mankietów błysnęły aptekarce po oczach.

– O tej, drogi doktorze, nie wypada mówić inaczej, jak tylko anioł. Anioł dobroci, mądrości i miłosierdzia – oświadczył tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Katja znów się zarumieniła. Z satysfakcją odnotowała ciszę, którą przerywało tylko wściekle sapanie Roztworowskiego.

– Miałem okazję przyglądać się aptekarskiemu kunsztowi panny Katji – ciągnął dziedzic – Miałem także przyjemność współpracować, jeśli

mogę się tak wyrazić, z panną przy kurowaniu nogi mego starszego brata, gdzie i pan doktor... – Skłonił się przed medykiem. – ...próbował swych sił z chorobą.

– Pański brat miał szczęście, że przeżył! – wybuchnął Roztworowski.  
– Te podejrzone mazidła tylko przedłużyły jego cierpienie!

Katja wzdrygnęła się. Kiedy leczyła kolano Antoniego Tyszkowskiego z potwornej opuchlizny po upadku z konia, doktor – tak samo jak teraz – wyśmiewał ją publicznie, wyzywając od szeptuch i wiedźm. Zachowywał się niczym zazdrosny kundel, nieszczęśliwy, że państwo zamiast niego głaszczą innego psa.

– Czy to ważne? – wtrąciła pani Wiktoria. – Ważne, że syn mój chodzi, a o zasługi dla jego zdrowia nie ma się co spierać. – Rzuciła Katji surowe spojrzenie – Co tu robisz, moja droga? Nie powinnaś być przy chorych?

Katja dygnęła.

– Przyszłam tu wyłącznie w trosce o nich, jaśnie pani. Jeśli to nie kłopot, czy mogłabym zamienić słowo z jaśnie panią... – Tyszkowska uniosła sceptycznie brwi, więc dziewczyna przeniosła wzrok na jej matkę. – ...albo z jaśnie panią Giebułtowską? To bardzo ważne.

Kobiety skrzyżowały spojrzenia.

– Oczywiście – zaczęła z uśmiechem pani Rozalia, ale w tym momencie wnuk poklepał ją uspokajająco po ręce.

– Nie kłopot się tym, babciu. Ja zaraz rozmówię się z panną Jekateryną i zaradzę, w czym będę mógł.

Zanim starsza pani zdążyła zaprotestować, Józef ucałował jej dłoń i zdecydowanym krokiem podszedł do aptekarki.

– Porozmawiajmy w jadalni. Poczekaj tam na mnie, panna. Zaraz przyjdę.

Katja dygnęła i wyminąwszy towarzystwo, przemknęła do jadalni, nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać.

Wsunęła się do środka i ciężko opadła na krzesło przy długim, zastawionym poobiednimi resztkami stole. Służba jeszcze nie sprzątnęła, więc w powietrzu unosił się smakowity zapach pieczystego. Patery ugięły się pod ciężarem niedojedzonych ciastek, łyżka tonęła w warzywnej sałatce, obficie okraszonej majonezem. Ogryzione kości na talerzach, resztki tłuczonych z mlekiem i solą ziemniaków, obwódki po kawie na filiżankach. Żyrandol wyłaniał z mroku skrzące się tęczowymi iskierkami, kryształowe miseczki z wodą do mycia rąk (zbyt czystą jak na wodę ze stawu) i olejne obrazy na ścianach.

Na wprost Katji widniał pięknie odmalowany portret myśliwego – mężczyzna był uderzająco podobny do Józefa, miał jednak nadętą minę watażki, dubeltówkę na plecach i wypolerowane oficerki, do których tulił się czarny ogar. Dziewczyna stłumiła wstręt. Szła o zakład, że do obrazu pozowała najstarsza latorośl rodu Tyszkowskich, gdyż takie stężenie pogardy mogło się zmieścić jedynie na twarzy pana Antoniego.

Skrzypnęły drzwi i w progu pojawił się dziedzic. Uśmiechnięty od ucha do ucha podszedł szybkim krokiem do Katji, w obie ręce chwycił jej dłonie i siarczyście ucałował.

– Jak miło cię widzieć!

Uśmiech miał jak zwykle zaraźliwy, a głos ciepły – równie ciepły jak uścisk szerokich dłoni o wypielęgnowanych paznokciach.

Katja straciła głos. Drżały jej łydki, co szczęśliwie skrywała zbyt szeroka suknia.

– Cóż za niespodzianka od losu zobaczyć tu naszą drogą Katrusię! Długo już tutaj gospodarujesz?

Aptekarka nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa, tak rozpraszał ją dotyk tych dłoni. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Tak jak wówczas, na serdecznym palcu prawej ręki Seppa lśnił rodowy pierścień z rzeźbionym w karneolu herbem Tyszkowskich, tyle że teraz nie dzierżył w niej bata.

Dostrzegł zmieszanie dziewczyny i puścił jej palce.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać? Mów śmiało.

Lawenda zmieszana z zapachem skórzanego siodła zaszumiała Katji w głowie.

– Jaśnie panie – wykrztusiła. – Niechże mi będzie wolno wyrazić radość, że oglądam pana w dobrym zdrowiu...

– Widzę, że rozmowa zaczyna się poważnie – zaśmiał się – bo dotyczy zdrowia. Mam rację?

– Tak. W rzeczy samej.

– I mniemam, że różnice w pojmowaniu zdrowia przez pannę i doktora Roztworowskiego są nie do pogodzenia?

Uśmiechnęła się smutno.

– Aż tak to widać, jaśnie panie?

– Och, Katrusiu! – westchnął. – Nawet gdyby nie było widać, doktor już się wygadał przy obiedzie. Że bisurkania mu chorych truże, że ziołami poi, a on, zbrojny w medyczną wiedzę, nie może przekonać do siebie pacjentów. Powiedział, że przez czaroduchę takie go nerwy naszły, że złe dawki leków odmierza, bo trzęsą mu się ręce. I prawie bym mu w te gorzkie żale uwierzył, ale się dowiedział, że rano zmarł fornal z przedawkowania kulczyby. To już pojąłem, po co zaserwował nam ten wykład. Kłopot w tym, że babka Roztworowskiego zaprosiła tutaj i teraz czuje się niezręcznie, by mu wymawiać błędy. Ale chyba znalazłem na niego sposób.

– Jaki, jaśnie panie?

Pochylił się nagle nad stołem i włożył do ust łyżkę pełną sałatki z majonezem. Przełknął, mlasnął językiem i kontynuował, oblizując palce.

– Zaproponowałem babce, aby każdy z chorych opowiedział się, u kogo chce się kurować. U doktora czy u ciebie.

Milczała, przetrawiając informację. Mogła sobie tylko wyobrazić reakcję Roztworowskiego, gdy się dowie o takiej propozycji.

– I co? Dobry pomysł?

Usiadł, przysunął do siebie sałatkę i teraz pałaszował majonezową pulpę wprost z salaterki, co chwila zerkając ciekawie na Katję.

– A co powie na to doktor? – spytała z obawą.

– Doktor...? – Dziedzic oblizał łyżkę i wzruszył ramionami. – Wścieknie się jak amen w pacierzu, ale go przekonam, że to dla jego dobra. Będzie miał mniej pacjentów na głowie. Odkąd tu przyjechał, ciągle przecież narzeka, że przepracowany! Jęczy, że zarobiony w tym szpitaliku jak koń na orce, więc posłaliśmy po pannę apteczną, która mu ujmie obowiązków... I co ty na to...? Jestem mądry? – Uśmiechnął się, ukazując między siekaczami kawałek gotowanej marchewki.

Katja odwzajemniła uśmiech.

– Dziękuję, jaśnie panie. Ale tak się boję! Nie wiem, czy podołam leczeniu, bo chorzy są w strasznym stanie! Przecież to cholera, najwybitniejsi lekarze nie dają sobie z nią rady! A co dopiero ja...?

Rozwiął jej wątpliwości machnięciem ręki.

– Doktor już kilkoro pacjentów kazał pochować. Widziałaś, żeby ujęło mu to pewności siebie?... – Włożył palec do salaterki i dokładnie wytarł nim ścianki, a potem oblizał z głośnym cmoknięciem. – Nie martw się na zapas, Katju. Zjedz co, bo chuda jesteś jak szczapa, aż sobie ostatnio trochę dworowaliśmy z Ant... – Urwał, zakaszłał i chwyciwszy w palce wielki płat śledzia, połknął go z apetytem. – W każdym razie jedz, bo ja się nie najadłem przy gładzeniu Roztworowskiego i muszę nadrobić.

Katja jak przez mgłę przypomniawszy sobie Antoniego we dworze w Jamnej oblizującego palce z konfitury i po raz pierwszy zauważyła, że obu braci łączy coś jeszcze poza smagłą, wołoską cerą.

– Jaśnie pan długo tu zabawi? – odezwała się z wahaniem.

Miała rozpaczliwą nadzieję, że powie „tak”. Był jedyną przyjazną jej duszą w tym miejscu.

– Aż Ludka przyjedzie – odparł z pełnymi ustami. – Czekam na nią.

W Katji zgasł oddech.

– Nasza Anielcia słabuje na oczy. Dlatego tak płakała na chrzcinach. Prawe oczko ropieje i żadne sposoby nie pomagają. Ludka chciała z tym iść do ciebie, ale wyjechałaś, więc baby ze wsi poradziły jej, żeby udała się z dzieckiem do tutejszej kaplicy, gdzie bije źródelko, co pomaga na oczy. Chciałem, żeby doktor obejrzał, to nie! Ma być święte źródło! No to prosiłem, błagałem, żeby chociaż powozem się ze mną zabrała, ale nie! Gdzie tam! Bo to musi być piechotą! Żeby pomogło, powiada! Nie wiesz, panna, dlaczego ludzie myślą, że poprzez cierpienie mogą sobie kupić przedmiot swoich pragnień? Czyżby Bóg pomagał tylko tym, co mają odciski na stopach...? Moim zdaniem, sprawiedliwsze byłoby, gdyby pomagał tym, co korzystają z łaski rozumu. Bo jak się ma powóz i niemowlę przy piersi, to rozumniej jest pielgrzymować na kołach, nieprawdaż...?

Popatrzył z udręką w sufit, westchnął i kontynuował.

– Więc Ludka poszła piechotą z Anielcią na rękach i jakimiś rozmo-dlonymi babami. Przez te błota, ruczaje, zalane mostki! Doprawdy, miałem tę moją niewiastę za mądrzejszą! Tak się wściekłem, że powiedziałem: „Idź sama, a jak dziecko wilk albo niedźwiedź rozszarpie, to nie miej do nikogo pretensji, jeno do siebie!”. Alem zmiarkował, że złością niczego nie wskóram, bo baba jak to baba, pójdzie, gdzie chce, i nawet się nie obejrzy, gdy w grę wchodzi dziecko! A ja przecie i tak muszę sprawdzić, czy całe i zdrowe dotarły do kaplicy, bo odkąd poszły, to ani jeść z nerwów nie mogę, ani spać! W łeb bym sobie strzelił, gdyby im się co stało! Więc przyjechałem tutaj i czekam pokornie, jak żebrak przed kościołem, na moje pątniczki. Ale teraz nie będzie proszenia i z powrotem wracamy do Jamnej powozem, żeby mieć Ludkę związać!

Katja słuchała bez tchu. Każda wzmianka o złotowłosej Ludce wbijała w jej serce kły zazdrości.

– Ach, gdyby wiedziała, że panna tu jesteś! – westchnął. – Może nie byłoby tej całej pielgrzymki!

– Niech jaśnie pan będzie dobrej myśli! Na pewno ktoś doniesie do dworu, że na Chryż przybyła grupka niewiast, a wśród nich młoda

matka z dzieckiem.

Dziedzic spojrzał na aptekarkę z nadzieją.

– Myślisz, Katju, że ją tu kto zauważy i mi doniesie?

– Takiej piękności jak panna Ludmiła nie da się nie zauważyć – odparła ze smutnym uśmiechem, czując ciężar własnej szpetoty. – Trzeba uważać tylko, aby dziecko nie zetknęło się z chorymi. Tego bym się bała najbardziej.

Dziedzic rzucił jej pełne namysłu spojrzenie. Wstał i przeczesał palcami gęstą, czarną czuprynę.

– Słuszna uwaga. No cóż, zobaczymy, co los przyniesie.

Podszedł i oburącz objął rękę Katji swymi zniewalająco ciepłymi dłońmi.

– Mam nadzieję, że choć trochę zaradziłem twoim kłopotom z doktorem, ale gdybym mógł w czym jeszcze pomóc, to stawiam się do dyspozycji jak wierny żołnierz. Teraz muszę już iść. Obiecałem babce, że zrobię objazd majątku i przejrzę rejestr gruntów. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Uśmiechnął się. Ucałował jej zielone palce – najpierw prawe, potem lewe, delikatnie łaskocząc je wargami – skinął głową i udał się do drzwi. Katja odprowadziła go wzrokiem.

Kiedy wyszedł, powąchała swoje palce – tak jak się obawiała, pachniały majonezem. Zamknęła oczy.

– Długo tu będziesz marudzić? – rozległ się czyjś zgrzytliwy głos.

Katja podskoczyła i zwróciła twarz ku kuchennym drzwiom, skąd dobiegło pytanie. Ospowata dziewczyna w za ciasnym czepku wskazała znacząco na pustą tacę.

– Naczynia chcę sprzątnąć! Nie masz swojej roboty, to innym daj pracować! – zaskrzeczała. – Jakby mnie płacili za gapienie się w sufit, to już bym była cysarzową Sysi!

Katja bąknęła: „Przepraszam” i szybko wymknęła się z jadalni.





Wiktoria bolała głowa. Roztworowski przy obiedzie uraczył wszystkich obecnych kąśliwymi uwagami na temat wiedźm i babek zielarek, które znajdują zatrudnienie w każdym galicyjskim dworze. Powtarzał to, co już słyszała od Konstancji: że zielarka kąty okadzi piołunem i klątwę zdejmie, i przyszłość przepowie ze świńskich flaków, a przy okazji uleczy wszystkie schorzenia, włącznie z łupieżem. Przez cały obiad Wiktoria patrzyła z niepokojem na matkę, czy ta mowa nie skłoni jej do przepędzenia Katji ze dworu, ale starsza pani słuchała ze spokojem. Pomiedzy jednym a drugim kęsem kurczaka grzecznie, lecz stanowczo odpowiadała Roztworowskiemu, a do tego nie wahała się punktować jego niepowodzeń w walce z chorobą. Gdy piskliwym głosem zażądał, by usunąć czaroduchę z Zawozu, odparła, że to jej dwór i ona będzie decydować, kogo pozostawi, a kogo usunie.

Nie tego oczekiwał doktor. Poirytowany faktem, że ktoś śmie mu się sprzeciwiać, wysyczał, że takie Katje powinno się pod sąd oddać, a nie hołubić w porządnym domu, na co Rozalia rąbnęła łyżką o talerz i nakazała ciszę, „chyba że doktor chce po obiedzie leczyć wszystkich na niestrawność”.

Wiktoria umyślnie nie reagowała. Opowiedzenie się po jednej ze stron byłoby sporym ryzykiem, a ona nie mogła sobie pozwolić na błąd. Życie nauczyło ją cierpliwości.

Ograniczyła się tylko do znaczącego spojrzenia rzuconego doktorowi. Spokojnie, co nagle, to po diable. Katja musi tu zostać z dala od Antoniego, ale za to potem...

Nie wiadomo, czy Roztworowski wyczuł intencję jaśnie pani, ale grzecznie zamilkł.

Teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że nikt (zwłaszcza Józef!) nie powiadomi Antoniego, że ta przeklęta dziewczka pomieszkuje w majątku

jego babki. Pogoda sprzyjała planom Tyszkowskiej. Drogi były zalane, poczta nie dochodziła, żaden goniec przy zdrowych zmysłach nie wybrałby się teraz w długą podróż na przemyskie pogórze. Seppowi trzeba tylko dodać trochę roboty, żeby szybko nie wyjechał z Zawozu. Rozłąka z tą buraczaną damą dobrze mu robi. Może nawet uda się go wyswatać z kimś z sąsiedztwa?

Boże, jak bardzo tego chciała!

Prawie tak samo mocno, jak tego, by ubyło jej bruzd na twarzy! Tyszkowska spojrzała w lustro nad biurczkiem w swoim dawnym panińskim pokoju. Nic się tu nie zmieniło. Poza odbiciem. Policzyła zmarszczki na czole, rozciągnęła skórę przy ustach. Boże, i Miluś na to patrzy! Ogarnął ją pusty śmiech. Od pewnego wieku wszelka intymność powinna być dozwolona dopiero po zmroku. Nie można młodego człowieka katować obrazem obwisłych piersi i policzków.

I pomyśleć, że ona, Wiktoria, teraz ma więcej lat niż jej mąż, kiedy został jej mężem!

Żadnego więcej męża, nigdy przenigdy, nawet tak słodkiego jak Maks! Wiadomo przecież, że ten, kto ma czyjaś miłość, ma władzę, a ten, kto się zakocha, oddaje władzę nad sobą. Miłość to hańba, to ślepe poníženie. Ten, kto tak długo czekał na wolność, nie pozwoli znów zakuć się w kajdany!

Przypomniała sobie gorące oświadczyzny tuż po swym przyjeździe z Jamnej. Musiała je odrzucić. No bo też porę Maks wybrał nieodpowiednią! Kto to widział przerywać pocałunki, krępować dłonie, którymi już, już rozpięła ostatnią haftkę w gorsecie, i bredzić coś o miłości po grób, podczas gdy w ciele kochanki płonie dzika żądza? I tak powiedziała najdelikatniej jak potrafiła:

– Milusiu, nie teraz!

A na to Miluś gruchnął na kolana, wyciągnął jakiś odpustowy ohydny pierścionek, kupiony pewnie na jarmarku za pięć krajcarów (Boże, aż tak mało mu płaci?! ) i wybelkotał:

– Zostaniesz moją żoną, najdroższa?

Zaskoczył ją. Zapięła dwie haftki, by dać sobie czas do otrząśnięcia się z tej zniewagi. Spojrzała znów na klęczącego rządcę, jego żałosny pierścionek i parsknęła śmiechem.

Maksymilian w rozchełstanej do pępka koszuli, ze wzrokiem błagalnie wbitym w jej usta, jakby za chwilę miały wypowiedzieć biblijne proctwo, czekał. Przypominał ślaniającego się z głodu psa, wpatzonego w drzwi do rzeźni.

– Odpowiedz mi, najdroższa. Błagam!... Wiem, że nie mogę ci dać niczego poza sercem chorym z miłości... Wiem, że niczego nie mam.

– Przede wszystkim nie masz wstydu! – Przerwała to zenujące przedstawienie. – Cóż ty sobie wyobrażasz? Że ja, Tyszkowska, zostanę żoną jakiegoś gołysza?!

Zamilkł. Zsiniął. Wargi zaczęły mu drżeć. Uklęła go w sam środek męskiej dumy.

– Jak to sobie wyobrażasz? – złagodziła nieco ton. – Ja, zamożna wdowa, mam się związać z jakimś młokosem bez pozycji i bez majątku? Ze zbiegłym więźniem...?

Nie znalazł na to odpowiedzi.

– Nie wystarczy ci, że uczyniłam cię rządcą? Naraziłam się na śmieszność i sąsiedzkie plotki! I oskarżenia, że spędzam z tobą czas w łożnicy i w dodatku hojnie cię za to nagradzam! Docień to, zamiast wszystko psuć!

Zatrząśł się, a potem wstał szybko z klęczek i nie spojrzawszy nawet na jarmarczny pierścionek, cisnął go do kominka. Milczał dłuższy czas, wreszcie wyszeptał z pochyloną głową:

– No cóż... W takim razie mam nadzieję, że moje słowa zostaną mi wybaczone.

– I zapnij koszulę!

Drżącymi palcami ledwie natrafił na guziki. Zapinał je w takim pośpiechu, że kilka urwał.

– Wedle rozkazu, jaśnie pani.

Zamilkł, wsunął odmrożone palce we włosy i wyglądał przez chwilę, jakby miał się rozplakać.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Jeśli jaśnie pani nie ma nic przeciwko, wrócę do swoich obowiązków, żeby uczciwie zapracować na chleb.

Skłonił się i wyszedł.

Od tamtej pory temat małżeństwa się nie pojawił, jednak między panią a jej rządcą coś się zepsuło. Nadal razem jedli obiady, a wdowie łóżko Tyszkowskiej co rusz naprawiano ze względu na rozchobotane deski. Nie wydarzyło się nic znamiennego, poza drobnym szczegółem: oczy Maksymiliana straciły blask. Rządca ostygł, jego serce stwardniało na kamień. Wiktorię – gdy patrzyła w te gasnące oczy i widziała w nich pustkę – ogarniał bezbrzeżny smutek. Cierpiała jej duma, ale nade wszystko cierpiała miłość własna, bo tylko takiej miłości nauczyło ją życie.

Maksymilian nie ponowił propozycji, choć nadal ciężko pracował w alkowie i w gospodarstwie: gdy rozkazała, nie pozwalał jej spać, gdy rozkazała, recytował Morsztyna, bez rozkazu zaś doglądał zasiewów, objeżdżał folwarki, prowadził rachunki i zawierał ugody z chłopami.

Powodów do narzekań nie miała. Miała za to pewność, że małżeństwo jest najszybszą metodą, by zniszczyć każdą miłość. Co prawda między Wiktorią a jej zmarłym mężem nie istniało nic, co mogłoby takową przypominać, jednak byłoby błędem oskarżać Wincentego o brak uczuć. Wincenty z uczuciem karał żonę, z uczuciem upominał przy służbie, nie rozpieszczał czułościowymi słowami, za nic nie chwalił i za nic nie dziękował. Małżeństwo nauczyło Wiktorię tylko jednego: że kiedy przewróci się na życiowym zakręcie, to jej mąż będzie pierwszym, który przybiegnie i dopilnuje, by przypadkiem się nie podniosła.

Targnięta nagłym wspomnieniem, podeszła do biblioteczki, w której, na wzór sztachet, stały równiutko ułożone dzienniki. Sięgnęła po jeden z zeszytów, oprawny w błękitne, mocno już spłowiałe płótno. „Dziewi-

cze” – pomyślała. Otworzyła pierwszy z brzegu wpis i przywarła wzrokiem do zapisanych drżącym pismem stron:

11 stycznia 1823

*Noc poślubna to wielkie nic. Niewart splunięcia zwierzęcy akt wyuzdania i męskiej chuci. Byłabym szczęśliwsza, nie wiedząc, jak mojemu mężowi cuchnie z ust, jak drapie mnie jego małpi zarost, jak pocą mu się ręce, gdy zdziera ze mnie ubranie. Jego szlacheckie ciało wydziela skwaśniały odór, cuchnie serem i brudnymi nogami niczym ciało żebraka. Moja matka coś musiała o tym wiedzieć, bo posypała nasze małżeńskie łóżko różanymi płatkami. Może gryzło ją sumienie, że razem z ojcem sprzedali córkę bogatemu sąsiadowi, jak jałówkę na targu? Wincenty, zwieszony nade mną, dyszał przez usta, kiedy różany płatek wpadł mu do gardła. Zaczął charczeć, ale ja nie zorientowałam się, że się dusi, pomyślałam, że pewnie to dalszy ciąg tego obrzydliwego aktu pocierania jego ciałem o moje. Wincenty najpierw zachrypiał jak kogut, a potem rozkaszał mi się prosto w twarz. Wtedy zauważyłam jego zęby – z tyłu nie miał ich w ogóle, a z przodu kilka, i to zepsutych. Opanował kaszel i wtedy odbiło mu się kłopsami z baraniny, które podano na ślubny obiad. Wtedy – Boże, wybac mi! – ale zapragnęłam, żeby umarł! I żeby ta straszna noc skończyła się wreszcie i żeby ktoś zabrał ze mnie to obrzydliwe ciało, tłuste i blade, jak brzuch ropuchy...*

Przewróciła kartkę. Zamknęła oczy, ale po chwili wahania, zatrzasnęła dziennik.

Minęło ponad trzydzieści lat, a ona wciąż nie mogła doczytać do końca.



**Z** sali chorych dobiegł jęk. Katja poderwała się i podbiegła do łóżka małej Emilki.

– Znowu... – wyjąkała córeczka Macieja, zanim chlust wymiocin nie przerwał jej w połowie zdania.

Lesia przyskoczyła do dziewczynki i przystawiła miskę pod usta dziecka. Małą wzdrygnęły torsje, ale z umęczonego żołądka nie wydo-  
stało się nic więcej poza śliną.

„Całe ziółka” – pomyślała Katja. „Zmarnowała całą porcję. Niech to szlag!”.

Pochyliła się i dotknęła zimnego, lepkiego czoła dziecka.

– Już? – spytała.

Dziewczynka pokręciła głową. Jeszcze wczoraj przypominała Katji Wikusię, ale teraz bardziej upodobniła się do upiora niż do żywej istoty. Wymioty i wywołany nimi skurcz ciała sprawił, że prześcieradło pod pupą dziecka błyskawicznie zmieniło kolor na brązowy.

– Przepraszam, panno Katju.

– To nie twoja wina, malutka.

Lesia wybiegła wraz z miską.

Aptekarka objęła dziewczynkę za ramiona, bo miała przeleciałaby jej przez ręce, a potem poszukała wzrokiem Heli. Dziewczyna w kącie śla-  
mazarnie przeglądała szuflady komody, gdzie składowano czystą bieli-  
zną.

– Heła, prześcieradło!

– Zaraz!

– Albo koc, płótno, siano, cokolwiek czystego... Szybko! Pospiesz się!

– Zawołam doktora! Powiem mu, żeś bez jego wiedzy zadała dziecku  
trujących ziół i teraz gorzej choruje!

Katja, która istotnie tak zrobiła, pokryła się zimnym potem.

– Doktor da małej krople Hoffmanna wymieszane z kawą albo kroto-  
nowym olejem! Popatrz na Daniło! Wczoraj dwa razy dostał ziola i dziś  
nie wymiotuje ani nie ma biegunki!

– Boś jego duszę szatanowi oddała! – wrzasnęła Hela i trzasnąwszy drzwiami, zamknęła się w składziku.

Katja kazała Lesi przytrzymać dziecko, a sama pobiegła za dziewczyną. Hela oparta o ścianę płakała bezgłośnie w fartuch.

– Umrzemy, prawda?

– Co ty pleciesz?! Uspokój się! Przygotuj wrzątek i...

– Umrę! – wrzasnęła, aż poszło echo. – Wszystkie umrzemy, ty też! Oddychamy morowym powietrzem, dotykamy ich, karmimy, przebieramy!... Nie ma sposobu na cholere, nie ma na nią modlitwy ani zaklęcia!

Z nosa dziewczyny płynęły smarki, a z oczu łzy. Katja cofnęła się, przerażona tym wybuchem tępej nienawiści. Hela sięgnęła nagle do dekoltu i wyjęła ze stanika małą, wytartą kartkę.

– Widzisz to? Tego nam trzeba! Gdy poprzednio nastąpiła cholera w naszej wiosce, szeptucha kazała ten papier nosić mojej siostrze! Cały dom zaraza wybiła, a siostra żyje dzięki temu! Dzięki temu, rozumiesz?! Nie dzięki doktorom, nie dzięki modlitwom w cerkwi i nie dzięki jakimś ziołom! Dzięki temu!

Katja zerknęła na karteluszek. Zauważyła jakieś litery, dziwne słowa wypisane wspak po łacinie, ale zanim zdążyła dotknąć papierka, Hela wpakowała go do ust i zjadła.

– Co robisz?

– To... – Odbiło jej się. – ...to leczy! To! Nie twoje zielska, ale magiczne formuły! Nie pomoże pierwsza kartka, zjada się drugą i trzecią, tak szeptucha mojej siostrze, co zarazę przeżyła, powiedziała! Bo na początku było słowo! Tak w Piśmie Świętym stoi i sam ojciec Bernard tak mówi!

Katja miała ochotę skłąć dziewczynę w żywy kamień, ale powstrzymała ją świadomość, że za ścianą czeka chore, bezradne dziecko. Nie poradzą sobie bez Heli, we dwie tylko z Lesią.

– Natychmiast nastaw wrzątek! – Chwyła dziewczynę za ramiona i poczekała, aż ta spojrzy jej w twarz. – Już!

Hela zaszlochała histerycznie. Katja czuła, że jeszcze moment, a uderzy pielęgniarkę, ale zaraz zawstydziła się swoich myśli. Obie były przeżone, obie potrzebowały pomocy.

– Dobrze – skapitulowała. – Zmienię prześcieradło, a ty dopilnuj wrzątku! Musimy mieć dużo przegotowanej wody! A potem zrób olejkową miksturę... Słyszysz mnie?! – krzyknęła, bo Hela patrzyła jak katoniczka. – Cztery olejki, w równych proporcjach: goździk, anyż, mięta i kajeput. Potem idź do jaśnie pani Rozalii i poproś o gorzałkę, a jak ją dostaniesz, to mnie zawołaj, odmierzymy porcję, z którą wymieszasz olejki. Zrozumiałaś?!

Potrząsnęła dziewczyną, aż ta, wystraszona, pokiwała głową. Jej duże, czarne oczy zaszkliły się łzami.

– Ten olejek niszczy zarazę. Przetrzyj nim ręce i wszystkie miejsca, których dotykali chorzy. I błagam: nie mów tego doktorowi... – Zrobiła pauzę. – ...tak jak nie mówisz mu, że zjadasz zapisane wspak kartki.

Hela milczała, zaciskając usta.

– Dacie wreszcie to prześcieradło? – rozległ się błagalny głos Lesi.

Katja rzuciła się do stosu świeżej bielizny. Kątem oka zauważyła, jak panika ustępuje miejsca dyscyplinie i Hela po kolei otwiera olejki, wachając je ostrożnie przed wlaniem do flaszeczki z ciemnego szkła.

Nagle ktoś zapukał.

Katja podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież. W progu stała pani Wiktoria.



**W**ięc powtórz jeszcze raz: piętnaście goździków rozdrobnionych w moździerzu zalać oliwą, czy tak...?



Uniosła głowę znad zeszytu i spojrzała na dziewczkę. Wyraźnie niespokojna Katja zaciskała dłonie niczym bokser przed walką.

– Ile tej oliwy? – powtórzyła Wiktoria z naciskiem.

– Słucham?

– Pytałam, ile oliwy.

– Pół... pół szklanki.

Tyszkowska zanotowała, ale nasza ją wątpliwość.

– Przed chwilą mówiłaś, że mniej niż pół szklanki. To jak w końcu?

Dziewczyna drgnęła.

– Pół szklanki. Albo nie... – Przygryzła skórę przy paznokciu. – Lepiej nie... Trochę mniej. Macerować dwa tygodnie i wcierać w twarz, by pozbyć się zmarszczek. To znaczy, najpierw odcedzić... Po dwóch tygodniach, znaczy się.

– Mój Boże, dziewczyno, skoncentruj się!

– Tak, jaśnie pani. Proszę o wybaczenie, ale cały czas myślę o chorych, którzy zostali w szpitalnej izbie.

Wiktoria posłała jej drwiący uśmieszek.

– Pomyśl teraz o mnie, to szybciej do nich wrócisz – mruknęła. – Podczas podróży wspominałaś też o jakimś ziele rozjaśniającym cerę. Cóż to było?

– Bukwica.

– Czy lukrecja? – spytała spokojnie Tyszkowska, obserwując, jak Katja niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. – Czy może jedno i drugie?

– Jedno i drugie..

– A puder? Ryżowy czy z kasztanowych skorupki? Który z nich chroni przed słonecznymi plamami, bo nie pamiętam...

– Jaśnie pani, proszę o wybaczenie, ale niechże mi pani pozwoli się oddalić! – przerwała. – Boję się, że bez mojej pomocy ktoś umrze!

Wiktoria wstała.

– Chyba się nie rozumiemy, moja droga. Cóż mi proponujesz w takim razie? Wyznaczysz mi porę audiencji, żebym nie przeszkadzała ci w pracy...? Wszak to zaszczyt, że goszczę we dworze słynną zielarkę Je-katerynę. – Uśmiechnęła się kwaśno.

Lodowaty ton przygwoździł Katję do podłogi. Jaśnie pani z przyjemnością obserwowała zmieszanie na twarzy czaroduchy i dokładnie wiedziała, co teraz nastąpi. Nie zawiodła się.

– Najpokorniej proszę o wybaczenie za moją niecierpliwość.

Dziewczyna uklękła i pocałowała rąbek jej sukni.

– No, już, już! – Tyszkowska obdarzyła ją łaskawym spojrzeniem. – Wiesz przecież, że się na ciebie nie gniewam. I nie łap tak za tę suknię, chyba że chcesz, bym się zaraziła i dołączyła do twych chorych. A teraz wstawaj z klęczek i opowiedz mi o tych pudrach, bom niezmiernie ciekawa!



**O**d przyjazdu do Zawozu minął tydzień.

Daniło ozdrowiał, a wraz z tym szczęśliwym wypadkiem liczba pacjentów Katji wzrosła do trzech, powiększając się o kuchcika z Rajskiego i starego ochmistrza Macieja. Kuchcik o imieniu Prokop był pryszczatym szesnastolatkiem, który wodził za Katją zakochanymi oczyma i prawdopodobnie tym oczom aptekarka zawdzięczała, że chłopak zrezygnował z leczenia przez Roztworowskiego. Stan młodzieńca poprawił się na tyle, że o ziołowej kuracji zaczęli przebąkiwać leżący niedaleko pisarz prowontowy i koniuszy, jednak doktor szybko rozwiązał ten problem, przenosząc ich łóżka w drugi kąt sali.

Z sędziwym ochmistrem sprawa miała się nieco gorzej. Katja parzyła mu zioła nawet siedem razy dziennie, usiłując wlać w więdnące ciało jak najwięcej płynów. „Wody nie pozbawiaj, ale uzupełniaj” – po-

uczał Batko w receptariuszu. „Ciało utrzymuj zawsze w harmonii: ile wypłynie, tyle dolewaj”. W przypadku Macieja był to wymóg najtrudniejszy, albowiem ochmistrz na widok kubków z dekoktami odwracał głowę, kłął, a nawet pluł... Katja podawała mu przegotowaną wodę, jednak mężczyzna odtrącał naczynie, podobnie jak to czynił z ziołami. Aptekarka rozpaczliwie potrzebowała czegoś, co wzmocniłoby jego siły, jednak nie mogła sobie pozwolić na marnowanie bezcennej ziołowej mieszanki.

Ochmistrz gaś w oczach. Nie przyjmował jedzenia, wypróżniał się po kilkakroć w ciągu dnia i w wielkich boleściach, oddychał płytko, mając przy tym o ślepej babie – odwiecznym, wołoskim widziadłe, które raz ujrzane we śnie, miało powodować pomór w całej okolicy. Bywało, że ochmistrz targany skurczami mięśni wrzeszczał od zmierzchu do świtu i tłukł przynoszone na tacy kubki z naparem. Wówczas doktor zacierał z uciechy ręce, a Maciej wykonywał nad ziołami znak krzyża.

– A kysz! – mamrotał. – Diabelska woda, od której rozumu ubywa! Czaroducha chce, byśmy wszyscy wyzdychali, jak psy!

Katja nie łajała go za niesprawiedliwe słowa. Omamy przy choleryze występowały często, ale próżno byłoby tłumaczyć przerażonym pacjentom, że wodę piją przegotowaną, a halucynacje i wrzaski ochmistrza to efekt choroby. Maciejowi zdarzało się bredzić w malignie: raz wzywał Boga i wszystkich świętych, raz przeklinał. Wciąż jednak uważał się za pacjenta Katji, choć w chwilach przytomności mówił, że kuruje się u czaroduchy nie z przekonania, ale wyłącznie dlatego, że się boi lekarzy.

Nie była to wymarzona rekomendacja dla aptekarki, ale cóż – życzenie chorego było dla niej rozkazem. Do posądzeń o czary zdążyła się już w swym życiu przyzwyczaić aż nadto, jednak gdy pewnego dnia Prokop z filuternym uśmieszkiem zapytał: „A do tego kubka to jaki mi panna eliksir miłosny zadałaś, że tak za panną wariuję?”, aptekarka pojęła, że sprawa jest poważna.

– Batko! – płakała podczas kolejnej bezsennej nocy w składziku. – Podpowiedz mi choć mały koncept, który powstrzyma te głupie oskarżenia o magię!... Daj mi uratować tych ludzi, jeśli mogę! Batko, ratuj, pomóż!

Jęczała tak chyba z godzinę, aż wreszcie doszła do wniosku, że skoro i tak jest czaroduchą, nie musi postępować rozumnie, a raczej powinna zdać się na pomoc z zaświatów, jak tego od niej oczekują.

Chwyciła receptariusz, zamknęła oczy, a potem rozchyliła stronicę na chybił trafił. Przez chwilę nie otwierała powiek, aż w końcu, nagłym ruchem rozpostarła kartki. *Chrest. Czworolist. Chryszczate ziele...*

Jak urzeczona wpatrywała się w stronę poświęconą czworolistowi. Czyżby Batko się pomylił? Po pierwsze, czworolist o tej porze roku ledwie widać, a po drugie, przecież ziele działa przeczyszczająco, więc jakże stosować je przy choleryze?!

Zafrasowała się. Schowała twarz w dłoniach i spróbowała jeszcze raz. Zamknęła zeszyt. Wezwała Batko na pomoc, a potem otworzyła receptariusz.

Niemożliwe!

*Chrest. Czworolist. Chryszczate ziele.*

Przyjrzała się dokładniej. W miejscu opisu czworolistu kartki były mocniej zagięte i dlatego stale otwierały się na tej stronicy.

Skołowana Katja wyciągnęła się połową ciała na aptekarskim stole. Westchnęła, przyłożyła policzek do kartki z opisem nieszczęsnej roślinki i zapadła w stan pomiędzy jawą a snem, jak to się jej często zdarzało przy nadmiernym zmęczeniu. Mgła błogości zasnuła jej mózg, członki zrobiły się ciężkie... Nie wiedziała, jak długo trwała drzemka, dopóki delikatne pukanie w futrynę nie wyrwało jej z odrętwienia.

Aptekarka poderwała się na widok dziedzica, który zaglądał do środka.

– Nie przeszkadzam? – spytał z uśmiechem. – Późno bardzo, ale zobaczyłem światło i pomyślałem, że sprawdzę, czy wszystko u panny w po-

rządku.

Katja oblała się rumieńcem. Natychmiast zarzuciła warkocz na odcięte ucho.

– Spałaś? – indagował. – Przeszkodziłem ci? Wybacz najście, z pewnością jesteś bardzo zmęczona.

Potrząsnęła głową.

– Nie, jaśnie panie. Rozmyślałam tylko.

Wszedł do środka, rozglądając się po składziku, jakby widział go po raz pierwszy – być może istotnie tak było, bo apteczne schowki w majątku babci musiały znajdować się poza zainteresowaniami młodych, przystojnych dziedziców. Tyszkowski musnął czubkami palców kotarę zasłaniającą okno, odczytał etykietę na słoju. Kruczoczarne włosy opadły mu na kark. Odgarnął je prędkim ruchem, odsłaniając linię szczęki, która nie dość, że była cudownie, kanciasto męska, to jeszcze dokładnie wygładzona brzytwą.

– No więc, o czym rozmyślałaś?

– O wodzie, jaśnie panie.

Uniósł brwi.

– O tej, którą wszyscy pijemy – wyjaśniła. – Z Solinki. Chorzy wierzą, że znajduje się w niej zaraza, podobnie jak w wodzie ze stawu. I nie wiem, jak ich przekonać, że nie chcę ich otruć, a jedynie uleczyć.

Umilkła, obserwując, jak czarujący uśmiech ustępuje miejsca zaintrygowaniu. Dzieliła ich szerokość wąskiego, aptekarskiego stołu. Katja poczuła, że jej mądre, przemyślane zdania rozplywają się gdzieś w aromacie lawendy i skórzanego siodła.

– Mów dalej.

– Oczywiście podaję chorym przegotowaną wodę, ale to ich nie uspokaja. Nie wierzą mi. Oskarżają o czary i o umyślne zadawanie choroby. – Odchrząknęła, bo smoliste, uważne spojrzenie Józefa zatopiło się w jej źrenicach. – Szepczą, że jestem wiedźmą i cieszę się z ich cierpienia.

– Wiem to. – Tyszkowski ze smutkiem pokiwał głową i zmiotł jakiś pyłek z aptecznego stołu. – Od doktora. Chwali się przy obiedzie, jak to potrafi umniejszyć twoje umiejętności i podsycać plotki o czarach. Walczę z nim, ale to niewiele pomaga. Mam wrażenie, że byłby najszcześliwszy, gdyby nikt z twoich pacjentów nie wyzdrowiał. Niegodne to lekarza i wykształconego człowieka.

Spojrzała w podłogę, żeby nie czuć się jak zwierzę schwycone w sidła tych czarnych, żarzących się oczu. Wzmianka o doktorze, choć powinna wzbudzić żywą reakcję, ledwie drasnęła mózg aptekarki.

– To nic takiego, jasnie panie. Od zawsze doktorom i zielarzom nie po drodze, choć dla dobra chorych powinni ze sobą współpracować i wiedzę swą uzupełniać. Ale to może za sto lat nastąpi, a może i za dwieście, żeby natura z medycyną jednym mówiła głosem. A teraz, cóż... – Westchnęła. – Teraz miast chandryczyć się z doktorem, trzeba zadbać o ludzi, którzy powierzyli mi swoje zdrowie. Muszę ich przekonać, żeby nie odrzucali kuracji, pili zioła i wodę bez obaw. Najgorzej jest z ochmi-strzem Maciejem, bo wygląda okropnie. Musi pić, bo inaczej umrze! Powtarzam mu to setki razy, ale mówi, że wody od czarownicy nie weźmie do ust. Skąd, na Boga, mam wziąć dla niego wodę?

Józef podrapał się wypolerowanymi paznokciami po ogolonym policzku.

– Hmm... w teorii to proste: z innego miejsca niż rzeka i parkowy staw. Najlepiej ze źródła. A... – Pstryknął palcami. – ...źródełko na Chryżu?

Katja zamrugwała.

– Wspominałem ci onegdaj, że Ludka z dziecieniem pielgrzymują w to miejsce... Chryż to święte źródło, do którego od pokoleń przybywa ludność z całych Bieszczad, by się modlić o zdrowie. Nie ma nikogo, kto odważyłby się powiedzieć, że to diabelska woda. Dla mnie ani święta, ani przekłeta, mokra jak każda inna, ale dla ciebie najlepsza... Nie martw się, Katrusiu. – Uśmiechnął się. – Ksiądz poświęcił źródło, a poświęcone nikomu nie szkodzi, nawet Maciejowi. Załatwię ci specjalny

powóz z beczkami na wodę, a potem porozmawiam z rządcą, żebyś nie musiała się o nic troszczyć. Może i moją Ludkę z dziećciem gdzie przyuważy i stamtąd przywiezie. – Mrugnął porozumiewawczo. – Martwię się, bo nie mam o nich żadnych wieści.

Katja spuściła wzrok na otwartą stronę w receptariuszu i naraz zmarszczyła czoło.

– Jaśnie pan powiedział: „na Chryżu”?

– W rzeczy samej. Chryż albo chrest, zależy, czy wymawiasz po polsku czy po rusińsku... Och! – Zerknął na zegarek i zmarszczył brwi. – Muszę uciekać, i to już! Obiecałem babce, że z samego rana zrobię objazd folwarków. Dobrej nocy, Katrusiu.

Przytknął dwa palce do czoła.

– I dobrych snów. Babka ma co prawda słabość do doktora, ale i o tobie sądzi coraz lepiej, odkąd księży syn ozdrowiał – wyszeptał konfidencko.

Zarumieniła się i dygnęła.

– Miło mi to słyszeć. Dobrej drogi, jaśnie panie.

Dziedzic błysnął zębami i wyszedł, a Katja jeszcze chwilę wpatrywała się w rusińską nazwę czworolistu.

– *Chrest, czworolist, chryszczate ziele...* – Wyszeptała w przestrzeń i pocałowała kciuk, jak zawsze robiła, okazując ojcu wdzięczność za opiekę. – Dziękuję, Batko!

Upewniła się, że nikt z chorych nie potrzebuje jej uwagi, i udała się do swego pokoju na spoczynek.



**M**ój drogi! – przerwała Wiktoria Maksymilianowi, który zazwyczaj tak się podpalał do swoich pomysłów, że wpadał w irytujący fer-

wor. – O oddaleniu doktora nie decyduję ja, ale moja matka! Również szanuję umiejętności tej dziewczyny... w końcu powierzyłam jej zdrowie własnego syna... ale wyłącznie z tego powodu, że ozdrowiał rusiński smarkacz, nie będę pozbawiać się Roztworowskiego!

Maks rzucił się jej do rąk i ukląkł.

– Wiktorio! Wiesz, jak bardzo poważam twą panią matkę, ale kiedy ostatni raz zaglądnęła do sali chorych? To zrozumiałe, że boi się zakażenia, ale przez to nie wie, co Roztworowski wyprawia! A to doprawdy są rzeczy straszne!

– A ty wiesz?

– Wiem. Przeżyłem cholere w więzieniu. Cud boski, że wyniesiono mnie wtedy do infirmerii, do bonifratrów, gdzie zajęto się mną z całą troskliwością, bo pewno by mnie już nie było na tym świecie.

Tyszkowska przewróciła oczami, udając, że się dąsa, choć żarliwy uścisk rąk Maksymiliana sprawił, że zakolała jej serce. Zastanowiła się, czy to objaw zakochania, czy problemów z ciśnieniem.

– Ojcowie bonifratrzy leczyli mnie ziołami i wodą, a takich tortur, jakie zadaje Roztworowski, to nawet podczas więziennych przesłuchań nie było!

– Milusiu, co ty mówisz? Przecie to lekarz, nie może szkodzić!

Kochanek ściszył głos, który nabral natarczywej, nieznoszącej sprzeciwu barwy. Nie cierpiała takiego tonu, kojarzył jej się z Wincentym.

– A widziałaś kiedy człowieka leczonego rtęcią? Kiedy wypróżnia się na czarno i ślini jak wściekły pies? A doktor twierdzi, że dopiero gdy zobaczy u chorego trzy litry śliny, znaczy to, że organizm się oczyścił...

– Faj! – Tyszkowska wyrwała ręce. – Nie opowiadaj mi o takich świństwach!

– A widziałaś nieszczęśników pojonych kawą co pół godziny na przemian z rycynowym olejem, bladych, wyczerpanych po końskich lewatywach?! A wiesz, że on małej Emilce, córce naszego Macieja, polewał brzuch wrzątkiem, aż dziecko z bólu przegryzło prześcieradło?!



– Och, jeśli to pomaga... Nie znam się. Poza tym to doktor!

Maksymilian wstał z klęczek.

– Rzeźnik, Wiktorio. Spójrz prawdzie w oczy! Od samego upuszczania krwi zdrowy człowiek przeniósłby się na tamten świat! A doktor dodaje do tego wymiotnicę, lewatywę, funt rycynowego oleju i opium na dokładkę, żeby ofiara nie stawiała oporu! I ty to nazywasz leczeniem?!

Westchnęła. Maksymilian wtargnął do jej pokoju przed południem, czego nie lubiła, bo zbyt wiele światła ukazywało w pełnej krasie jej zmarszczki. Zorientowała się, że podświadomie ucieka do cienistego kąta, jak wąpierz.

– Mój drogi, porozmawiajmy o tym spokojnie i wtedy, gdy doktor zakończy kurację...

– Kurację? – Aż się zatrząśł. – Nazywasz to kuracją?! To morderstwo w biały dzień i w majestacie prawa! – Prychnął i okrążył pokój charakterystycznym zirytowanym krokiem, właściwym wyłącznie męskiemu gatunkowi. – I jakie: „zakończy kurację”?! Chyba prędzej chorzy zakończą żywot!

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby przestał chodzić, bo boli ją od tego głowa. Że właściwie wie, dlaczego boli ją głowa – bo chce uciekać w kąt we własnym pokoju, jak robiła to nieustannie, będąc ćwierć wieku młodszą, zahukaną żoną.

– Porozmawiamy o tym później. Dobrze, Maks?

– Swoich poddanych chcesz poddać męczarniom? Ilu jeszcze musi umrzeć, żebyś przejrzała na oczy?! Idź do matki i poproś, żeby aptekarka wzięła chorych pod opiekę! Ona leczy tak, jak mnie bonifratrzy leczyli, i tak jak oni pilnuje, by chorzy tylko przegotowaną wodę pili! I tak jak oni twierdzi, że nie przez powietrze, ale przez wodę się zaraza przenosi!

– Widzę, że ta dziewczka wywarła na tobie piorunujące wrażenie – powiedziała przez zęby.

– Mylisz się, moja droga! To doktor wywarł na mnie piorunujące wrażenie, bo w majestacie prawa chce wszystkich wymordować!

Wiktoria przymrużyła oczy.

– Jeśli nawet, to nie zaprzataj tym sobie swojej ślicznej główki, którą już za czaroduchą odwracasz!

– Po cóż te złościwości?! I dlaczego uparcie nazywasz ją czaroduchą, kiedy nawet twój syn się za nią wstawia...? Był dziś rano u mnie prosić, bym woził źródlaną wodę z Chryżu dla chorych. Powiedział mi w zaufaniu, że teraz już żaden z nich nie powie, że czarownica zatrutą wodą ich poi. Zaiste, cwany plan! Sama wiesz najlepiej, jak doktor codziennie oczernia tę dziewczynę i od wiedźm wyzywa! Na twoim miejscu, moja droga, zrobiłbym...

– Nie mów mi, co mam robić! – wybuchnęła. – Nigdy nie będziesz na moim miejscu!

Maksymilian umilkł gwałtownie i teraz wyglądał jak mały Józus skarcony za kradzież ciastek ze spiżarni. Oczy mu się zaokrągliły, szczeka opadła. Na Tyszkowską patrzył teraz nie mężczyzna otwierający jej każdej nocy bramy nieba, ale zalękniony smarkacz.

– Maks – odezwała się spokojnie, chcąc złagodzić poprzednie wrażenie. – Zapewniam cię, że wiem, co robię, i nie trzeba mi tego przypominać.

Skłonił się powściągliwie.

– Nie miałem zamiaru dawać rad czcigodnej pani. Proszę wybaczyć impertynencję głupiemu młokosowi. Będzie lepiej, jeśli wrócę do swych obowiązków.

– Maks, przestań! Nie rozmawiaj tak ze mną...

Nim zdążyła dokończyć, zniknął za drzwiami.



**M**inęły cztery dni. Łóżko Daniły opustoszało na dobre, a Maciej – nieufnie wprawdzie – ale odważył się napić przegotowanej wody z Chryżu. Po tym jak paroch, uszczęśliwiony ozdrowieniem syna, oświadczył wszem wobec, że woda pochodzi ze świętego źródła, szeptki oskarżające Katję o czary ucichły, a liczba amatorów ziołowego leczenia powiększyła się o księdza i księdzową.

Dostawą wody zajął się osobiście rządcą. Załadowany pustymi beczkami wóz wyjeżdżał każdego ranka z dworu, a wracał po kilku godzinach z pełnymi. Gdy tylko dało się słyszeć znajomy turkot, Katja stawała w otwartym oknie szpitaliku i dziękowała Bogu za ten widok. Najpierw Bogu, potem dziedzicowi, a w końcu rządcy.

Roztworowski szalał. Mimo jego wysiłków, zmarł koniuszy z Rajskiego i z tej złości na pacjentów, którzy zamiast zdrowieć, umierają, pozostałych doktor zaczął leczyć najstraszliwszym znanym sobie sposobem, czyli okładami na brzuch z rozgrzanego żelaza. Katja zachodziła w głowę, jak ludzie dobrowolnie mogą przyzwalać na takie potworności, ale nie dziwiła się już niczemu. Chorzy, zmęczeni straszną niemocą, która odbierała im godność i najbliższych, nie mieli już własnej woli. Wystarczyło, że doktor wypowiedział stanowczym głosem słowo *pacaneum*, a pacjenci miękli pod ciężarem medycznego autorytetu.

– *Pacaneum* – szepnęła do rządcy, który powróciwszy właśnie z Chryżu, stanął jak wryty w drzwiach szpitaliku i zapatrzył się ze zgrozą na Roztworowskiego.

Doktor trzymał w kowalskich szczypcach rozgrzane podkowy. Na łóżku leżał Bartusik z wysmarowanym oliwą brzuchem, a Hela i ściągnięty do pomocy folwarczny chłop krępowali choremu ręce. Potraktowana gorącym żelazem skóra zaskwierczała jak pieczone na rożnie prosię.

– Niiieeeee!!! – z piersi krakusa wydarł się ochryply okrzyk. – Na wszystkich świętych, niiieeee!!!

Bartusik wierzgnął i wyrwał ręce. Chłop przygniótł mu nadgarstki kolanem.

– Dawaj krople Hoffmanna, dziewczko! – wrzasnął do Lesi Roztworowski. – Rusz się, no!

Lesia umknęła do składziku, a chłop i lekarz walczyli z pacjentem, żeby nie zrzucił podków z brzucha. Bartusik wił się i prężył, wydając przy tym koszmarnie wrzaski, które na próżno było nazwać ludzkimi.

Katja poczuła swąd palonego mięsa, zasłoniła usta dłonią.

– Dlaczego ludzie się na to godzą? – szepnęła do rządcy. – Boże Myłyj, dlaczego on się na to godzi?!

Bartusik już nie krzyczał, tylko wył. Osłabiony chorobą nie miał sił walczyć z chłopem zaciskającym niedźwiedzie łapy na jego nadgarstkach. Nadbiegła Lesia. Zszokowana widokiem nie mogła nalać kropli na łyżeczkę, tak trzęsły się jej ręce.

– Szybciej, dziewczko! – ponaglił ją Roztworowski. – Chcesz, żeby wrzaski ściągnęły nam na głowę cały dwór?!

Katja ze zdumieniem spostrzegła, że rządcza robi krok w przód.

– Rozkazuję panu natychmiast zaprzestać tych tortur!

Schrypnięty głos Maksymiliana, na ogół cichy i uprzejmy, niósł się teraz jak dźwięk cerkiewnych dzwonów. Zapadła cisza, przerywana tylko jękami Bartusika. Nawet chłop trzymający mu ręce – kolos o wielkich barach i zapadniętych oczkach niedorozwiniętego na umyśle niedźwiedzia – poluzował uścisk.

– Słyszał pan?! Pańskie metody są barbarzyńskie i nieskuteczne. Proszę zostawić tego człowieka w spokoju!

Roztworowski wyprostował się na całą wysokość, a potem, z wlepionym w rządcę nienawistnym spojrzeniem, zrobił coś strasznego: owinął ręce w kołdrę i docisnął podkowy do brzucha chorego. Bartusik zaskowyczał, aż zadrżały szyby.

– Jak pan śmie?! – syknął medyk. – Jak śmiesz, smarku, kpić z mojej ciężkiej pracy, podważać naukowe metody?! Czym ich chcesz leczyć?! Ziólkami?! Jak ta... – zmełł w ustach przekleństwo i wskazał na Katję. – Jak ta tutaj?!

– Jej przynajmniej nikt nie umarł! – wybuchnął rządcą, a potem jednym skokiem znalazł się przy łóżku i zrzucił podkowy na podłogę. Chłop, umyślnie czy przypadkiem, puścił rękę Bartusika, a chory wyrwał się i uciekł.

Widok trwał sekundę, ale potworne rany od przyżegania wryły się w pamięć Katji. Bartusik, wpatrując się w poparzony brzuch, zawył rozdzierająco, a potem stracił równowagę i padł na łóżko parocha. Szczęśliwie na plecy.

– Ona cię namówiła do tego, żeby się mnie pozbyć, tak? – Palec wycelowany w Katję zadrżał oskarżycielsko. – Żeby przeciwko mnie nastawiać panią Rozalię i pozostałych?!

– Nikt mnie nie namawiał – wycedził rządcą. – Ślepego można by namówić, ale nie tych, którzy widzą, co pan wyprawiasz!

Nie zwlekając, Katja podbiegła do Bartusika i pomogła mu wstać.

– Proszę, proszę! Wielki pan rządcą, przydupas jaśnie pani! I czaroducha, baba jago, co leczy święconą wodą i końskim gównem! Umyśliliście to wspólnie, żeby mnie ośmieszyć!

Szczęściem, że aptekarka podtrzymywała chorego, bo teraz, po tym zdaniu, niechybnie upuściłaby wszystko z rąk. Rządcą pobladł.

– Wypraszam sobie podobne insynuacje!

– Wyprasza sobie! Słyszeliście? – Roztworowski zwrócił się do chorych jak aktor do widowni. – Pan klękniw w kościele, bo obrażasz Boga i ludzką przyzwoitość! O tej, tu, przeklętej dziewczce, nie wspomnę!...

Katja posadziła Bartusika na jego dawnym łóżku, niechęcący trącając stojącego obok doktora.

– Nie tykaj mnie, babo jago! – warknął. – Wynoszę się stąd! Zostawiam was, nieszczęśnicy, w szponach czaroduchy. Jadę tam, gdzie chłopska ciemnota nie jest aż tak powszechna, że sięga rządców!

Maks skłonił się uprzejmie.

– Czy powiadomić wielmożne panie o pańskiej decyzji?

– Obejdzie się!

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć szerokiej drogi.

Roztworowski rozejrzał się w oczekiwaniu na czyjś protest, ale ponieważ odpowiedziało mu milczenie, prychnął i nienawistnym wzrokiem powiódł po szpitalnej sali.

– Tępe rusińskie plemię! I pomyśleć, że zmarnowałem na was tyle czasu i bezcennej wiedzy! Popamiętajcie mnie jeszcze! Ej, ty! – Skinął na Lesię. – Zostaw tego zdechlaka i przynieś moją torbę z narzędziami!

– I nie zapomnij włożyć do środka podków – mruknął Maksymilian. – Przyda się panu doktorowi, na wypadek gdyby koń okulał.

Lesia podtrzymywała właśnie Bartusika za ramiona, więc spojrzała ponagląco na Helę. Ta nie ruszyła się z miejsca.

– Powiedziałem: torba!

– Nie musisz go słuchać – odezwała się nagle księżzowa i chwyciła Helę za rękę. – Przecież już tu nie pracuje. Jesteś młoda i ładna, nie potrzebujesz mieć na sumieniu czyjegoś cierpienia.

Heła zagryzła wargi. Oddała uścisk księżzowej, a potem podbiegła do Bartusika i podłożyła mu poduszkę pod plecy.

Roztworowski postąpił chwilę, po czym wściekłym krokiem, roztrącając stojące mu na drodze parawany, pomaszerował do aptecznego składu.

Brzęk szkła oderwał Katję od chorego. Nie zdążyła krzyknąć, kiedy rozległ się kolejny odgłos rozbitego słoja. Głowa Roztworowskiego wychyliła się zza drzwi składziku. Szeroko się uśmiechał.

– A teraz życzę miłego kurowania!



**W**iktoria miała ochotę zapalić cygaro. Wielkie, kopcające jak lokomotywa, którą widziała nie tak dawno na wiedeńskim dworcu. Pa-

miętała, jak zafascynowana wpatrywała się w tłoki pracujące w kłębach dymu i jak skojarzył jej się Maks, a raczej jego fragment wprawiony w ruch pożądaniem, na zapleczu dworskiej, zaparowanej pralni.

Tyszkowska przetrząsnęła ojcowski gabinet w poszukiwaniu cygar, ale bez rezultatu. Hawany po papie musiały już dawno zwietrzeć albo paść łupem służących. Zostawał jeszcze Sepek, ale zagadnięta o dziedzica pokojówka odparła, że jaśnie pan wyjechał doglądać zasiewów niedaleko Wilczej Doliny.

Może i dobrze. Maks nie lubił cygar, mawiał, że od tego robią się zmarszczki. Nie lubił też, kiedy była pijana, kiedy przeklinała i kiedy nie pytała go o zdanie. Tak jak dzisiaj, z tym nieszczęsnym doktorem!

Wieści we dworze rozchodziły się szybko i nim Wiktoria dokończyła obiad złożony z gotowanych warzyw i orkiszowej kaszy, od którego nie psuła się talia, wiedziała już, że plan pozbycia się raz na zawsze Katji zawisł na włosku. Nie tak to miało wyglądać.

Dobrze, że zdążyła złapać Roztworowskiego przed wyjazdem. Wręczyła mu trochę pieniędzy wraz z solennym zapewnieniem, że zawsze jest mile widziany w jej rodzinnym gnieździe oraz – że gdyby to od niej, Wiktorii, zależało – natychmiast doniosłaby komu trzeba o barbarzyńskich metodach leczenia stosowanych przez różnej maści szeptuchy i wiedźmy. Zaręczyła jeszcze, że modlić się będzie o rozum dla swych poddanych, dla których słowo zielarki więcej znaczy niż słowo lekarza, oraz o to, by w swej chrześcijańskiej duszy „czcigodny doktor wybaczył młokosowi, który rządcą został z braku innych kandydatów”. Wylała przy tym kwartę łez i zmoczyła ze trzy jedwabne chustki. Teraz od udawanego szlochów bolała ją krtań.

Wiktoria wydała z siebie kpiący chichot i znowu – co stało się już jej obsesją – obejrzała w lustrze swoje odbicie. Drobnymi, białymi dłońmi (moczyła je co wieczór w oliwie i soku z cytryny, jak radził Sepek) naciągnęła skórę na czole i przy ustach. Mimo picia lukrecji i ohydnej w smaku bukwicy, zmarszczki wciąż straszyły. Goździki w oliwie wmacerują się dopiero w przyszłym tygodniu, a do tego czasu...?! Boże,

ratuj! Chyba przyjdzie łomotać się po ciemku, bez patrzenia w te młodziutki, błękitne ślepka, zachodzące mgłą rozkoszy od pierwszego pocałunku.

Pomyślała, jakie to strasznie niesprawiedliwe, że kobieta dojrzała w latach, gdy wreszcie wie, do czego służą wszystkie struny i klawisze w jej ciele, ma tak mało wirtuozów do wyboru.

A jeśli już jakiegoś znajdzie i przysposobi do ćwiczenia gam, to codziennie cierpi, patrząc, jak jej niegdyś lśniący Steinway zmienia się w stare pudło.



**K**atja klęczała na podłodze, wpatrując się w roztrzaskane słoje, i walczyła z wszechogarniającą paniką. Doktor zniszczył zapasy z okrutną precyzją. Nie tylko zbił słoje, ale butem rozkruszył szkło i dokładnie wymieszał susz z odłamkami, tak, by zioła nie nadawały się do spożycia.

Gorączkowo rozgarnęła skorupy, ale natychmiast skaleczyła się fragmentem maleńkiego, ostrego jak brzytwa szkła. Co robić? Zaryzykować, że któryś z chorych wraz z ziołami połknie morderczy odłamek?

Świadomość, że teraz ma pod opieką wszystkich pacjentów – także tych, którzy leczyli się u doktora – przyprawiała Katję o ból głowy. Potrzebowała ziół. Tych samych, które leżały tutaj, pod jej nogami, wymieszane ze szkłem! Boże Myłtyj, czy istnieje w życiu większe nieszczęście?! Czy istnieje gorsza pora roku na zarazę niż marzec?! W lecie nazbierałyby całe pęki leczniczych roślin i obdarowałyby szczerze każdego z potrzebujących. Na przednówku miała do dyspozycji zmarznięte resztki, zmaltretowane przez śnieg i wiatr! Trzy miesiące temu pokonała febrę, wspinała się na wyżyny wyobraźni, by wynaleźć uzdrawiające soki w roślinach zwarzonych mrozem, ale teraz?... Teraz walczyła



z cholera! Z tą samą cholera, z którą nie dawali sobie rady najwybitniejsi lekarze! A co dopiero ona, bezradna jak żołnierz bez oręża...

Wstała z kolan i błędnym wzrokiem omiotła składzik. Na szczęście, przed awanturą z doktorem zdołała odmierzyć kilka porcji suszu, które czekały na zalanie wrzątkiem w glinianych kubkach: dla parocha, księdzowej, Macieja, Emilki i Prokopa. A co z pisarzem prowentowym i nieszczęsnym poparzonym Bartusikiem? Ma skazać ich na powolną śmierć...?

Jak w transie chwyciła za miotłę. Zgarnęła na szufelkę smutne resztki błyszczących od szklanych odłamków ziół i wrzuciła do wiadra na odpadki.

Teraz przydałoby się odtworzyć przepis albo znaleźć podobny, zawierający leczące cholera rośliny. Niestety, na przednówku nie było ich wiele. Bardziej obiecująco wyglądały drzewa, z których wiosną mogła pozyskać pączki i korę: Batko wspominał o zamorskim krzewie zwanym perukowcem i jakichś dwóch cudacznych drzewach o niezrozumiałych nazwach, z czego jedna kojarzyła się Katji z katapultą, a druga z tatarskim najazdem. Prawdopodobieństwo, że drzewa te rosły w parku pana Adama, graniczyło z cudem, jednak czyż pozostało jej cokolwiek innego niż cud?

Rozejrzała się w poszukiwaniu receptariusza. Zawsze kładła go na środku aptecznego stołu, pomiędzy ziołami, aby w wolnych chwilach zerkać na przepisy. Teraz jednak pusty, pozbawiony roślinnego pyłu prostokąt odcinał się konturem od reszty blatu.

Zeszyt znikł.



**W**iktoria szczęśliwie znalazła cygaro. Wystarczyło wejść do pokoju Sepka, otworzyć szufladę biurka i spod pukła jasnych kobiecych

włosów, splecionych w pierścionek (uch, wyrwałaby te włosy co do jednego!) wyciągnęła grubą, aromatyczną hawanę. Zapaliła cygaro od szczapy w kominku i szybko – tak, żeby matka nie zauważyła – wymknęła się kuchennymi schodami na podwórzec.

Nadciągał zmierzch, mgła pełzła po ledwie odroślej, sprasowanej trawie i moczyła buciki Tyszkowskiej, podążającej różnym krokiem po żwirowej ścieżce.

Od ogrodu wiał wilgotny wiatr. Łyse drzewa wciąż spały w zimowej aurze. Jedyne znaki wiosny – kos siedział napuszczony na suchej gałęzi. Ptak wydawał z siebie głośne, wysokie, urywane dźwięki, które kojarzyły się Wiktorii z nienaoliwionymi drzwiami w sypialni. Uśmiechnęła się do wspomnień.

Boże, jak biedny Miluś się bał! Tak uroczo nieporadnie zdierał z niej bieliznę. Drżał, mamrotał coś o „jaśnie pani”, na widok jej przywiedłych piersi oczy wyszły mu z orbit, ale cały czas mówił, mówił, przeproszał, błagał o zmiłowanie i szczerze mówiąc, Wiktoria miała ochotę go zakneblować. I zrobiłaby to, gdyby nie nadzwyczaj sprawne usta Maksymiliana, które odwiodły ją od tego pomysłu... choć do ujawnienia pełnego ich talentu brakowało jeszcze kilku nocnych lekcji. Ciekawe, czy Miluś wpadnie dziś na korepetycje, czy wciąż jest obrażony tą głupią rozmową o zielarce...

„Gdziekolwiek pojawia się ta dziewczucha, niesie ze sobą ferment” – pomyślała jaśnie pani, zaciągając się z przyjemnością. Ostrożnie schowała cygaro w lewej dłoni, tak by nie zgasło od wiatru; prawą zacisnęła na swym ulubionym purpurowym wisiorze.

Nogi niosły Wiktorię w głąb ogrodu, mroczniejącego z minuty na minutę niczym jej myśli krążące wokół przebrzydłej zielarki. Osamotniony kos wrzeszczał piskliwie, szeleściły opadłe liście. Znad lustra wody unosił się cienisty opar.

– Pić... – usłyszała nagle.

Tyszkowska przystanąła. U jej stóp kołysała się ciemna powierzchnia stawu, a po drugiej stronie zbiornika, w gąszczu powykęcanych drzew

coś się poruszało.

Wyteńczyła wzrok. Kobieta w chustce. Chłopka, ubrana w ładną, choć potwornie zabłoconą suknię szła, a raczej brnęła przed siebie, zataczając się i potykając. W ramionach trzymała niewielki tobołek. Wiktoria już miała spytać dziewczki, co u diabła robi w pańskim ogrodzie po zmroku, ale znowu dobiegł ją głośny szloch:

– Woooodyyyyy!...

Kobieta pochyliła się nad tobołkiem i wtedy spod chustki obwiązującej głowę wymusknął się złoty warkocz. Tyszkowska zamarła.

Jeszcze przed chwilą była gotowa zrugać intruza za wtargnięcie na dworską posesję, teraz jednak lodowata nienawiść odebrała jej mowę. Więc to dlatego Sepek zjawił się ni stąd, ni zowąd w Zawozie! Czekał na tę przeklętą wywłokę!

– Pić, piiiiaiiiiiić!... Boże, ulituj się!... Moje dziecko!

Wiktoria zmrużyła oczy, dopatrując się w tobołku zarysów niemowlęcia. Głos jasnowłosej był zachrypnięty, jakby wołała tak już od wielu godzin. Tyszkowska odruchowo cofnęła się do cienia. Zrobiła następny krok, ale wówczas gałązka pod trzewikiem głośno pękła i Ludmiła pode-rwała głowę jak czujne zwierzę.

Z niedowierzaniem spojrzała na postać po przeciwnej stronie stawu. Konsternacja trwała tylko chwilę.

– Wody! – wyjęczała chłopka. – Jaśnie pani, ulituj się nade mną i dzieckiem! Z Chryżu idę! Ludzie mówili, że znajdę studnię po drodze i dam pić dziecku, ale każdy, kogom napotkała, mówi, że w studniach zaraza i żeby iść do dworu, bo tam dają taką wodę, od której nikt nie choruje! Zeszłam z gościńca, zgubiłam ścieżkę i zabłądziłam między drzewami! Błagam, daj mi pić, jaśnie pani, nie dla mnie, ino dla mego dziecięcia! Kruszyna już ledwie dycha z pragnienia... Ino dla dziecka, pani!

Uklękła, dziecko lewą ręką przygarnęła do piersi, a prawą wyciągnęła w błagalnym geście. Słowo „ino” nieprzyjemnie uderzyło Wiktorię.

W jednej sekundzie wyobraziła sobie, że tak przy ludziach odzywa się jej wnuczka, i wzdrygnęła się ze wstrętem. Zaciągnęła się po raz ostatni i cisnęła cygaro do stawu.

– Dla ciebie nie ma wody! – krzyknęła poprzez dym. – Idź precz, latawico!

Ludmiła znieruchomiała. Nawet mimo zmierzchu można było dostrzec, jak drżą jej zaciśnięte na tobołku ręce. Wstała z klęczek. A potem, niczym pocisk pchnięty niewidzialną siłą, wzdłuż brzegu przebiegła przestrzeń dzielącą ją od Tyszkowskiej. Stała naprzeciwko Wiktorii i odezwała się bez lęku:

– Pójdę! Widzę ścieżkę i pójdę do dworu! We dworze studnia! Może kto się nade mną ulituje, jeśli pani nie chce!

– Powiedziałam: idź precz! We dworze nie ma wody dla takich jak ty!

Ludmiła zrobiła to, co zrobiłaby każda matka na jej miejscu, to znaczy, przytuliła do piersi dziecko i rzuciła się w stronę ścieżki, która biała w zmierzchu. Wiktoria zastąpiła jej drogę.

– Wynoś się stąd, powiedziałam! To moja ziemia!

– Wody, błagam!... Ino dla Anielci!...

– Wynoś się! Ino szybko!

– Pani!

Znowu uklękła i złapała Tyszkowską za skraj sukni. Wiktoria wyszarpnęła z furią materiał, Ludmiła przewróciła się i wypuściła dziecko z rąk. Tobolek upadł na wysypaną żwirem ścieżkę. Matka wrzasnęła i pochyliła się nad okutanym w płócienne zawoje niemowlęciem.

Dziecko nie zapłakało, nie wydało z siebie żadnego dźwięku.

– Anielcia! – Ludmiła potrząsnęła zawiniątkiem. – Anielcia, aniołku, duszko... Co ci? Otwórz oczka!... Anielcia!

Wiktoria patrzyła z wysoka na tarmoszącą swoim dzieckiem matkę, na warkocz, który wpadł do błota, ręce poranione od żwiru, wreszcie na całą tę niegdyś złowieszczą kobietę, teraz skuloną i oszalałą ze strachu.

Ludka klęczała pochylona nad tobołkiem, a z jej ust, między błaganiami a modlitwami, wypływała rozpaczliwa litania:

– Aniołku, kwiatku, łateczko moja... – jęczała. – Otwórz oczka! Spójrz na mamę! Mama da pić!... Anielciu, aniołku! Otwórz oczka!

Nagle przycisnęła dziecko do piersi i poderwała się na równe nogi.

– Daj wody, jaśnie pani! – Zaskrzeczała ochryple. – Daj wody, słyszysz?! To przecie twoja krew!

Tyszkowską zmroziło. Spojrzała na bladą twarzyczkę swojej wnuczki, na w pół otwarte oczy, rzęsy sklezione resztkami starych łez, usta rozchylone w ostatnim krzyku.

Nie poczuła nic.

Zupełnie nic, poza ulgą i pewnością, że dziecko nie żyje co najmniej od kilku godzin.

Jak jej pierworodny Pawełek. Myślała, że śpi, dopóki nie dotknęła lodowatego czołka. Tylko że Pawełek nie zmarł z pragnienia, a od zabiegów akuszerki, bo jego szesnastoletnia matka była zbyt drobna, by własnymi siłami wydać go na świat. „Ty byś nawet kota nie urodziła, nie-dojdo!” – skwitował Wincenty, podczas gdy ona płakała, czując, jak jej serce pęka na krwawe kawałki.

– Przepuść mnie... – Przez wspomnienia przebił się natarczywy szept. – Przepuść mnie na ścieżkę albo daj wody!

Było już prawie ciemno, ale wpatrzone w nią oczy Ludki błyszcząły jak dwa ogniki.

– Masz! – Wiktoria wskazała na staw. – Odwróć się, chamko! Tam jest woda dla takich jak ty!

Ludka zacisnęła palce na zawiniątku z martwym dzieckiem. Jej białe zakrzywione palce wyglądały jak szpony. Zgubiła chustkę. Rozczochrane jasne włosy kleiły się do ust wykrzywionych w dzikim grymasie.

– Daj mi wody! – Wyciągnęła rękę i raz jeszcze szarpnęła suknię Tyszkowskiej.

Wiktorija pochyliła się, by ją odepchnąć. Palce chłopki natrafiły na luźno zwisający łańcuszek z czaroitem. Łańcuszek pękł, a klejnot z brzękiem uderzył o kamienie.

Na myśl, że przepadł na zawsze w ciemnościach, Tyszkowską ogarnęła furia.

– Wynoś się stąd, powiedziałam! I nie waź się tu wracać!

– Bądź przeklęta! – wycedziła nagle chłopka. – Przeklęta, przeklęta na wieki!... Ty i twoja woda, której pożałowałam! Odmówiłam wody własnej krwi, córce własnego syna! Niech cię ta woda zaleje! Niech twoją ziemię zaleje, niech plony utopi, niech twoje truchło w niej pływa i niechaj stanie się pośmiewiskiem dla gawiedzi po wieki wieków...

Urwała, bo dostała w twarz. Tyszkowska rozorała jej policzek paznokciami.

– Milcz, suko! To nie córka mojego syna! Zrobiłaś ją pewnie z jakimś parobkiem na kupie siana i wmówiłaś dziedzicowi, że jest ojcem! Wynoś się stąd! Wynoś się razem ze swoim zdechłym bękartem, bo zaczyna cuchnąć!

Ludmiła dotknęła policzka. Spojrzała na dziecko rozszerzonymi, nic nie rozumiejącymi oczami. Zadrżała raz i drugi, a potem nagle odwróciła się i pospiesznym krokiem poszła nad staw. Jasny jak piorun, poszarpany warkocz zakołysał się na jej plecach, woda dotknęła skórzanych ciżemek.

– Mama da pić! – dobiegł wyraźny głos. – Mama da pić swojemu aniołkowi, popatrz, Anielciu, ile wody! Dobra woda...

Chlupot zagłuszył resztę słów. Ludka weszła do stawu. Zanurzyła się po kolana, a z następnym krokiem wpadła po pas. Dno nie było uregulowane, więc każde stąpanie w głąb zbiornika pochłaniało coraz bardziej jej drobną postać. Suknia wydeła się jak żagiel, warkocz uniósł się na powierzchni, a po chwili zatonał. Teraz ponad lustrem wody wystawały ramiona Ludki, potem już tylko jej szyja, a potem...

Tyszkowska stała jak sparaliżowana, w końcu krzyknęła słabym głosem: „Ratunku!”. Zatkąła usta dłonią. Nie daj Boże, ktoś mógł nadejść! Mógł nadejść i pomyśleć, że jaśnie pani ma coś wspólnego z samobójstwem tej wariatki! Lepiej na to nie patrzeć!

Zamknęła oczy. Dobiegł ją szelest wzburzonej topieli, jakieś bulgotanie, odgłos szamotania, jakby na wędkę złapała się gruba ryba. Ale to trwało sekundy. Gdy Wiktoria znów uniosła powieki, w ostatekach dziennego światła majaczyła biel ścieżki i kilka błyszczących kręgów na wodzie. Wreszcie staw znieruchomiał.

A potem znów zaśpiewał kos.



**K** sięzyc już dawno wzeszedł, a Katja nadal opłakiwała w składziku swoje zioła i receptariusz. Widząc, w jakim aptekarka jest stanie, poczciwa Lesia zajęła się chorymi. Hela udawała, że robi maść na poparzony brzuch Bartusika, ale tak naprawdę chlipała w kącie – nie wiadomo, czy za doktorem, czy z ulgi, że wyjechał wraz ze swymi barbarzyńskimi kuracjami. Jeden Daniło, nie rozumiejący powszechnej żałoby i szczęśliwy z powrotu do zdrowia, przyniósł aptekarce skradzione ze spiżarki ciastko... Katja podziękowała, zjadła, zupełnie nie czując smaku, i na powrót pogrzyżyła się w czarnych myślach. Strach o jutro sparaliżował ją doszczętnie. „Będę patrzeć, jak umierają” – szepnęła do siebie i w tym momencie drzwi składziku nieśmiało się uchyliły.

Pani Giebułtowska miała na sobie staromodną, koronkową chustę i czepek, a dostojna wdowia czerń sukni dodawała seniorce powagi. W zawojach chusty dało się dostrzec jakiś przedmiot.

Aptekarka poderwała się jak na sprężynie.

– Siedz, dziewczyno, siedz. – Pani Rozalia powstrzymała ją gestem. – Wiem, ile się musisz nabiegać.

– W czym mogę pomóc jaśnie pani?

Giebułtowska wyjęła z chusty zawiniątko.

– To chyba twoje. – Podała zeszyt aptekarce.

Pod Katją ugięły się nogi.

– Och... – Drżącymi dłońmi chwyciła receptariusz. – Skąd? Jak?!...  
Boże Myłjy, gdzie jaśnie pani go znalazła?!

– Doktor przyszedł po pieniądze i kiedy służba niosła bagaże, zauważyłam zeszyt w lekarskiej torbie. Spytałam, czy to nie aby twoja własność. Bardzo się zmieszał, ale ostatecznie przyznał, że przeglądał przed wyjazdem „te bzdury” i widocznie we wzburzeniu przez pomyłkę spakował razem ze swoimi medycznymi książkami. Pomyślałam wtedy, że chyba nie takie bzdury, skoro chciał je sobie przywłaszczyć.

Katja słuchała piąte przez dziesiąte. Gorączkowymi ruchami przerzucała strony. I wtedy to zobaczyła: kartka z napisem „Cholera” – najczęściej odwracana w ostatnich dniach – była wydarta.

Najwyraźniej z tą „bzdurą” doktor nie zamierzał się rozstawać.

– Katju. – Pani Rozalia chyba po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu. – Widzę, że Roztworowski ukradł ci receptę. – Wskazała na okaleczony zeszyt. – Czy ubyło co ważnego? Powiedz!

Aptekarka zdławiła jęk rozpaczy.

– Tu wszystko było ważne. Każda linijka zapisana dłonią mego ojca. Ale szczęście w nieszczęściu, że tej strony nauczyłam się na pamięć. Prawdę mówiąc, zioła wymienione w mieszance na cholere wyrosną dopiero za kilka miesięcy... – Otarła czoło i wypaliła: – Jaśnie pani, doktor na odchodnym stłukł wszystkie słoje z ziołami! Nie mam czym leczyć chorych... Nie wiem, co zrobić, nie wiem!... Jestem w rozpaczy!

– Emilka! – przerwał jej okrzyk Lesi. – Dajcie wiadro! Szybko!

Aptekarka bez zastanowienia chwyciła stojące w kącie, puste wiadro i podbiegła do chorej. Dzieckiem znowu targwały torsje, biedna Lesia odgarniała dziewczynce włosy z czoła – niegdyś czarne i bujne, teraz matowe i zlepione od potu. Mała zakrztusiła się żółcią. Żołądek, wypróż-



niony do cna, nie miał już czego się pozbyć. Dziewczynka skuliła się, cicho jęcząc.

Lesia uniosła wiotkie ciało, żeby Katja mogła zmienić prześcieradło na świeże. Po izbie rozszedł się mdlący odór. Stojąca w progu pani Rozalia dotknęła nosa, a potem ciężkiej, ametystowej karawaki na piersi. Przeżegnała się.

Katja z brudnym prześcieradłem wyminęła Giebułtowską i rozejrzała się w poszukiwaniu drugiej pielęgniarki.

– Hela, czyste prześcieradło! – krzyknęła głośno. – Hela!

Odpowiedziało jej milczenie. Rzuciła brudną pościel do wiklinowego kosza i zajrzała w głąb składziku.

Tak jak się obawiała, dziewczyna nadal nie uporała się z maścią dla Bartusika. Co gorsza, ślęczała nad następną magiczną karteczką, wpatrzone w litery ułożone w tajemnicze słowa.

Katję ogarnęła furia – potworna, wszechogarniająca furia spowodowana zmęczeniem, niewyspaniem i śmiertelną paniką. Wyrwała kartkę z rąk Heli i niewiele myśląc, podarła ją na strzępy.

– Bierz się do roboty! Gusłami nie wyleczysz zarazy! Chorzy cię potrzebują! Ja też potrzebuję pomocy, sama nie dam rady!

– Obie potrzebujecie pomocy – rozległ się cichy, stanowczy głos Rozalii, która podeszła niezauważenie i stanęła za ich plecami. – Trzeba wam jeszcze kogo do opieki nad chorymi, bo już pracujecie ponad siły. Popytam we wsi...

Nie dokończyła, bo rozległ się jęk Bartusika:

– O Boże, ratuj mnie, Boże!

A potem dało się słyszeć głos Lesi zaprawiony zniecierpliwieniem:

– Niechże pan nie jęczy jak dusza czyścowa! Nie widzi pan, że jestem sama?!

– Obawiam się, że nikt nam nie pomoże – odezwała się Katja z całą brutalnością. – We wsi mówią, że jestem czarownicą...

– I ja też! – wtrąciła histerycznie Hela.

– Dla ludzi jesteśmy zarżone, jak byśmy juź umarły...  
– Bo tak jest! – Hela znów przerwała. – Zarażę trzeba zakłć i zamó-  
wić! Wszyscy o tym wiedzą! A nie poić suszoną trawą!  
– Przestań! – nie wytrzymała Katja. – Idź, pomóż Lesi! Natychmiast!  
Dziewczyna spojrzwała na nią rozpaczliwie, ale po chwili wybiegła do  
szpitalnej sali.

Pani Rozalia zacisnęła dłoń na cholerycznym krzyżu.

– Porozmawiam z panem rżadcą. Niechże użyje swoich wpływów, bo  
lud go szanuje i ceni na równi ze mną. O, gdyby udało mu się znaleźć  
kogoś silniejszego, żeby chorych podniósł czy przeniósł z łóżka na  
łóżko! Najlepiej mężczyznę! To by była pomoc. No cóż... Pójdę juź, może  
jeszcze zastanę Maksymiliana w gabinecie. Proście śmiało, gdybyście  
czegoś potrzebowały dla chorych. – Uśmiechnęła się smutno. – Albo dla  
siebie.

Giebułowska zbliżwała juź dłoń do klamki, kiedy Katji przyszedł do  
głowy pewien pomysł.

– Jaśnie pani...

Przenikliwe oczy staruszki spoczęły na aptekarce.

– Świętej pamięci małżonek pani...

– Nie taka ona święta.

– ...założył park, ten za dworem.

– Park! – prychnęła. – To nie park, dziewczyno, tylko dzika puszcza,  
przez którą trzeba się przedzierać z maczetą! Rośnie tam połowa mo-  
jego posagu! A musisz wiedzieć, że z domu jestem Karsznicka, więc po-  
sag wzięłam niezgorszy! Ale mów, moje dziecko, co ci trzeba.

– Czy mogłabym... – zaczęła nieśmiało Katja, ale swoim pytaniem  
musiała dotknąć czulej struny w pamięci starszej pani, bo ta nagle ode-  
zwała się z ożywieniem:

– Trzeba ci wiedzieć, dziewczyno, że mój mąż był dobrym gospoda-  
rzem, ale zapomniał, że drzewa to nie szczypiar, by sadzić jedno przy  
drugim! Nieszczęścia zaczęły się, kiedy zobaczył park Sapiehow w Kra-

siczynie! Mówiłam mu: „Adasiu, ulituj się! Do wielkopańskich gestów trzeba wielkopańskich przestrzeni, a nie poletka, co ledwo się na nim kurnik mieści!”. Ale gdzie tam! Nazamawiał zagranicznych katalogów, zrujnował pół majątku na egzotyczne rośliny, a potem z braku miejsca nasadził wszystko na kupie! I tak zostałam właścicielką parku, po którym nawet nie mogę się przechadzać!

Starsza pani umilkła, choć opisywanie ekstrawagancji męża sprawiało jej wyraźną przyjemność.

– Jaśnie pani – znowu spróbowała Katja. – Czy z czasów, gdy pani mążzonek zakładał park, pozostały może jakieś opisy? Zielniki? Może katalog zasadzonych drzew?

– A są, są! – odparła Giebułtowska gderliwie. – Jest tego baracha, ile panna sobie zażyczysz! Wyniosłam wszystko do biblioteki, gdzie czeka na spalenie i doczekać się nie może, bo Sepp krzyczy, że szkoda. Szkoda, nie szkoda, ale jakoś zabrać do siebie nie chce gratów po kochanym dziaduniu!

Katja podziękowała w duchu dziadziowi.

– Czy jaśnie pani nie będzie miała nic przeciwko, jeśli...

Rozalia machnęła ręką.

– A grzeb w tym sobie panna, ile wlezie! Tylko najlepiej przy otwartych oknach, bo kurzu tyle, że oślepniesz.

– Z całego serca dziękuję.

– Ależ proszę. Żadna to atrakcja siedzieć nad zżartymi przez mole papierami, ale skoro tak lubisz, to twoja sprawa. Leżą na dole w szafie, w bibliotece. Trzecie drzwi na prawo od schodów, powinnaś trafić bez problemu.

Aptekarka znów podziękowała wylewnie, na co Giebułtowska uśmiechnęła się i kazała jej przysiąc, że szpargały wrócą na miejsce, skąd zostały zabrane. Potem zniknęła za drzwiami.

Katja pospieszyła do szpitalnej izby. Pomogła Lesi, mokrą szmatką otarła buzię Emilce i narzuciwszy koc na dziewczynkę, ułożyła ją

w łóżku. Lęk o małą mieszał się z refleksją, że oto nagle ona, wyklęta czaroducha, zyskała sobie zaufanie pani tego domu.

Akurat wtedy, kiedy skończyły się zioła i kiedy – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – wszyscy pacjenci umrą w męczarniach.



**W**iktoria była tak roztrzęsiona, że wpadła wprost na wychodzącą ze szpitaliku matkę. Starsza pani ledwie utrzymała równowagę.

– Cóż ty wyprawiasz? Chcesz mnie zabić?

Tyszkowska przyłożyła dłoń do falującej piersi. Łapała oddech.

– Cóżżeś taka blada? Stało się co?... – indagowała matka. – Gdzieżeś była, że tak cuchniesz hawaną?

Wiktorcia zacisnęła pięści, za wszelką cenę chcąc oddychać spokojniej, ale nie potrafiła.

– Cóżżeś tak oniemiała? – Głos matki przybrał zrzędlawy ton. – Pytam przecież, gdzie byłaś! Mówże no prędko!

– W wozowni – odparła bez zastanowienia. – Koła po ostatniej podróży trzeba zamówić u stelmacha. Wiesz przecież, jak woźnica kopci. Fajka za fajką, aż nos wykręca, do tego machorkę ma mocną... Czy Józef wrócił?

Matka przyglądała się jej bez słowa.

– Mamo? Widziałaś Józefa? Wiem, że folwarki miał dziś objeżdżać. Czy wrócił?

Giebułtowska złagodziła swój wzrok inkwizytora.

– Nie, niestety. Mówił mi przed wyjazdem, że jak dużo roboty będzie, to przenocuje na miejscu. A czemu pytasz?

– Zwyczajnie, jak to matka. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – A ty jeszcze nie w łóżku? Zawsze chodzisz wcześniej spać.

– Katję posłałam do biblioteki, bo upiera się, że chce przejrzeć papiery twego ojca z czasów, gdy zasadził park. Mówi, że zioła jej się kończą i chce obejrzyć drzewa. Pewnie zamyśla jakieś nowe lekarstwo na zarazę.

– Drzewami chce chorych leczyć? – Wiktoria natychmiast podchwyciła temat. – Też coś! Ludzie to nie bobry!

– A widziałas u nas w okolicy chorego bobra? Bobry zdrowe, tylko ludzi zjada zaraza! A niech leczy korą z drzew czy liśćmi, czort ją tam wie. Ale niech wyleczy!

Wiktoria pogardliwie wydeła usta.

– Nie wydaje mi się, by panna Katja poradziła sobie sama. Już dawno chciałam się z tobą na ten temat rozmówić. Może posłać po felczera? Państwo Pieściorowscy z Kuźminy, opowiadałam ci o nich, mają we dworze felczera, ale taką znakomitość, że niejednego lekarza w kozi róg zapędził. Może napiszę do nich list?

Spojrzała czujnie na rozmówczynię. Ku jej uldze mina matki straciła dawną podejrzliwość.

– To nie jest dobry koncept, Wiktorko. Zważ, że drogi zalane i list może dojść za miesiąc. A jak ci odpiszą, że w Kuźminie także zaraza i felczer dla nich cenniejszy od złota, to co wtedy...? Lepiej pozwólmy aptekarce pracować. – Rozalia swoim zwyczajem zacisnęła palce na krzyżu. – Powiem ci, że wydaje mi się całkiem zręczna. A z jaką troską obchodzi się z chorymi! Nie to, co Roztworowski! Dziewczyna ma serce i powołanie.

– Żeby ona miała serce tylko do leczenia, a nie do bałamucenia mego syna, to byłabym najszcześniejszą matką na ziemi! – burknęła Wiktoria. – Nie znasz jej, nie wiesz, do czego jest zdolna.

Powróciła myślami do topiącej się w stawie Ludmiły i w jej miejscu wyobraziła sobie Katję. Nie był to szczególnie przykry widok.

– Przesadzasz, moja droga! Dziewczyna, która z delikatnością odnosi się do bliźnich, nie może być wyzuta z uczuć. Uprzedziłaś się do niej

pewnie, a ja wraz z tobą... Byłam dla niej niemiła, tymczasem w jej rękach leży teraz los wszystkich naszych chorych. Czas pokaże, czy da sobie radę, a póki co należy się cieszyć, że dziś w naszym obejściu nikt nie umarł.

„Prawie” – dopowiedziała w myślach Wiktoria.

Pożegnała się szybko z matką i wymawiając się zmęczeniem, poszła do swojego pokoju.



Gdy Katja zasiadła w bibliotece, zegar wydzwonił północ. Pomieszczenie było nieduże, zagracone co niemiara, a sterty kurzu i pajęczyny świadczyły o nikłej jego popularności wśród domowników. Dziewczyna poziewując, ustawiła na podłodze czteroświecowy kandelabr, znalazła potrzebne papiery, wynotowała co trzeba, po czym – targana nieodpartą pokusą – przeglądnęła najbliższą półkę. Wśród registrów, map i wypisów notarialnych znalazła zielnik z początku wieku, katalog holenderskich tulipanów oraz odręcznie pisane nieprzyzwoite wierszyki, wychwalające detale żeńskiej anatomii autorstwa niejakiego Antoniego Świntyszkowskiego. Na resztę półek straciła ochotę

Gdy mocno przykurzona wróciła do szpitalnej izby, jakiś mężczyzna odwrócony tyłem do drzwi nacierał spirytusem kamforowym plecy Macieja. Ochmistrz wyglądał już nieco lepiej, co nie zmieniało faktu, że w ciągu zaledwie kilku dni stracił prawie połowę wagi. Cholera nie miała litości dla podżytych starców. Wyschnięty, z siną, zapadłą twarzą i czarnymi oczodołami, wspierał się o krzepkie ramię opiekuna, który właśnie wyciągał spod chorego zabrudzone ekskrementami prześciera-dło.

– Spokojnie, staruszkule – do uszu Katji dobiegł schrypnięty głos rządcy. – Wylizesz się. No, skończone, nasmarowane... – Klepnął Ma-

cieja w ramię. – Hela! – zawołał w stronę składziku.

Katja, która spodziewała się ujrzeć wlokącą się ponuro dziewczynę, zamrugła ze zdumienia. Hela nie weszła, a wfrnęła do środka, niosąc świeżo wystudzony napar. Zbliżyła się do łóżka uśmiechnięta jak anioł miłosierdzia, przytrzymała Maciejowi kubek przy ustach i pomogła mu ugasić pragnienie.

– Czy pomóc w czymś jeszcze? – zagruchała.

– Owszem.

Maksymilian wcisnął do rąk służącej prześcieradło, a Hela przyjęła je bez jednego skrzywienia. Lekceważąc bijący z płótna odór, zwinęła go w toboł, wsunęła pod pachę i poszła prościutko do pralni. Maksymilian czule ułożył Macieja na wznak. Zaplótł jego palce jak do modlitwy. Sługa westchnął i zatrzęsł się, a wtedy rządcą nakrył złożone dłonie swoją.

– Walcz, staruszk. Bez ciebie ten dwór stracił duszę. A wiem, bom się przecież przy tobie wszystkiego uczył, począwszy od zarządu, a na porze zasiewów kończąc. Walcz.

Pochylił głowę i ucałował sine czoło starca. Maciej zamrugał. Wyglądał, jakby chciał się rozplakać, ale ponieważ nie miał łez, tylko resztką sił uściśnął rękę rządcy. Potem zamknął oczy. Maksymilian troskliwie poprawił poduszkę pod głowę leżącego i na palcach opuścił szpitalną izbę.

Katja wysunęła się z ukrycia. Oczy miała zaczerwienione od kurzu, żołądek ściśnięty niepokojem, ale mimo zmęczenia odczuwała głęboką wdzięczność.

Kolejne ręce do pomocy. Dobrze, współczujące ręce. Boże Myłyj, oby tylko wytrzymały jak najdłużej w tym piekle!

Bezszelestnie przeszła wzdłuż łóżek. Poza małą Emilką, której stan się pogorszył od wczoraj, reszta chorych wyglądała całkiem nieźle. Biegunka zmniejszyła się bądź ustała całkiem, u niektórych pacjentów powrócił apetyt.

Katja, z lżejszym nieco sercem, udała się do składziku. Sprawdziła stos prześcieradeł (całe szczęście praczki wygotowały wszystko jak należy), ilość źródlanej wody w beczce, zapasy olejku do przecierania rzeczy dotkniętych przez zarazonych. Wszystkiego było pod dostatkiem – poza ziołami, których zostało może ze dwie garście.

– Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam – rozległ się schrypnięty głos – ale chciałem zapytać, czy czegoś jeszcze nie trzeba. Może wody przynieść albo kogo opatrzyć?

Katja uśmiechnęła się z wdzięcznością do rządcy.

– Nie, dziękuję panu. Już uczynił pan wszystko, co należało, a nawet więcej.

– Spełniam tylko swój obowiązek. Pomyślałem, po cóż pani Rozalia ma szukać pomocy we wsi, skoro sam się nadaję.

– Postąpił pan niezwykle szlachetnie.

Rządca machnął odmrożoną ręką.

– Co też, panna... A czy wypada inaczej w takim towarzystwie?

Katja rzuciła tęskne spojrzenie na świecący pustkami słoń.

– Kiedy pierwszy raz się widzieliśmy, wspomniał pan, że drzewa zasadzone w dworskim parku nie są dla pana tajemnicą.

Przytaknął.

– Zna pan gatunki tych drzew? Potrafi je pan odróżnić po wyglądzie, po korze, nawet teraz, o tej porze roku? Gdy spojrzysz pan na bezlistne pnie i gałęzie?

Zawahał się chwilę, marszcząc jasne brwi.

– Owszem. Maciej powtarzał mi to tak długo, że znam kolejność nasadzeń na pamięć.

Katja sięgnęła do kieszeni fartucha po odręcznie zapisaną kartkę.

– Według tego, co znalazłam w dokumentach pana Adama, w parku rośnie perukowiec. Nie mam pojęcia, jak wygląda, więc zdaję się na pana. Albo ka... – Wpatrzyła się w kartkę, ale z powodu zmęczenia litery



tańczyły jej przed oczami. – Ka... Och, nie wiem, co tu nabazgrałam! Katalpa...?

– Katalpa – poprawił z uśmiechem rządcą. – Rośnie niedaleko stawu i ma się dobrze. Niechże panna da mi tę kartkę – zaproponował, wyciągając rękę.

Aptekarka spełniła prośbę.

– Magnolia – odczytał z pewnym trudem Maksymilian. – Jest, rośnie niedaleko katalpy i ma się dobrze, niedługo zakwitnie... I co tu jeszcze...? Dziegieć? Ach, to już nie w ogrodzie, tylko u jakiego budnika. Budników w naszych górach jak psów. Zapytam którego, czy nie podzieliliby się swym cuchnącym skarbem z panną.

Oddał kartkę z uśmiechem, który Katja nieśmiało odwzajemniła. Padła z nóg.

– Dziękuję panu z całego serca. Proszę udać się na spoczynek, a ja posiedzę tutaj z chorymi. Lesia zmieni mnie po półno...

– Nie ma mowy! Liter panna nie potrafi odróżnić, a co dopiero chorych! Ja tu posiedzę, a panna idzie spać. I to już! Rozkaz rządcy tego dworu!

Katja otworzyła usta, by protestować, ale zmęczenie skutecznie je zamknęło. Podziękowała, życzyła rządcy dobrej nocy i wymknęła się ze składziku. Na palcach przeszła przez pogrążoną w ciszy szpitalną izbę, po czym niedługo później wsunęła się do swej izdebki, by ukraść kilka godzin snu.

Padła na łóżko. Zanurzyła się w ciemność, nim jej głowa dotknęła poduszki.

**M**aksymilian przyszedł nad ranem. Zaczęłam go pieścić, ale mnie odsunął. Powiedział, że spędził noc, opiekując się chorymi, i żebym lepiej się nie zbliżała, bo zachoruję.

– Po co tam poszedłeś? – spytałam, a wtedy on z przerażającą prostotą odparł, że tej dziewczynie, Katji, nie miał kto pomóc.

– Tak ci na niej zależy?! – krzyknęłam. – Bardziej niż na własnym zdrowiu?! Bardziej niż na mnie?!

Zamilkł. Nic nie odrzekł, zamknął się w sobie, dokładnie tak, jak nie znoszę. Odkąd pamiętam, Maks posiada irytujący zwyczaj milknięcia dokładnie wtedy, kiedy powinien coś powiedzieć. Twierdzi, że to z więzienia. Że strażnicy w ten sposób wyciągali od więźniów informacje: zręcznymi pytaniami, które powodowały przyływ niebezpiecznej szczerości. Osadzonych trzymano osobno od wielu miesięcy, więc nabierali się na tę tanią sztuczkę. Mówili, bo chcieli mówić do drugiego człowieka, opowiadali o swoich rodzinach, ukochanych, o przyjaciółkach, wrogach i współwięźniach. Skutek tej wylewności był łatwy do przewidzenia – na wszystkich, o których opowiadali, spadały wkrótce aresztowania, konfiskaty majątku i inne dobrodziejstwa oferowane swym galicyjskim poddanym przez Miłościwego Cesarza.

– Zależy ci na tej dziewczynie? – spytałam przez zęby. – Niepotrzebnie. Ona ma męża.

Roześmiał się i zaczął krążyć po pokoju (ależ ja tego nie znoszę!).

– Znam ja tych waszych mężów dla mydlenia oczu! Józef mi się wygadał, co jaśnie państwo potrafią zrobić i do czego się posunąć, by chronić jednego ze swoich przed czarną owcą z ludu!... Ona nie ma żadnego męża! Żaden mąż nie puściłby takiej dziewczyny samej jednej do obcego dworu, by chorych na cholera leczyła! Czyj to był pomysł? – Spojrzał na mnie, mrużąc powieki. – Twój, prawda? Jaśnie pani matka broni synka hulakę przed chłopską czarownicą?!

Zerwałam się na równe nogi.

– Czegóż ty chciałaś? – Podszedł do mnie z twarzą wykrzywioną pogardą. – Liczyłaś na to, że Katja zarazi się i umrze?... Po to ją tu wywiozłaś?!

*Nie wytrzymałam i dałam mu w twarz.*

*Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Byłam zdenerwowana, zrozpaczona, przesładował mnie widok tej chamki topiącej się w stawie, a teraz jeszcze Maks dostał się pod urok tej wstrętnej czarownicy! Najpierw Antoni, teraz on!*

*Nie zapomnę wyrazu jego oczu, gdy na mnie spojrzał. Przypominał skrzywdzone dziecko, bezbronne, chłopskie dziecko, takie, które czasem trzeba odczepić od nogi, kiedy błaga o litość nad matką lub ojcem karanym bizunami za kradzież zboża.*

*– Ukochany, wybacz mi! – powiedziałam prawie natychmiast i chwyciłam go za rękę, ale ją wyrwał.*

*Tę noc, po raz pierwszy od dawna, spędziłam samotnie. Miałam wrażenie, że to wielkie, puste, zimne łóżko kpi sobie ze mnie i sprowadza złe sny. Śniła mi się czarna krypta i moje własne kości, leżące w otwartej trumnie, po brzegi zalane wodą...*

Park tonał we mgle. Mleczna wilgoć sączyła się ze stawu wąskimi pasmami niczym nitki z sieci tkanej przez olbrzymiego pająka. Nad Zawozem wstał mroźny świt, na szczęście bez śniegu. Katja trzęsła się przy furtce do ogrodu, machając koszykiem dla rozgrzewki i marząc o ciepłej, wełnianej chuście – cieplejszej niż ta wytarta, którą miała na sobie.

– Gotowa? – rozległ się wesoły głos za jej plecami.

Odwróciła się.

Pan rządcza – mimo iż nie mógł spać dłużej niż trzy godziny – tryskał energią i dobrym humorem

– Gotowa i uzbrojona. Mam nawet nóż. – Poklepała kieszeń fartucha.

– Przecież doktor wyjechał.

Doceniła dowcip uśmiechem. A potem wspomniała wczorajszą rozmowę Maksymiliana z Roztworowskim i zastanowiła się, co takiego wydarzyło się w życiu rządcy, że mimo młodego wieku czasem był boleśnie szorstki jak jego głos.

– Na doktorów rzucam się z siekierą. A nóż wyłącznie do kory i gałązek. Ale racja, warto poćwiczyć na wypadek, gdyby doktor wrócił.

– Szlachetnie to z panny strony. Tak przy okazji, proszę powiedzieć, ile potrzebuje panna tej kory, gałęzi czy innego chrustu? Wystarczy koszyk czy mam pójść po taczkę?

– Nie śmiem zatrudniać poważnego rządcy do taczek.

Maksymilian pchnął furtkę i puścił dziewczynę przed sobą.

– Dobrze, dla panny nadszarpnę swój dworski autorytet: wezmę wiązkę chrustu na plecy, zgarbię się i podeprę kosturem.

– I proszę postękiwać.

– Koniecznie. A że tak spytam, pannie po co tyle chrustu?

Katja spojrzała z udanym zdumieniem.

– Jakże po co? Na stos!



**P**rzekomarzali się, dopóki nie zniknęli za furtką, w plątaninie gęsto nasadzonych drzew. Wiktoria, skryta za firanką, zacisnęła zęby. Co to ma być?! Jakież śmiechy, chichoty, głupie żarciki?! Boże, jak on jej słucha, aż przekręca głowę, żeby nie uronić ani słowa! Dobrze mówi stare powiedzenie: „Nikt tak uważnie nie słucha kobiety, jak mężczyzna, który chce ją posiąść”. A może to już się stało?! Wczoraj w nocy przyszedł tak późno...

Ostatnia myśl prawie odebrała jej rozum. Jak szalona pobiegła do lustra, dotknęła zmarszczek (pogłębiły się od niewyspania!) i znowu wróciła do okna. Śmiechy ucichły, musieli wejść głębiej, między drzewa. Co tam robią? Co robią? Spacer...? Kto w to uwierzy?! W marcu, po błocie? Tam, umyślnie tam, bo łatwiej się ukryć przed ludzkimi oczami! Maks opiera ją o drzewo i całuje w otwarte usta... Rozchyła jej blade uda, a potem przybija do pnia mocnymi pchnięciami, tak jak to robi, gdy czasem kocha się w parku z nią, Wiktoria. Drzewo drży, aż z góry sypią się zeschłe liście, aż od uderzeń marszczy się woda w stawie...

Boże miłosierny! A jeśli pójdą nad staw?!

Tyszkowskiej zaschło w gardle. Poczula nagle całą swoją starość, ciężar wieku i niemocy, który każe pięćdziesięcioletnim kobietom zamienić romanse na kruchtę i szukać szczęścia w datkach na kościół i klepaniu pacierzy. Boże, po co darowałaś mi tę miłość?! Dlaczego dopiero teraz, kiedy powinnam szukać ukojenia nie na ziemi, a pod nią?! Kiedy oddałam temu człowiekowi całą władzę nad sobą, kiedy bez niego jestem bezbronna jak dziecko, kiedy rozpadam się na kawałki na myśl, że mógłby mnie zostawić!...

Chciała zwinąć się w kłębek na podłodze i zawyć rozpaczliwie, jak porzucony pies. Chciała, ale jakaś jej część, ta część, którą tresowano

w niej od dzieciństwa, która była odpowiedzialną i sumienną panią domu, kazała jej wstać i zająć czymś głowę. Czymkolwiek. Nawet tym hałasem dochodzącym z zewnątrz. Nadstawiała ucha.

Turkot powozu, poszczekiwania psów, krzyki stajennych. Raczej niemożliwym było, aby w taką pogodę zjawił się jakiś gość, ale należało sprawdzić. Podeszła do lustra. Poprawiała fryzurę, uśmiechnęła się na próbę sinymi ustami. Rozboliła ją twarz.

W sieni rozległ się tupot podkutych butów. „Józef” – pomyślała, a zaraz potem: „Ktoś wyłowił trupa!”. Serce zatrzepotało jej w piersi jak płonąca ćma. Głośne, zamaszyste kroki zadudniły za drzwiami, a potem zatrzymały się przed wejściem do jej pokoju.

– Gdzie matka? – rozległ się znajomy głos, a Tyszkowska, która myślała do tej pory, że prócz wiarołomnego kochanka i martwej kurwy w stawie nic gorszego jej już nie spotka, musiała zmienić zdanie.

– Boże, tylko nie to – szepnęła, ale Bóg jej nie wysłuchał.

Szczęknięły drzwi i do środka wparował jej pierworodny, rozkładając szeroko ramiona i zionąc aromatem świeżo wypitego węgryzyna.

– Cóż to, mamuniu?! – huknął Antoni na widok smętnego oblicza rodzicielki. – Nie cieszysz się, że synek przyjechał?



**K**atja rozejrzała się bezradnie. Bezlistne drzewa rosły tak blisko siebie, że czuła się zgnieciona z obu stron jak mysz w imadle. Wyobraziła sobie park w letniej odsłonie, kiedy zieleń gęstnieje i zasłania niebo. „Zielona katedra” – pomyślała i wzdrygnęła się mimo woli. Kowalscy raz wzięli ją do zatłoczonej katedry w Przemyślu, by usługiwała Augustie, gdy panienska oddaliła kolejną pokojówkę. Z tamtego miejsca najbardziej zapamiętała ciasnotę pełną kaszlnięć i ludzkich wyziewów oraz strach, że jeśli szybko nie ucieknie, niechybnie się udusi.

– Niech panna trzyma się blisko mnie.

– Nie zamierzam inaczej.

– A teraz proszę popatrzeć w górę. O tam! Widzi panna te strąki?

Aptekarka zadarła głowę. O rzut kamieniem z miejsca, w którym stali, rozłożyste drzewo kołysało na sobie setki długich, podobnych do sztyletów, strączków. Wyglądało niczym sucha, obwieszona brzydkimi cukierkami choinka. Wedle wyczytanej z zielników wiedzy, nasiona należało wyłuskać ze strąków, utrzeć w moździerz, a potem wymieszać z gałązkami jeżyn, by uzyskać eliksir na biegunki, kolki i wzdęcia.

– Niech zgadnę: katapulta?

– A jakże! – Wyszczerył się rządcą, prowadząc Katję zarośniętą ścieżką, pełną drapiących zarośli. – Najpiękniejsza jest jak kwitnie. A jaki zapach! Można się upić samą wonią!

Dziewczyna szła, rozglądając się uważnie. Umysł jej był wyostrzony, wyczekiwał wskazówek od czegoś nieokreślonego, metafizycznego, od tego, co Batko nazywał „darem”. Katja uklękła i objęła wzrokiem zmrozoną ziemię. Znalazła liście niedźwiedziego czosnku oraz młodziutką miodunkę, której właściwości wychwalał Paracelsus, a święta Hildegarda kazała warzyć z niej lecznicze wino. Gdy wkładała zioła do koszyka, jakieś gałązki wplątały się jej we włosy. Wierzba! Przystanęła i oskrobała nożem korę. Potem przyszła kolej na pączki topoli, dalej na kolczaste gałązki jeżyn i na skryte w ich gąszczu, nieśmiałe stokrotki...

– Na litość boską! – eksplodował milczący jak dotąd Maksymilian. – Jak panna chce zrywać wszystko, co popadnie, to mogłem wziąć kosę!

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale to nie jest „co popadnie”. Z tego będą dwie skuteczne mieszanki. A! I niechże pan podniesie nogę, bo nie widzę, czy to chrzan, czy co innego. Jeśli chrzan, to proszę wykopać korzeń. Będzie z niego sok dla naszych chorych.

Maksymilian przewrócił oczami, ale posłusznie się cofnął. Wydobył kilka korzeni chrzanu, obdarł z kory brzozę i policzył jemioly w koronie

starej topoli.

– O! – Katja klasnęła w dłonie! – Jakie szczęście! Podbiał i fiołki!

– Fiołka to ja za chwilę z panną dostanę – mruknął rządca. – Coś mi się widzi, że zaraz cały park panna wykopie. Co krok to jakieś pożyteczne ziółko! Radzę pomiarkować w tych zbiorach, bo miejsca w koszu nie starczy!

Katja uniosła głowę. Stali pod katalpą obwieszoną szeleszczącymi strąkami. Aptekarka zdjęła z siebie chustę i podała rządcy. Maksymilian chwycił ją i uniósł pytająco brwi.

– Nie to, że mi się panna nie podoba, ale...

Katja zgromiła go wzrokiem.

– Niechże pan z łaski swojej nie buja w obłokach, tylko narwie z pięćdziesiąt strąków katapulty, a potem zaprowadzi mnie do perukowca. I jeszcze do tej... Boże Myłyj, znów nie pamiętam nazwy!

– Mongolii – podsunął uprzejmie Maksymilian, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Mongolia rośnie nieopodal stawu, tam, gdzie świętej pamięci pan Adam lubił przechadzać się najchętniej, a to z tej przyczyny, że żona ciągle się gubiła w wąskich alejkach. Maciej mówił, że jaśnie pana niezmiernie bawiło obserwowanie jej z ukrycia.

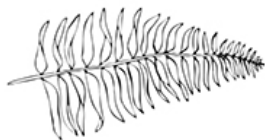
– Wnioskuję z pańskiego zadowolonego tonu, że pochwała pan karygodne zachowanie pana Adama wobec Bogu ducha winnej małżonki.

– Gdzieżbym śmiał. Gdybym miał żonę... załóżmy, że taką pyską jak panna, specjalnie bym ją zgubił w tym ogrodzie, żeby później odnaleźć. Powiedzmy po dwóch dniach. Szlochającą, wołającą o ratunek i wdzięczną do grobowej deski za ocalenie.

Spojrzała na niego przez szparki zmrużonych powiek.

– Śmiem twierdzić, że gdyby pańska niebyła żona przejrzała ten niecny plan, również wołałby pan o ratunek... A teraz niechże przestanie pan wreszcie bredzić i zaprowadzi mnie nad staw.





**P**rzez te pizdolone błota jechałem trzy razy dłużej niż normalnie! – Toni obiema rękami pałaszował pasztet z królika i głośno oblizywał przy tym palce.

„Na litość boską, czy wszystko na tym świecie musi przypominać Maksa?!”

Siedzieli we dwoje w jadalni, gdyż na obiad było jeszcze za wcześnie. Wiktoria uprzejmie słuchała. A raczej udawała, że słucha, bo jej uwaga była kilkadziesiąt metrów stąd. Jeszcze nie wrócili! Prawie od godziny snuli się po ciasnych, zarośniętych alejkach! Alejkach szerokości ramienia!

Zapatrzyła się w okno wychodzące na park.

– Pod Zawozem koń mi się prawie utopił jak żaba w wychodku! Musiałem się wrócić i zajechać tu okrężną drogą, bo wpadłem w takie bagno, że powóz się wywrócił kołami do góry... Utyłtałem się jak świnia, zgubiłem wszystkie bagaże. I pieniądze. Musiałem się u Żyda w Hoszowie zapożyczyć, bo szczelbym z głodu. Słuchasz mnie, mamo?

Tyszkowska odkleiła wzrok od okna i spojrzała na syna. Zarośnięty, w wymiętym ubraniu, z ziemią pod paznokciami roztaczał wokół siebie przykry aromat gorzałki, potu i podróży. Przypominał wołoskiego bandziora, który obrabowawszy dwór, dorwał się do zastawionego stołu.

– Gdzie masz pierścień? – spytała.

Uśmiechnął się znad pasztetu.

– U jubilera. Obrączka była za szeroka.

„Kłamie” – pomyślała. „Zawsze gdy kłamie, drży mu policzek”.

– Załatwiłeś swoje długi z Kowalskimi?

Siorbnał z kielicha.

„A teraz gra na czas. Wymyśla wykrętną odpowiedź, tak by nie skłamać i nie powiedzieć całej prawdy”.

– Prawie. Gdyby nie zalane drogi, już bym wszystko załatwił.

– Ale drogi są zalane, więc nie załatwiłeś niczego. Zapytam wprost – nabrała powietrza – po coś tu przyjechał, Toni? Nawet ciebie między jedną a drugą butelką musiały dojść słuchy o zarazie.

Przełknął ostatni kawałek królika, zagryzł chlebem i żując, zapatrzył się w obrus.

„Teraz zmieni temat”.

– Cóż tak ciągle filujesz na to okno, mamuś? Stało się co?

Wiktoria wstała i wsparła się oburącz o oparcie krzesła. Jej cień padł na talerz Toniego.

– Zaraza to śmiertelne niebezpieczeństwo – kontynuowała niewzruszona. – Wystarczy, że Józef przyjechał, a ja drzę o jego los każdego dnia. Po co tak ryzykowałeś, synu...? Zostawiłeś cały majątek na pastwę losu, żeby zrobić sobie wycieczkę po okolicy...? To niepodobne do ciebie!

Wzruszył masywnymi ramionami.

– Stęskniłem się za tobą, mamu... Jest jeszcze węgrzyn...? – spytał prosząco, a Wiktoria odczuła nagłą pokusę, by wykrzyknąć mu prosto w twarz, że zna powód tej wizyty. Zacisnęła szczęki i dokończyła spokojnie:

– Zaszczycem to i chwałą, że syn robi taki szmat drogi, by odwiedzić starą matkę. Niechybnie wspomnę o twej trosce księdzu dobrodziejowi, za to ty...

Zawiesiła głos, a Toni uśmiechnął się łobuzersko, pewny, że mu wybaczone.

– Ty się jutro pakujesz i wracasz do domu.

Uśmiech spelzł z twarzy pierworodnego. Toni wstał, ściągnął dzikie, czarne jak smoła brwi, a potem wrzasnął, aż zadrżały talerze:

– Co takiego?! Ja?!... Ja mam wracać?! Bo własnej matce się nie podobają, że przyjechałem ją odwiedzić! Nie ty rządzą we dworze, jeno

babka! Ona ma większe serce dla wnuka niż ty dla syna!

Nabrał tchu, ale nagle umilkł i znieruchomiał wpatrzony w okno. Wiktoria podążyła za spojrzeniem syna.

Katja i Maks właśnie przechodzili przez furtkę. Swobodni, rozgadani. Ona tłumaczyła mu coś, gestykulując, a on potakiwał. Potakiwał skinieniem głowy, bo w jednej ręce niośł wypełniony zielskim kosz, a w drugiej tobolek skręcony z chusty. Przez dziury w chuście sypała się kora, a kiedy wskutek marszu wypadał jakiś duży jej kawałek, Maks pospiesznie podnosił go z ziemi i wkładał do środka.

Tyszkowska jak w transie podeszła do okna. Za sobą usłyszała rumor: to Toni rzucił się od stołu, przewracając krzesło. Poczula na karku oddech syna.

– Co to ma być? – wyszeptał po chwili. – Co oni razem robią?! Co to za spacer, do kurwy nędzy...?!

Pomyślała, że nie mogłaby lepiej tego ująć. Uderzył ją absurd tej sytuacji: oto matka z synem, każde cierpiące od nadmiaru swych tajemnic, wpatrują się w Bogu ducha winną szybę z taką nienawiścią, że od siły ich wzroku za chwilę pęknie szkło.

– Mamo, powiedz coś. Oni od kiedy tak...? – W głosie Antoniego brzmiała czarna rozpacz. – Mamo, powiedz mi...

Z zewnątrz dobiegł radosny śmiech Maksa i Wiktoria wzdrygnęła się jak od ukłucia.

– Nie wiem. – Odkaszlnęła, bo emocje ścięły jej gardło. poczuła, że zaraz się rozpłacze. – Poszli zbierać zioła dla chorych. Przecież nie zabronię im zbierania ziół! Wczoraj Maksymilian zgłosił się na ochotnika pomagać w szpitalu. Musiała go zauroczyć, bo przecież nikt sam z siebie, o zdrowych zmysłach, nie pójdzie tam, gdzie umierają ludzie...

Ciągle gestykulując, Katja powiedziała coś, na co rządcą wybuchnął salwą zaraźliwego śmiechu. Wiktoria poczuła, jak Toni cały się spiał, a z jego rosłej postaci powiało zimną nienawiścią.

– No nie wytrzymam. No nie wytrzymam, kurrrrrwa! Idę tam i doprowadzę towarzystwo do porządku, skoro ty nie potrafisz!

Zanim Wiktoria zdążyła zareagować, wybiegł za drzwi.



Rządca odstawił kosz i zamknął furtkę. Popatrzył z tryumfem na ap-  
tekarke.

– No i jak? Zadowolona?

Katja okręciła się wokół własnej osi.

– Bardzo! Dziękuję z całego serca! Za zbiory i za budnika! – Nagle się zafrasowała. – Tylko jak ja go rozpoznam, kiedy się zjawi we dworze?

– Rozpozna go panna nosem, bo dziegieć czuć z daleka. Będzie panna uciekać, jakby kto przewrócił ul. Czy jeszcze jakieś życzenia? Jakieś kaptuły, mongolie...? Proszę mówić śmiało.

Pokręciła głową.

– Jeszcze jemiola, ale po nią pójde sama, żeby pana nie fatygować.

Rządca zmarszczył brwi.

– Co takiego? Sama do zbierania jemioly? I pewnie z sierpem? Pan Józef opowiadał, że tak obcięła sobie panna kawałek ucha!

Katja zarumieniła się i dotknęła okaleczonego miejsca.

– Ach, dawno temu, gdy byłam dzieckiem. Myślałam, że ucho wyrośnie w tym samym miejscu jak jemiola. – Wzruszyła ramionami, kiedyś naprawdę w to wierzyła. – Ale wyrosłam tylko ja.

Rządca popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Jeśli panna myśli, że puszcze pannę samą do ogrodu, żeby tym razem obcięła sobie panna rękę albo nogę, to się panna myli.

– Niechże pan nie robi ze mnie takiej niezdary!

– Nie ma mowy! Nie będę potem szukał paninych części i składał do kupy!

– Zielarz zawsze sam zbiera jemiołę. To święty zwyczaj. Rytuał.

Maks wsparł ręce na biodrach.

– Jeśli chodzi o rytuał związany z jemiołą, to ja słyszałem o innym. Że pod każdą jemiołą trzeba się całować, bo jak nie, ściągnie się na siebie nieszczęście.

„Dlatego właśnie zbieram ją sama” – pomyślała z bólem serca.

– Większej bzdury nie słyszałam – odparła, wznosząc oczy ku górze, ale Maks chyba nie uwierzył. Wycelował w nią odmrożony palec.

– Nie będę się z panną spierał, ale sama panna nie pójdzie. Zabłąka się panna i co wtedy? Maciej zwykł mawiać, że jak niebo się nad parkiem zachmurzy, to i własnej dupy nie widać!...

Zerknął niespokojnie na Katję, jak przyjmie niewybredny żart. Parsknęła śmiechem.

Naraz drgnęła. Zaintrygował ją dziwny dźwięk, jakby ktoś ukryty za załomem muru okalającego park klaskał w dłonie. Rządca również usłyszał kpiące brawa i skrzyżował z aptekarką zdumione spojrzenia.

– Winszuję poczucia humoru. – Wciąż klaszcząc, Antoni wyłonił się z ukrycia. – Co za słownictwo, co za wyszukany język w towarzystwie niewiasty! Błysnąłeś pan jak chrząstka w baleronie!...

Katja pobladła i cofnęła się o krok. Antoni w wymiętym ubraniu, z twarzą zarośniętą czarną szczecina, przypominał rzezimieszka.

– Witam jaśnie wielmożnego pana. – Maksymilian gładko przełknął zniewagę. – Proszę mi wybaczyć nieobyczajny język, jakim zwracam się do panny aptekarki, ale nie spodziewałem się, że będę słyszany przez kogoś jeszcze.

Tyszkowski zignorował tę wypowiedź całkowicie. Jego zielone, palące oczy wolno prześliznęły się po dziewczynie.

– Widzę, że zażyłość państwu służy – wycedził, podchodząc bliżej. – Te spojrzenia, uśmiechy, rumieńce... Aż miło popatrzeć, jak służba mo-

jej babki integruje się w duchu przyjaźni i zrozumienia.

Przez ciało aptekarki przebiegł dreszcz. Co ten potwór tu robił?! Skąd wiedział, gdzie jej szukać?! Ten przemądrzały, wiecznie zapijaczony szlachciura, który przyszedł na świat chyba tylko po to, żeby obrzydzać jej życie!

– I co, Sarnino? – odezwał się Toni z fałszywą przymilnością, ziejąc wczorajszym i dzisiejszym winem. – Nie przywitasz się ze swoim panem?

– Nie jest pan moim panem – odparła, hardo patrząc mu w oczy. – Mam panią: właścicielkę ziemi, na której mieszkam i której służę, pańską czcigodną babkę, jaśnie panią Rozalię. Ale oczywiście witam pokornie jaśnie wielmożnego pana. – Dygnęła i szybko sięgnęła po koszyk. – Jaśnie pan wybaczy, ale w szpitalnej izbie czekają chorzy. Muszę pilnie się nimi zająć.

Antoni zastąpił jej drogę. Nos Katji znalazł się tuż przy spoconym, rozchełstany rozcięciu koszuli. Patrzyła stamtąd na aptekarkę wytatuowana na torsie wilcza głowa w aureoli spoconych, czarnych kłaków. Dziewczyna odskoczyła jak od ognia.

– Oddaj kosz panu rządcy, Sarnino. Widziałem przed chwilą, że niesienie twoich kłopotów sprawia mu dużo radości. Oddaj kosz i porozmawiaj ze mną, bom długo jechał, by cię ujrzeć.

Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo jest pijany. Chwiał się na nogach i bełkotał. Katja przycisnęła kosz do siebie.

– Pan rządca musi wracać do swoich spraw. A ja jaśnie panu z serca radzę trzymać się ode mnie na dystans, bo stale przebywam wśród chorych i mogę nieumyślnie przenieść zarazę.

Wyminęła go zrećznie i pobiegła w stronę dworu.

– Wracaj tu! – dobiegł pijacki okrzyk. – Wyszoruj się, przebierz w czystą suknię i zaraportuj punktualnie o dziesiątej w moim pokoju. Mam ci coś ważnego do powiedzenia! Słyszysz, Sarnino? To ważne!

Odwróciła się. Ciężki kosz wpijał się jej w dłoń.

– Przykro mi, ale nie mogę opuścić chorych... – Nabrała tchu, by bro-  
nić się przed napastliwością Antoniego, ale przerwał jej nagle znajomy,  
serdeczny głos:

– Toni?! Toni, co ty tu robisz, u diabła?!

Na ścieżce pojawił się Józef. Minął Katję bez słowa i pobiegł do brata.  
Uściskali się.

– Kiedyś przyjechał, Tońciu? Patrzcie tylko! Cała rodzina zwała się  
babce na głowę! Ciekawe, czy jest z tego powodu szczęśliwa?

Toni uśmiechnął się niemrawo.

– Tego nie wiem. Ale bynajmniej jeszcze nie kazała mi się stąd wyno-  
sić, jak nasza matka.

Józef odsunął brata na długość ramienia i spojrzał mu w oczy.

– Matka kazała ci się stąd wynosić...? Nie wierzę! Przecież nie wypiełeś  
więcej niż zwykle!

Zanim zmałowany umysł Toniego zdołał wyprodukować odpowiedź, do  
Tyszkowskich podszedł Maksymilian.

– Panowie pozwolą, że coś im pokażę. Wraz z panną Katją znaleźli-  
śmy to nad stawem. To z pewnością własność którejś z tutejszych dam.

Wyciągnął z kieszeni zmiętą, wyszywaną czerwonymi krzyżykami  
chustę.

Józef zbladł. Panicznym ruchem szarpnął za tkaninę i rozciągnął ją  
w obu dłoniach.

– Boże jedyny! Gdzieżeś pan to znalazł?

– Przy brzegu. Pomyślałem, że może należy do jaśnie pani Wiktorii  
albo...

– Pan nie wiesz, co nasza matka na siebie nakłada? – Przerwał Antoni  
z pijackim uśmieszkiem. – I co z siebie ściąga...? Ślepy jesteś...?

Józef trącił brata w ramię. Toni czknął.

Dziedzic przycisnął tkaninę do twarzy, jakby chciał wtłoczyć w płuca  
jej zapach. Czoło mu się zmarszczyło, szczęki zacisnęły, kciukiem i pal-

cem wskazującym międlil czerwony szlaczek na brzegu chusty. Katja obserwowała go zdziwiona, bo chusta, nawet najpiękniejsza, rzadko wywołuje w mężczyznach takie poruszenie. Kiedy wraz z rządcą znaleźli ją zmiętą w mokrym piasku, aptekarce przez moment wydała się znajoma, ale szybko wytłumaczyła sobie to wrażenie: jej własna chusta służyła teraz za toból na zioła, więc może dlatego okrycie skojarzyło się z czymś bliskim i pożądanym.

– Mogę panu wskazać miejsce, gdzie to znaleźliśmy – zaproponował Maksymilian.

– Będę wdzięczny.

Józef pospiesznie skręcił w stronę parku, rządcą podążył za nim.

Nie minęła sekunda, a dziewczyna poczuła na sobie pijane oczy Antoniego. Szarpnęła za pałąk kosza i skaleczyła łydkę ostrym końcem wikliny. Syknęła z bólu. Tyszkowski chciał zastąpić jej drogę, ale uprzędziła ten zamiar. Chwyciła kosz i zamotaną w węzeł chustę z ziołami, po czym rzuciła się wprost do dworu, nie oglądając się za siebie.



**T**oni dodawał sobie animuszu wyniesionym z piwniczki babki węgrzynem, doszedł więc do stadium, kiedy bardziej niż kiedykolwiek przypominał pijacznę z podrzędnej austerii. Przed oczami – czy je otwierał, czy zamykał – widział Katję śmiejącą się do rządcy. Odkąd zobaczył ją dziś rano taką wiotką, śliczną i życzliwą dla tego pieprzonego Swędziwora, cierń zazdrości wbił mu się w serce i zapuścił trujące korzenie. Jaśnie pan był nieszczęśliwy do szpiku swego jestestwa. Powoli i nieuchronnie dochodził do wniosku, że niektórzy ludzie rodzą się tylko po to, by krzywdzić innych, a Katję Pan Bóg wybrał specjalnie dla niego, żeby do grobowej deski obrzydzała mu życie. Tłumaczył sobie, że to tylko głupia dziewczka bez ucha, ale skoro tak – dopowiadał od razu



wewnętrzny głos – to po co dla głupiej dziewczki ryzykować niebezpieczną podróż i taplać się w błocie jak kaczka...?

I chwileczkę: skoro głupia, to czemu za nią latasz jak Żyd po pustym sklepie? A do tego ani ładna, ani nie ma za co złapać, ani nawet pokornie się nie odezwie, tylko pyszczy tak, że jeno w gębę lać i patrzeć, czy równo puchnie!...

Toni, zapętłony w swoich dywagacjach, czuł, że jeszcze chwila, a zwaruje, więc żeby uciszyć myśli, wlał do ust kolejny łyk węgrzyna ze znalezionej w piwnicy omszałej butelki. Potem ułożył umęczoną głowę na wspaniałym łożu z baldachimem w pokoju, w którym zakwaterowała go babka, i zasnął.



O budził go dopiero kurant w zegarze, wydzwaniający ni mniej, ni więcej, tylko godzinę dziesiątą. Toni zerwał się z głośnym chrapaniem, przetarł oczy i przez dobrą chwilę zastanawiał się, gdzie jest, dlaczego boli go głowa i co miało się wydarzyć o godzinie dziesiątej – bo jak przez mgłę pamiętał, że coś ważnego.

Otrząsnął się. Kurant wygrywał głośno swoją melodyjkę, dlatego też w pierwszej chwili Tyszkowski nie zwrócił uwagi na stukanie w szybę. Ocknął się dopiero, kiedy czyjś czarny, kędzierzawy łeb zamajaczył w oknie.

– Jaśnie wielmożny panie!

Toni uchylił okno i skrzywił się od podmuchu zniewalającego smrodu. Pomyślał, że czas wykapać się nareszcie po podróży, jednak po chwili zrozumiał, iż źródłem ohydneho, kojarzącego się ze spalenizną aromatu jest właściciel kędzierzawego łba.

– Czego chcesz? – warknął. – Jakim prawem zakłócasz spokój mozym?!

Kudłaty chłop skłonił się do pasa, złożył jak do modlitwy wyjątkowo brudne, oklejone jakąś mazią dłonie.

– Jam Prosper, panie! – jęknął. – Budnik z tutejszych lasów! Dziecię mam chore, a słyszałem, że tu we dworze mieszka czarownica, co ziołami najgorszą niemoc potrafi uleczyć! Synkowi niecały rok...

Nie dokończył, bo Toni zaklął i zatrzasnął mu okno przed nosem.

Kurant umilkł. Antoni przyglądał włosy przed lustrem, zasłonił koszulą wilczy tatuaż i uznał, że mimo braków w higienie cała jego szlachecka postać prezentuje się nadzwyczaj kusząco. Przenikliwe spojrzenie, kwadratowa szczęka, zęby wszystkie, wąs tłusty jeszcze od króliczego pasztetu, ale przez to zawadiacko zakręcony...

Nieśmiałe pukanie do drzwi przerwało jaśnie panu orgię samoza-chwytu i wywołało wysyp lubieżnych myśli.

– No! – zamruczał do swojego odbicia. – Teraz, droga Sarnino, zrugam cię okrutnie... Kto to widział spóźnić się o minutę?

Otworzył drzwi na oścież. Zmartwiał. Na progu stał ten sam śmierdzący dziegiem chłop.

– Jaśnie wielmożny panie, czy to tutaj mieszka czarownica?

Toni zamknął oczy w nadziei, że obrzydłe widziadło się rozwieje, ale bez rezultatu. Chłop filował mu przez ramię, usiłując dostrzec zarys pokoju.

– Dobrzem trafił?

– Niedobrzem! – warknął Antoni i już miał chwycić łajzę za frak i wyrzucić precz, kiedy do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

– Innym razem skopałbym ci dupę jak warzywnik na wiosnę, ale skoro tu przylazłeś, to trudno. – Toni wyszedł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi pokoju. – Dzisiaj mam dzień dobroci dla chamów. Zaprowadzę cię do czarownicy. Chodź!

Skinął na budnika i powiódł go korytarzem w stronę aptecznego składowiska. Prosper, czy jak tam było brudasowi, zerkał na niego ze strachem. Kilka razy otarł rękawem czoło, wyraźnie zdenerwowany.

– Panie, a ta czaroducha to zła jest bardzo?

– Pewnie. Zła jak sto diabłów. A najgorzej jak jest głodna! Prowadzę cię do niej, bo jeszcze śniadania nie jadła.

Prosper przystanął.

– Oooo, panie! Jaśnie pan sobie ze mnie dworuje! Że czarownica musi być zła, to każdy wie, chociaż różnie o niej we wsi mówią. Jak się rozniosło, że syn parocha ozdrowiał, to jedni mówią, że ona boską mocą leczy, a inni, że szatańską. Wójt na ten przykład mówi, że szatan się zląkł kapłańskiego dziecka i rękami czarownicy go uzdrowił, a baby mówią, że dziecko ozdrowiało z woli boskiej, a na czarownicę trzeba widły i grabie wyciągać i przed chatę położyć, żeby sobie następnego dziecka nie wybrała i nie zmorzyła chorobą.

– A ty co o niej myślisz? Że zła czy że dobra?

Prosper podrapał się po czuprynie, która jako żywo przypomniawsza jaśnie panu czuprynę Aleksego przed ucięciem kołtuna.

– Ja, jaśnie panie, wiem tylko, że dziecko mam chore. I kiedym się od tutejszego rządcy pana Maksymiliana dowiedział, że czarownica chce dziegiu do swoich zaklęć, tom wziął dziegieć i tu przyszedł.

– Matko Boska Kalwaryjska! – Toni wreszcie zidentyfikował bijący od chłopca smród. – Gdzie masz ten dziegieć?

Budnik poklepał się po usmolonych gaciach.

– A tu, w portkach, jaśnie panie. Żeby był miękki. Bo bez ciepła twardnieje.

– Mnie tam twardnieje z ciepłem czy bez, ale każdy nosi w portkach, co lubi. Stój, chanie, jesteśmy na miejscu.

Prosper posłusznie przystanął na wprost wejścia do szpitalnej izby. Tyszkowski otworzył drzwi. W nos uderzył go odór wymiocin i ekskrementów, zgłuszony zapachem boraksu i ziołowych olejków. Omiótł wzrokiem zwiotczale, wycieńczone twarze chorych, puste spojrzenia wypatrujące śmierci, jakieś dziecko o przezroczystej skórze i rękach chudych niczym zeschnięte gałązki. Ujrzał też czyste prześcieradła, pod-

łogi, szyby w oknach i całą pełną poświęcenia troskę, z jaką ktoś opieko-  
wał się tym przedsiönkiem piekła.

Idący za nim Prosper również musiał poczuć coś podobnego, bo za-  
trzymał się z szacunkiem pod drzwiami aptecznego składu, i trzykrot-  
nie zrobił znak krzyża na piersi.

Rozległy się lekkie, pospieszne kroki. W progu ukazała się jakaś nie-  
znana dziewczka w chustce i fartuchu, a za nią Katja. Na widok Tyszkow-  
skiego aptekarka zbladła jak ściana.

– Padam do nóg, najjaśniejsza czaroducho i bisurkanio! – ryknął Pro-  
sper i jak zapowiedział, tak zrobił, czyli zwał się na kolana przed Lesią.  
– Rzeki przemierzyłem i góry pokonałem, aby móc cię ujrzeć i o zmiło-  
wanie nad mym dziecięciem prosić! – Objął oburącz kostki posługaczki  
i stuknął w nie czołem. – Syn mój zachorzał na zarazę, a dobrzy ludzie  
powiadają, że nikt tak zarazy nie leczy, jak tyś pani, królowo wiedźm  
bieszczadzkich, władczyni słońca i księżyca, ognia i wody, pani wia-  
trów...

– Odsuń się, Lesia – poleciła Katja, siląc się na spokój. – To jakiś wa-  
riat.

– Pani wiatrów – nie wytrzymał Toni. – Bardzo trafne przy cholerze.

Aptekarka rzuciła mu zgorzone spojrzenie.

– Mogłam się domyślić, że to pańska sprawka, jaśnie panie! Co naga-  
dał pan temu biednemu człowiekowi? Że żądam krwawej ofiary za swą  
pomoc? Czy innych bzdur?

– Akurat bzdur nagadał twój ulubiony rządca – odgryzł się Toni, roz-  
glądając się po niewielkim pomieszczeniu, pachnącym sianem. – Powie-  
dział temu biednemu człeczynie, że potrzebujesz dziegciu, Sarnino.  
Ciekawym do czego? Koła w wozie będziesz smarować? A może tobie  
diabelskie rogi się wyżynają i chcesz je dziegciem potraktować, by szyb-  
ciej rosły?

Aptekarka przewróciła oczami. Prosper, który zdążył się już zoriento-  
wać, że klęczy przed niewłaściwą kobietą, podniósł się do pionu.

– Jesteś budnikiem? – spytała Katja, wysuwając się przed Lesię i wlepiając w śmierdziała przejrzyste, pełne nadziei oczy. – I masz dla mnie dziegieć?

– A jakże! – zawołał budnik. – Świeżutki! Pachnący!

I na dowód swoich słów sięgnął do kieszeni, skąd wydobyl cuchnący, skórzany woreczek. Dziewczyna chwyciła go i rozsypała pospiesznie. Wędzony, dymny smród rozszedł się po izbie.

– Wspaniały – orzekła Katja z taką miną, jakby worek wypchany był złotem. – Jestem ci ogromnie wdzięczna, bo ten dziegieć chorych uleczy. A do twego dziecka zajrzę jak najrychlej, tylko zioła muszę dla chorych przygotować. Gdzie mieszkasz, dobry człowieku?

– Na co dzień w Wołkowi, ale teraz z babą i z dzieciakiem przyjechałem do Zawozu, do krewnej. Mieszka nieopodal cerkwi, Bartoszowa jej mówi.

– Panna jest mocno zajęta, nie widzisz, capie? Nie będzie latać do każdego smarkacza i każdej Bartoszonej na zawołanie!

Katja zgromiła Tyszkowskiego wzrokiem, a potem podeszła do Prospera. Szepnęła mu coś na brudne ucho. Ten jęknął w ekstazie i postawił oczy w słup, jakby pobłogosławiła go święta. Toni poczuł zazdrość.

– Dobra, smolarzu, możesz zmykać, audjencja skończona – warknął. – Czaroduchę zmęczyło wdychanie twego smrodu.

– Mniej niż wdychanie zapachu gorzałki – odgryzła się natychmiast Katja.

Chciał ją spiorunować spojrzeniem, jednak ilość wypitego węgrzyna skutecznie mu to uniemożliwiła. Rysy twarzy aptekarki rozmywały się w świetlistą aureolę.

Prosper całe szczęście zrozumiał rozkaz z ust jaśnie pana i skłoniwszy się, wyszedł ze składu, obiecując Katji „beczkę najlepszego brzozonego dziegiu”. Na polu walki pozostała tylko posługaczka, ale sądząc z zahukanego wyrazu twarzy, należała do tych dziewczek, które łatwo przestraszyć.

– Ej, ty tam! – Toni pstryknął palcami. – Babka mi dziś rano mówiła, że szuka pielęgniarzki! Pospiesz się, no!

– Tak, jaśnie panie! – Dygnęła i podeszła do drzwi, ale Katja chwyciła ją za rękę.

– Zaczekaj, Lesia! Jesteś mi tutaj potrzebna, trzeba odważyć zioła do słoików. Pani Rozalia zawsze powtarza, że chorzy mają pierwszeństwo przed zdrowymi. Pamiętasz...?

– A ja nie pamiętam, żeby moja własna babka mówiła podobne bzdury! – oświadczył Toni. – Na co czekasz, dziewczko? Chcesz, żeby pani cię zrugowała za opieszałość?

– Zostajesz tutaj! – powtórzyła Katja i dorzuciła przez zaciśnięte zęby: – Wytlumaczę wszystko przed jaśnie panią Rozalią, jeśli zajdzie taka potrzeba. Póki co jesteś niezbędna! Musisz mi pomóc.

– Jak Boga kocham, nie zdzierzę! – nie wytrzymał Toni, a potem zwrócił się do posługaczki: – Zmykaj stąd natychmiast do pani Giebułtowskiej, pókim dobry!

Tego dla biednej Lesi było już za wiele. Wyrwała dłoń z uścisku Katji i w pośpiechu wypadła na korytarz.

Toni odetchnął. Wreszcie miał ją samą, bez świadków, bezbronną i zamkniętą w czterech ścianach. I dyszącą wściekłością.

– Pan to wszystko wymyślił, prawda? Pani Rozalia wcale nie chciała widzieć Lesi!

Wsparł się biodrem o stół, zerkając kątem oka na wściekłą dziewczynę.

– Och, Sarnino! Cóżem ci uczynił, że nigdy mi nie wierzysz...?

Nie odpowiedziała.

– Jaśnie pan jest krętaczem! – pomstowała, zaciskając pięści. – Okłamał mnie pan, a to nie pora na żarty! Chorzy muszą dostać napar! Jeśli nikt mi nie pomoże, sama będę przygotowywać zioła do późnej nocy! W takim razie pójdę po pomoc do pana rządu!

„Co to, to nie” – pomyślał Tyszkowski.

– Po co po rządcę? Ja ci pomogę.

Zdumienie na twarzy Katji wyglądało tak komicznie, że Toni ledwie powstrzymał chichot.

– No co? Ślepy jestem czy inny kaleka? Proch odmierzam, to z twoimi ziołami sobie nie poradzę?

Aptekarka wysunęła buntowniczo podbródek.

– Mieszanie ziół to praca niegodna jaśnie pana. Potrzebna mi Lesia albo Hela, albo kto podrzędniejszy do pomocy.

– Czyli ja, inżynier po wiedeńskiej politechnice nie potrafię odważyć wiązki zielska? He? Nie to co dwie niegramotne dziewczki i jakiś przybłąda, którego moja matka uparła się uczynić rządcą...?

– Niech jaśnie pan nie mówi tak o panu Maksymilianie! To dobry człowiek z wielkim sercem!

– Nie tylko sercem, sądząc z upodobania do niego kobiety w wieku mojej matki... – Obszedł stół i zatrzymał się na wprost aptekarki. – No, już! Pokazuj, co jest do roboty, szkoda czasu na gadanie.

Odwróciła się do kupki złożonej z liści, kory i innego śmiecia, przy okazji zamiatając blat stołu końcem warkocza. Naszła go nagła chętka rozpleść ten warkocz.

– Proszę umyć ręce.

– Co? – Toni popatrzył nieufnie na czarne obwódki wokół paznokci. – Po co? Przecież są czyste. Myślisz, że smarkam w palce?

– Jak to jaśnie pan z upodobaniem powtarza: nieważne, co sługa myśli. Proszę umyć ręce.

– No dobrze, przyznam się: smarkam, ale tylko w lewą rękę. Prawą mam suchą, na wypadek, gdybym musiał się z kimś witać.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na błyskotliwy wywód, wzięła z półki fiołkę z zielonego szkła i odkorkowała ją.

– Proszę umyć ręce, a następnie posmarować tym. – Wręczyła mu fiołkę i zajęła się grzebaniem w śmieciach, które uparcie nazywała ziołami. – W kącie jest wiadro z czystą wodą.

Toni – upokorzony, ale potulny – włożył swe szlacheckie dłonie do wiadra, jak ostatni parobek, osuszył, a potem wtarł w nie piekącą maź. Katja tymczasem zabrała się do siekania na kawałki drobnych, kolczastych gałązek.

– Cóż to jest? Jeżyna? – Toni udał zainteresowanie.

Trafił, bo uniosła głowę. Jak to mawiali starzy Sarmaci, „najwyższą formą pochlebstwa wobec niewiasty jest okazanie uwagi jej płochym zajęciom”.

– Tak, jasnie panie. Jeżyna wstrzymuje biegunkę i silne mdłości, a w połączeniu z... z... – Wyciągnęła z fartucha zapisaną maczkiem kartkę. – ...magnolią i owocami katalpy zadziała jeszcze skuteczniej. Potrzeba tylko wymieszać składniki i zalać winem.

– Winem? – zaniepokoił się. – A wrzątkiem się nie da?

Myśl, że Katja mogłaby opróżnić piwniczkę babki z tych cudownie słodkich węgrzynów w omszałych butelkach, wywołała w Tonim trudny do opanowania niepokój.

– Da – burknęła.

– No widzisz, Sarnino. I od razu taniej.

Spojrzała nieprzychylnie i podsunęła w jego stronę długie, brązowe strączki katalpy. Toni wyluskiwał z nich owoce – delikatne, kruche blaszki, zakończone włochatymi pędzelkami, niczym uszy rysia. Co chwila zerkał na Katję, na jej miękkie, pełne czułości ruchy, gdy uważnie oglądała pojedyncze kawałki kory, unosząc je do oczu. Wyobraził sobie wąskie, białe nadgarstki w uścisku swej dłoni, przygniecione do ściany. Albo do podłogi... Albo do prześcieradła...

– Teraz niech pan pokroi jeżynę.

Toni rzucił się z nożem na podsuniętą mu gałązkę, dokładnie posiekał i wymieszał w słoju wraz z magnolią i owocami katalpy. Oskrobał z sadzy wystygły, nadpalony pniak z kominka, przygotowując dla chorych coś, co dziewczyna ochrzciła „leczniczym karbonem”. Czy węglowy proszek leczył w istocie, niewiele jasnie pana obchodziło. Nie chciał, by



Katja wzięła go za wymuskanego paniczka, takiego, co to mają dwie lewe ręce do roboty. Ciął, drapał i miażdżył wszystko szybko i skutecznie, głównie za sprawą myśliwskiego noża – tego samego, którym w chacie kowala „obierał” Katję z resztek sukni.

Zanim wyobraźnia zdążyła mu wyświetlić szczegóły pięknego wspomnienia (a było to najromantyczniejsze wspomnienie jaśnie pana, nie licząc utraty cnoty w wiedeńskim burdelu z kilkoma naraz doświadczonymi damami), przed nosem zamajaczył mu chrzan. Toni nie znosił chrzanu, a sam jego widok i zapach powodował obfite łzawienie.

– Niech jaśnie pan potnie. Potrzeba zrobić z tego sok.

Zasalutował nożem i posłusznie zabrał się do dzieła. Wciąż miał nadzieję, że za kwadrans, najdalej pół godziny, aptekarce skończą się pomysły, jak wypełnić czas swemu pomocnikowi. Byli w końcu sam na sam, tyle że Katja zdawała się na ten fakt kompletnie nieczuła. Postanowił zagadać.

– A ty co tam mieszasz? – zapytał swobodnym tonem. – Wygląda jak pasza dla świń.

– Dla ludzi – odparła chłodno. – Choć dla jaśnie pana pewnie nie ma wielkiej różnicy.

Popatrzył na nią spod nawisłych brwi. Postanowił odpłacić pięknym za nadobne.

– Mylisz się, Sarnino, i to bardzo. Twe przybrane córki na przykład...

Ręka Katji, która ucierała w moździerz jakiegoś świństwo, nagle znie ruchomiła.

– Co jaśnie pan wie o moich córkach?! Czy z nimi wszystko w porządku?

Nie mógł oprzeć się pokusie, by choć trochę się nie poznać.

– Przypuszczam, że zdrowe i bezpieczne. Choć wcale nie musiało tak być... – Uśmiechnął się z fałszywym smutkiem. – Wiesz przecież o powodzi, która całą Trójcę zalała aż po dachy chałup...?

Nie wiedziała. Zbladła, jakby ją kto ochlapał wapnem.

– Trójkę zalała woda?! A leśniczówkę?

– Leśniczówkę pierwszą.

Bardzo ostrożnie odłożyła moździerz i oparła się oburącz o stół. Jej pierś (a raczej coś płaskiego, co miała w tym miejscu) uniosła się od gwałtownego wdechu.

– Co jaśnie pan wie o moich córkach?

Toni powoli i starannie pokroił chrzan w kostkę.

– Wiesz co, Sarnino? Chcesz z tego zrobić sok, to przydałoby się płótno do wyciskania i jakiś garnek, nieprawdaż?

Aptekarka, niczym nakręcana zabawka, wysunęła szufladę i wyjęła z niej okrągłe sito.

– Jaśnie panie – przemówiła z naciskiem – czy moje córki są bezpieczne?

– Koledzy z wojska tak mnie uczyli wyciskać wino z wytłoczyn... No, a gdzie garnek? Sam mam przynieść?

Rzuciła się do szafek. Strąciła trzy garnki na podłogę, zanim zdołała podać Tyszkowskiemu właściwy.

– Jaśnie panie! Proszę!

– Dziękuję. Ładny garnek.

Nie musiał nawet unosić wzroku, bo wiedzieć, że zaraz nastąpi klasyczny atak niewieściej hysterii.

– Proszę! Zaklinam pana! Niechże mi pan powie, co z moimi dziećmi!

Nałożył do szmatki porcję pokrojonego chrzanu, zamknął w garści i ścisnął. Piekący, wiercący w nosie sok ciurkał powoli do garnka.

– Teraz to „zaklinam”, tak? A jak chciałem powiedzieć ci o dzieciach, to co...? Miałaś być o dziesiątej! Ale ty jak to ty! Zlekceważyłaś mnie i nie przyszłaś, tak ci na dzieciach zależy!

Milczała. Wpatrywała się weń tak, jak zawsze marzył, czyli jak w święty obraz. Wrzucił wytłoczyny do wiadra na odpadki, napełnił płótno kolejną porcją chrzanu i ścisnął w pięści.

– Daj no lepiej tarkę. Lepiej ucierać, niż kroić.

Tym razem nie dała rady ukryć łez. Nie wiedział tylko, czy od chrzanu, czy od wzruszenia. Tarki nie podała, bo wsparta ramionami o stół nachyliła się do Tyszkowskiego, tak że prawie dotknęła czołem jego podbródka.

– Błagam, jaśnie panie!... Niechże pan tylko powie, czy żyją! Nie wiedziałam ich od ponad miesiąca!

Toni uniósł garnek i przyjrzał się pod światło zawartości.

– No, żyją, żyją... – burknął. – Chcesz wiedzieć coś więcej, to przyjdź do mnie. Powiedzmy jutro, o dziesiątej. Opowiem ci o dzieciach.

Odstawił garnek i rozejrzał się po składziku z udawaną niechęcią.

– Do diabła, dziewczyno, oprzytomniej wreszcie! Piąty raz proszę o tarkę! Wcale się nie dziwię, że ci nieszczęśnicy nie mogą wyzdrowieć pod taką opieką!



**S**kaleczyła się o tarkę i teraz dwa ostre, czerwone nacięcia na grzbiecie dłoni przypominały jej niedawną rozmowę. Boże Myłój, dlaczego ten człowiek jest tak okrutny?! Jak można odmówić matce – nawet przybranej – wiadomości o dzieciach? O dwóch małych dziewczynkach, skazanych na samotność w zalanej leśniczówce!

Antoni całe szczęście już poszedł. Akurat, gdy skończył wyciskać chrzan, do składziku zajrzał Józef i poprosił go o rozmowę. Katię przeraził wygląd dziedzica: młodszy Tyszkowski był blady jak ściana, ledwie trzymał się na nogach. Podbiegła do niego, oferując pomoc, ale spojrzał na nią niewidzącymi oczyma i przywołał brata. Obydwaj wyszli, a w Kati pozostało przeczucie narastającego niepokoju. Czyżby chodziło o tę nieszczęsną chustę? Boże Myłój, dlaczego wciąż to okrycie wydaje jej się znajome?!

Przez rozchylone kotary do wnętrza składziku sączyły się ostatnie promienie słońca.

Była zmęczona. Tak strasznie zmęczona, jak człowiek pozostawiony sam sobie, na żer własnym lękom. Aptekarka oparła czoło na skaleczonej dłoni i zapłakała. Rozpacz wylewała się jak z przepelnionej, choletrycznej studni... Pociągnęła nosem.

– Ratusj, Batko... – wyszeptowała. – Nie zniosę tego dłużej... zabierz ode mnie to brzemie! Dziewczynki! I ci wszyscy ludzie powierzeni mej opiece! Ufają mi, wierzą, a ja jestem bezradna i błędzę jak dziecko we mgle! Do niczego się nie nadaję. Kazałeś mi pilnować receptariusza jak oka w głowie, a ja pozwoliłam wydrzeć kartkę Roztworowskiemu! I dlaczego wciąż dajesz mi zagadki?! Żeby to *nahłyj* szlag trafił, co znaczy Żywa Łza?! Coś ty tam napisał Batko?!

Otarła policzki.

– Znam się tylko na prawdziwych łzach! – wybuczała. – Nie potrafię odgadnąć twego przepisu! Po co mnie sposobiłeś do tej pracy? Po co?! Trzeba było znaleźć godniejszą!...

Niestety, ojciec się nie odezwał, więc – jak to miała w zwyczaju w takich chwilach – wysiąkała nos i zabrała się do pracy.

Uporządkowała składniki. Tak jak ją uczył Batko: trzy zioła na dolegliwość, trzy zioła, które wzmacniają trzy pierwsze oraz trzy zioła dodatkowe, które sprawiają, że całość nada się do spożycia. „Pamiętaj, córuchno, że te trzy ostatnie są najważniejsze” – mawiał ojciec, skryty za swym kpiącym uśmiechem. „Cóż bowiem zielarzowi ze skutecznej mieszanki, której nie wypije żaden chory...?”

Katja otworzyła czystą stronę w receptariuszu i pośliniła czubek ołówka. Naszła ją refleksja, że oto pierwszy raz nie jest tylko wierną wykonawczynią receptur, ale zapisze coś od siebie. „Moja formuła” – pomyślała i poczuła wstyd, że śmie coś dodawać do pozostawionych przez ojca treści.

Walcząc z poczuciem, że oto kala świętość receptariusza, naskrobała wielkimi literami: „*Formuła na cholereę z kory drzew zamorskich, opisana na*

okoliczność wczesnej wiosny, gdy dostęp do skuteczniejszych ziół bywa ograniczony”.

Westchnęła jak kowalski miech i przytknęła ołówek do papieru.

„Odmierzyć w równych częściach:

*Z drzewa zwanego perukowcem młode gałązki zerwać i pokroić, albowiem leczą one silną biegunkę i ściągają śluzę z ciała.*

*Korę z wierzyby zdrapaną zmielić na proszek, bo niezwykle cenna przy zimnicy i katarach żołądka.*

*Liście czosnku zwanego niedźwiedzim – a to dlatego, że niedźwiedzie przebudziwszy się z zimowego snu, owym czosnkiem się pożywiają – zerwać i drobno pociąć dla jego oczyszczających krew właściwości.*

*Pączki topoli, gdy tylko pojawią się na przednówku i upajający zapach puszcza – pociąć albo zmiażdżyć dla ich leczących febrę właściwości.*

*Korę brzozy, co trzewia purguje, krew czyści i drżenie w członkach oddala, pociąć na drobne cząstki.*

*Miodunkę, która nie tylko płuca, ale i trzewia leczy, a wczesną wiosną kwitnie już w lasach, rozdrobnić i używać dla pobudzenia pracy żołądka.*

*Podbiał, kwitnący na przednówku, pociąć ostrym nożem, a następnie dodać do pozostałych ziół dla jego skuteczności przeciw wszelkim katarom kiszek.*

*Fiołki z kwiatem i zieleń zerwać i posiekać nie tyle dla aromatu, ile dla ich leczniczej mocy, która gorączkę odejmuje, krew czyści, bóleczki wewnętrzne rozbija i serce rozwesela.*

*Stokrotki, które odbierają nadmiar żółci i katar kiszek leczą, rozdrobnić wraz z zieleń i kwiatem.*

*Wszystkie drobno pokrojone składniki zmieszać jak najdokładniej...”*

Tu Batko zazwyczaj opisywał dawki i sposób przyrządzenia ziół, jednak Katja mogła tylko zgadywać, jaka metoda będzie najskuteczniejsza dla jej chorych. Kto wie, czy za kilka dni kartka nie zostanie ciśnięta do kominka, a sama zielarka wraz ze swoimi głupimi pomysłami nie wyląduje z żebraczą torbą na gościńcu?

Potrząsnęła słojem. Gdybyż mogła odgadnąć, ile leczniczej mocy kryje się w kilku bladych, wiosennych kwiatkach i kawałkach kory!

Potarła piekące ze znużenia oczy i jeszcze raz przyjrzała się swoim żalonym lekom.

No dobrze, założmy optymistycznie, że kuracja jest skuteczna. Od czego zacząć...?

Ogarnęła wzrokiem wypełniony ziołami słoje, woreczek z dziegciem, zmielony na proch lipowy węgiel, sok z chrzanu (dotknęła suchych wiórów i chcąc nie chcąc, musiała oddać honor Antoniemu, że wycisnął chrzan lepiej niż imadło), gdy nagle jej wzrok padł na strzęp wyrwanej kartki z receptariusza. Tuż obok dawniejszego przepisu na cholere, który przywłaszczył sobie doktor, uchodząc z dworu, widniał wymięty, doszyty nitką karteluszek. Na takich karteluszkach Batko często spisywał ciekawostki wyczytane w kalendarzach i encyklopediach.

*„Wycieńczonym cholera pomaga Żywa Łza, ona bowiem przywraca ciału utraconą wodę, czego dowiódł genialny angielski lekarz nazwiskiem Latta, który podawał ją chorym wprost do żył<sup>[24]</sup>. Nie ośmieliłbym się uczynić podobnie bez odpowiednich narzędzi, ośmielam się natomiast poić mych pacjentów cieczą o podobnym składzie. Sposób jej przygotowania jest prosty, potrzeba trzech składników: wody, miodu i...”* – I tu przepis się urywał, rozdarty w połowie grubą łapą Roztworowskiego.

Katja zakłęła pod nosem. Jeszcze chwila, a ten fragment zacznie ją nawiedzać w sennych koszmarach. Boże Myłtyj, Batko, ulituj się! Jak Żywa Łza może być czymś prostym, skoro zabrakło raptem jednego wyrazu, a ona, zielarka i uczennica autora tych słów, nie ma pojęcia, jak można je uzupełnić!

– Żywa Łza, Żywa Łza... – mamrotała, chodząc w kółko po składzie i szarpiąc w zapamiętaniu warkocz. – Skoro łza, to skąd ten miód?! Jeśli łza, to powinna być słona, nie słodka! Czyżby sól była trzecim składnikiem...? Więc co tu robi miód? Chyba że miodu jest odrobina, a spora ilość soli sprawia, że płyn jest słony...

Krążąc tak bez opamiętania po składziku, potknęła się o stołek. Usiadła. Sięgnęła po raeceptariusz i po raz chyba setny zaczęła przerzucać na chybił trafił stronice w poszukiwaniu wskazówki, jakiejś wzmianki o „Żywej Łzie”. Kuracja na robaki, kuracja na żolzy, kuracja na kurzajki i na wrzody na języku... Zbitki wyrazów fruwały jej przed oczami: „parchy wszelkie suszy i smrody wygania...” „pimpinellę dawać karmiącym”, „...smak łzy...”, „kozieradka pachnie kozą, choć po mojemu, bardziej starym capem...”.

Smak łzy?!!

Zakłęła, tym razem głośniej, i po chwili odnalazła interesujący fragment.

*„Kurowałem niedawno diaka z Krzywczy” – pisał Batko. „Ów wyznał mi, że dostał kamieni w nerkach po tym, jak uleczyłem go z cholery! Jak to, pytam, a on na to, że m kazał mu pić wodę o smaku łzy, a więc od nadmiaru owej soli cierpi teraz na kamienie! Miałem mu powiedzieć, że gdybyśmy mieszkali nad Bałtykiem, kazałbym mu wdychać morską bryzę o poranku, więc teraz pewnikiem puszczałby słone wiatry...”*

Katja zagapiła się na ów opis ludzkiej niewdzięczności. Żywa Łza musiała być tym specyfikiem, któremu Batko przypisywał najwięcej wyleczeń z cholery.

– Smak łzy – powiedziała do siebie. – Jak zrobić smak łzy? – Naraz rozpromieniła się. – Boże Myłj, przecież to proste: muszę się znowu rozpłakać!



O piątej rano Wiktoria otworzyła dziennik.

Dawno temu obiecała sobie, że będzie pisać wszystko, nie zabraniając sobie żadnych uczuć, które tłumione, rozsadzają potem czaszkę.

Pisała za każdym razem, gdy czuła pokusę, by oszaleć. Coraz mniejszą, bo z wiekiem szaleństwa rzadko przychodzą do głowy.

Wczoraj była świadkiem samobójstwa. No dobrze, ale co z tego? Czy wepchnęła ofiarę do stawu, nakładła kamieni w kieszeń? Nie! Więc dlaczego czuje się winna...?

Chłopka targnęła się na własne życie. Chłopka ladacznica, prowadząca się niemoralnie, bezwstydnie, którą chyba sam Bóg musiał pokarać hańbiącą śmiercią!... Spójrz prawdzie w oczy, Wiktorio, i nie sil się na fałszywe współczucie: dobrze, że umarła! Powiedz to głośno, napisz, nie wstrzymuj żadnych emocji, tak jak ustaliłaś to ze sobą lata temu!

Tyszkowska zgodnie z wewnętrznym nakazem ujęła pióro i zanurzyła stalówkę w kałamarzu.

Czarny, lśniący atrament skreślił pięknie wykaligrafowane słowa:

*„Dobrze, że umarła. Jej śmierć jest błogosławieństwem dla mnie, dla całej rodziny Tyszkowskich, Giebułtowskich, dla sąsiadów i całej szlachty, a nade wszystko dla mego kochanego Józefa. Czyż nie o to się modliłam w tej ubożuchnej cerkwi...?”*

Przeczytała to zdanie jeszcze raz i jeszcze, czując, jak w jej sercu rośnie ciepłe zaufanie do boskiej opieki. Nawet w rusińskich kościołach Bóg wysłuchuje modlitw, pod warunkiem że płyną ze szczerzej, matczynej duszy! Dotknęła miejsca na piersi, do której ćwierć wieku temu tuliła główkę małego Sepka i palce jej natrafiły na nieprzyjemną pustkę. Wisior. Gdzie się podział, u diabła?!

Niczym nawiedzone medium napisała pospiesznie:

*Ona go ma. Ściska mój naszyjnik w sienie, owiniętej wodorostami pięści; paski obgryzionej przez ryby skóry falują w mętnej wodzie... Obok, na dnie, leży dziecko. Główka przekręcona w lewo, jedno oczko otwarte, drugie wypłukane, zielonkawe, podskakuje na piasku w rytm podwodnych prądów, niczym ziarnko groszku*

Spojrzała na skreślone przed chwilą zdania. Przeraziła się. Hałaśliwie wydarła kartkę, zmięła ją i rzuciła za plecy.



„Precz!” – pomyślała. „Precz z mojej pamięci, dziwko!”.

Trzeba dać hojny datek na tę cerkiew. Na marginesie sąsiedniej strony zapisała maczkiem: „*Sprawdzić, czy nie potrzebują na remont dachu. Ufundować dzwon?*”.

Poczuła duszność i poluzowała kołnierz przy sukni. Będzie widać zmarszczki na szyi – przypomniała sobie. Zapięła na powrót kołnierzyk, postukała końcówką pióra o dolne zęby i zastanowiła się, co skuteczniej przekona Boga do pomocy. Dach? Dzwon? Nowe ławki? Trzeba zapytać Podlaszeckiego. Kiedy wróci do Jamnej, będzie się tam długo modlić.

W końcu została jeszcze jedna ladacznicą.



**W**ystarczyło pomyśleć o dziewczynkach. Otarła łzę opuszką palca i dotknęła językiem.

Porównała smak ze smakiem cieczy w miednicy. Niby to samo, a jednak nie! Za mało słone? A może za bardzo? Skosztowała kolejną łzę i wy czuła w niej dziwną, słodkawą nutę.

Zza ściany rozległ się jęk Macieja i uspokajający głos rządcy. Przywoływał Helę do pomocy, a dziewczyna dzięki Bogu (a raczej dzięki Maksymilianowi) wreszcie zachowywała się jak pielęgniarzka, a nie jak udzielna księżna z muchami w nosie.

Katja odetchnęła. Całą noc nie zmrużyła oka. Była wciąż nieludzko zmęczona, ale teraz przynajmniej z pomocą Maksa i pielęgniarek mogła się skupić na tym, co najważniejsze. Sięgnęła po beczułkę miodu, nałożyła odrobinę słodyczy na czubek łyżki i rozmieszała w miednicy. Dodała szczyptę soli z solniczki. Woda przybrała łagodniejszy smak.

– Żywa Łza? – szepnęła w przestrzeń i spróbowała jeszcze raz. Teraz proporcje wody, miodu i soli wydały jej się odpowiedniejsze.

Zadowolona otworzyła receptariusz na pustej stronie, tuż obok świeżo zapisanej kartki z formułą na cholere z zamorskich drzew i dużymi literami wykaliografowała: „*Porządek leczenia*”.

- 1. Przed śniadaniem 1 łyżka zmielonego węgla dla chorych z mocną biegunką, dla słabiej chorych wystarczy 1 łyżeczka. Powtórzyć po kolacji.*
- 2. Po śniadaniu 1 łyżka chrzanowego soku oraz filiżanka ziołowego naparu. Powtórzyć po obiedzie i kolacji.*
- 3. Jeżeli po śniadaniu pojawi się biegunka, podać łyżeczkę rozpuszczonego w wodzie dziegciu.*
- 4. Dla wszystkich – lżej i ciężiej chorych – Żywa Łza podawana w jak największej ilości, aby uzupełnić płyny w osłabionym ciele.*
- 5. Przy silnych mdłościach, kolkach, wzdęciach i bieguncie mieszać korę magnolii, pocięte gałązki jeżyn wraz z pąkami oraz utarte owoce katalpy. Jedną łyżkę mieszanki zalać wrzątkiem, zaparzać do pół godziny, pić rano i wieczorem. Inne środki zaradcze: – olejek do przemywania powierzchni w szpitalnej sali: kajeput, anyż, goździk, mięta wymieszane z gorzałką, – pościel i odzież chorych prać we wrzątku, – woda do picia tylko po przegotowaniu, – opiekujący się chorymi muszą brać częste kąpiele w wodzie z jałowcem, a odzież po kontakcie z chorymi wygotować.*

Odłożyła ołówek. Litery skakały jej przed oczami. Uświadomiła sobie, że jeśli teraz nie pokona niemocy, zaśnie tutaj, bez kąpieli w jałowcu, ignorując własne zalecenia.

Ale przecież na pomoc czekało dziecko dziegciarza! Katja wsparła się oburącz o blat i wyprostowała z cichym stęknieniem. Kręciło jej się w głowie, bulgotało w żołądku. Przegoniła myśl, że to może być cholera... Chociaż...?

Przybliżyła twarz do okiennej szyby i przejrzała się w niej. Była blada. Tylko tyle i aż tyle – mógł być to efekt zmęczenia, choć nie musiał. Wypoczynek zmasałby cień z jej twarzy, wyostrzyłby spojrzenie, ale za-

brałby dodatkowe godziny, które mogły zaważyć na życiu dziecka. Prosty rachunek.

Katja nasypała ziół do szmacianego węzełka i zamknęła za sobą składowik. Upewniwszy się, że wszyscy chorzy śpią snem sprawiedliwego, wymknęła się z dworu, wprost w zimną czeluść wczesnego świtu.



**W**brew pozorom mózg Toniego – mniej lub bardziej pijany od kilku co najmniej miesięcy – świetnie zapamiętał słowa Amelii. Taka nienawiść do siebie i świata nie bierze się, ot tak, z niczego, ale z uczucia, które załęgło się w sercu jaśnie pana jak robak w dębowej desce. Dotychczas Tyszkowski był jak dąb: twardy, zahartowany, wyniosły i patrzący z góry na pospolitych ludzi i ich żalosne miłości. Jako wykształcony inżynier myślał logicznie i tak też traktował kobiety – nie jako równe mężczyznom istoty, ale jako narzędzie do zaspokajania konkretnych, fizjologicznych potrzeb, równie ważnych jak sen czy jedzenie. Jakiegokolwiek delikatniejsze uczucie mordował w zarodku, biorąc je za objaw zniewieścienia i niegodnej rozumnego człeka słabości. Wiadomo, że czasem zdarzała się jakaś oziębła białogłowa, która namieszała mu we łbie bardziej, niż zamierzył, ale i na to miał sposób: należało odkazić zranione serce gorzalką. Dzień, dwa, no, góra kilka dni kuracji, w zależności od rozmiaru zniszczeń, i wszystko wracało do normy.

Ale teraz zdarzyło się Tyszkowskiemu coś, czego nie doświadczył nigdy wcześniej i co wywróciło jego świat do góry nogami. Twarde, dębowe serce jaśnie pana nadgryzł robak, mieląc na proch wszystko, w co wierzyło, i co najgorsze – nie dawał się zalać gorzalką, choć Antoni bohatercko zwiększał dawki, nie zważając na poświęcenie.

Od czasu opuszczenia Jamnej Tyszkowski imał się różnych środków, by obrzydzić sobie wspomnienie aptekarki: punktował w notesie man-

kamenty jej urody, rysował odcięte ucho, mikroskopijne cycki i kościste żebra najohydniej, jak potrafił. Pisał „Głupia Sarnina” po wielokroć różnymi charakterami pisma, wyobrażał sobie Katję pryszczatą, bezzębną, cuchnącą, zawszoną, z połamanymi, zielonymi od dekoktów paznokciami i w dziurawych trzewikach. Obojętność i obrzydzenie, które owe zabiegi miały wzbudzać, nie nadchodziły. Nic nie działało. Przeciwnie – im gorzej myślał o Katji, tym lubieżniejsze nawiedzały go wizje, a już absolutną torturę stanowiły sny, w których wił się, krzyczał, a potem budził się z jękiem na kompromitująco mokrym prześcieradle.

Czy można to było wytłumaczyć inaczej niż klątwą...?

„Tak jak szklana kula czyni wróżkę, tak receptariusz czyni bisurkanię” – dudniły mu w uszach słowa Amelii. I zaraz potem słyszał radę parocha, powtórzoną przez Aleksego: „Jak wiedźma czyjaś duszę osiądzie, trzeba osiąść wiedźmę razem z tą skradzioną duszą. Wtedy dusza wróci z powrotem do ciała, zamiast tułać się po piekle”.

Długie, długie godziny spędził jaśnie pan, przemyśliwując nad sposobem zniweczenia klątwy, jednak wciąż powstrzymywało go coś, co zwał zdrowym rozsądkiem. Ale teraz, w Zawozie, gdy usłyszał, jak podła czarownica uwodzi rządcę, podjął ostateczną decyzję. Wiedział już, że zielen, któremu Katja złożyła krwawą ofiarę ze swego ciała, była jemiola – wszak specjalnie po to odcięła sobie ucho! Jakież tupet i skłonność do łgarstwa musi mieć ta opętana dziewczka, by potem opowiadać bajeczki, że niechcący okaleczyła się sierpem! Uuuu... obłudnica!

Na temat samej jemioly Tyszkowski nie miał bladego pojęcia, poza tym, że kiedy kilka lat temu kazał wyciąć kawałek starego lasu w Rybotyczach, żaden włościanin nie chciał się podjąć wyrębu przez wzgląd na zarośnięte nią drzewa. Toni prosił, groził, kusił pieniędzmi, a i tak skończyło się tym, że musiał Żydów nająć i słono im zapłacić. A po wszystkim, gdy wieść się rozniosła po wsi, że stary las wycięto, Tyszkowskiego odwiedził wójt z gromady i powiedział, że świętego gaju ręką ludzką tykać nie wolno i gdyby jaśnie panu przyszła kiedy ochota jaki las z jemiolą karczować, to niechaj od razu do Żydów idzie, bo jak raz bartnik

Markian zamachnął się siekierą na jemiolowy dąb, to mu ręka uschła i od tej pory z uschniętą chodzi. „A co by było, gdyby ów Markian wysiakał się pod tym dębem?” – spytał Toni, na co wójt splunął i odrzekł bez krzty uśmiechu, że z jemiolą żartów nie ma, więc niechaj jaśnie pan pilnuje, by kto z gromady na niego przekleństwa nie rzucił. I żeby jaśnie pan, co ma głowę gorącą, pamiętał, że wiek mu tę głowę ochłodzi, a do tego czasu niechaj świętych gajów nie karczuje i z mądrości tutejszego ludu nie kpi. Toni oczywiście wykpił wójta najlepiej jak potrafił, po czym posłał go kopniakiem za drzwi.

Teraz był starszy o jakieś dziesięć lat i zupełnie inne myśli przelatywały mu przez przedwcześnie posiwiałą głowę, gdy tak stał przed oknem wpatrzony w poskręcana wstęgę dworskiej drogi, oświetlonej blaskiem szarego świtu. Czuł się chory. Bolały go kości, cierpiał na bezustanne rozdrażnienie, stracił apetyt. Nie spał. Poprzedniego wieczoru szybko uciął rozmowę z Sepkiem, który wyraźnie przygnębiony próbował mu coś powiedzieć. Kiedy indziej pogadałby szczerze z bratem, ale teraz nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że on, dumny Antoni Tyszkowski, padł ofiarą uroku zwykłej chamki.

Potał gorące czoło. Pozwolił się zahipnotyzować padającemu bez ustanku deszczowi. Kap, kap, kap, krople ściekały po szybie i wsiąkały w drogę, czyniąc błoto jeszcze bardziej napuchniętym. Jakaś chłopka spokojnie dreptała gościńcem, jakby szła do kościoła w słoneczną pogodę. Toni już dawno spostrzegł, że przemieszczanie się po błocie stanowi wrodzoną umiejętność wieśniaków, albowiem każdy z nich szybciej poruszał się po bagnie na bosaka niż jadący konno szlachcic.

Okutana chustą drobna włościanka zwolniła kroku, a potem rozejrzała się bezradnie, jakby poszukując najlepszego oparcia dla stóp.

Toni drgnął.

Katja?!

Niemożliwe! Przecież zarzekała się, że nie może zostawić chorych ani na chwilę!

Aptekarka uporczywie brnęła przed siebie. Podnosiła wysoko nogi, raz robiła małe kroczki, a raz wielkie susy i przeskakiwała z większej kałuży w mniejszą albo odwrotnie. Suknię ubłocila już całkowicie, chustę do połowy, a najbardziej komicznie wyglądał koniec jej popielatego warkocza, co chwila wpadający do błota jak włosie malarskiego pędzla do farby. Tyszkowski przycisnął nos do szyby, żeby nie stracić nic z tego widoku. Dziewczyna przypominała brodzącą przy brzegu czaplę. Roześmiał się w głos na to skojarzenie, a serce zalała mu fala ciepłego rozczulenia.

Potem ochłódł, spoważniał. Gdzie się wybierała o tej porze? Co aż tak ważnego mogło się wydarzyć, że zostawiła chorych i poszła do wsi, ryzykując błotną kąpiel?

Oderwał się od okna i nerwowym krokiem przespacerował się po sypialni. Pomyślał o rządcy. Potem (wybacz mi, Sepku!) o własnym bracie. Gdzie mogli się spotkać? Schadzka w parku z rządcą, a we wsi z dzieżciem...? A może jeszcze z kimś innym?

Chyba wariował...



**K**atja utyłana po pachy dotarła do chyży Bartoszowej.

Ponura to była wizyta. Nie chodziło bynajmniej o błoto na gościńcu, a o dziwne zachowanie mieszkańców, gdy aptekarka pojawiła się we wsi. W kontaktach z ludem przyzwyczaiła się jeśli nie do wdzięczności, to przynajmniej do szacunku. Teraz jednak – chyba po raz pierwszy w życiu – zetknęła się z autentyczną, nieudawaną trwogą. Zawóz powitał ją klątwami, dźwiękiem zatraskiwanych okiennic, spluwaniem przez ramię, a jedna z kobiet na jej widok – co szczególnie zabolalo Katję – porwała siedzące na przyzbie dziecko i z krzykiem umknęła do wnętrza chaty. Czy winny był paroch, czy doktor, Katja nie

zamierzała zgadywać, niemniej jednak całym swoim jestestwem poczuła otaczającą ją zabobonną wrogość.

Nawet dziegciarz, gnący się od progu w ukłonach, gdy tylko wpuścił gościa do środka, rozejrzał się czujnie i zamknął drzwi na zasuwę. Katję powitano serdecznie, ale jeszcze serdeczniej pożegnano trzy kwadransy później, gdy okazało się, że mały Borysek nie złapał zarazy, a jedynie przeziębienie. Aptekarka zaparzyła wierzbową korę, ostudzoną osłodziła miodem i za pomocą namoczonej w dekokcie szmatki napoiła dziecko. Na odchodnym poradziła Prosperowi uciąć kilka malinowych badyli, wierzbowych bazi i sosnowych pączków, wszystko razem wymieszać, zaparzyć, osłodzić i podawać synkowi kilka razy na dzień. Prosper i jego żona chcieli koniecznie płacić, jednak Katja zadowolili się niewielką beczką dziegciu i owinawszy chustą ów bezcenny dar, ruszyła w drogę do dworu.

Zgarbiona od ciężaru, ale szczęśliwa, że udało jej się zdobyć lekarstwo dla chorych, ledwie spostrzegła powykładane na progach domostw brony, grabie i widły – wszystkie ostrzami do góry, niczym warczące psy, broniące wstępu do ludzkich siedzib.

Toni był z siebie dumny. Ustrzelił ponad tuzin pięknych okazów, które teraz, przy akompaniamencie słodkiego węgrzyna pociąganego z omszałej butli, wieszał na suficie swej sypialni.

Zaczął od sieni. Pierwsze trofeum nad progiem, aby powitać gościa. Potem następne – oddalone od progu o długość kroku. Kroki można stawiać tylko po ścieżce, wytyczonej przez dwie ciężkie skrzynie po bokach... Po skrzyniach, dwie szafy, które Toni specjalnie odsunął od ścian. Nie ma ucieczki, można iść tylko przed siebie. Kolejny krok i znowu niespodzianka nad głową. Ścieżka szerokości najwyżej metra, prowadząca na niedźwiedzią skórę i dalej, do łóżka albo przed kominek, skąd będzie się sączył czerwony blask ognia. Nastrój, nastrój i jeszcze raz sprzyjająca bliskości temperatura. Pamiętasz, jak ciepło było w chacie kowala...? Z tym, że teraz dziewczka jest przytomna i nie zezwoli na poufałości. Musisz wciągnąć ją w rozmowę, najlepiej o ziołach albo o książkach, udawać zainteresowanie i zachwycać się wszystkim, co powie. A najlepiej jeśli będziesz przytakiwał kojącym głosem, to zawsze działa na kobiety, zwłaszcza na takie jak ona, co to lubią mieć rację.



Katja po powrocie od budnika zajrzała do sali chorych, a po wydaniu dyspozycji Lesi (Hela z Maksem parzyli zioła w składziku), postanowiła zmyć z siebie podróżne błoto.

Na początku, gdy przybyła do Zawozu, ablucje w przegotowanej wodzie uznano za fanaberię („Dobrze, że nie w kozim mleku” – usłyszała raz czy dwa Katja z ust służących), ale po interwencji pani Rozalii złościwości ucichły. Giebułtowska tonem nie znoszącym sprzeciwu kazała dostarczyć do pokoju aptekarki sporą, drewnianą balie, a każdego wieczoru – wyłączając te, kiedy Katja czuwała przy chorych – gorącą wodę,



mydło i napar z owoców jałowca. Podobnie zadbano o pielęgniarki i Maksa. Ich ubrania po całym dniu cholerycznej służby oddawano praczkom, które najpierw tłukły je kijankami w rzece, a następnie wrzucały do kotła z wrzątkiem.

Aptekarka, nie chcąc trudzić i tak już zaharowanych ponad siły praczek, przyniosła z kuchni kilka wiader gorącej wody, zsunęła z siebie ubłoconą, skromną suknię z samodziału i wyjęła z szafy jeszcze skromniejszą: czarną, podobną mnisiemu habitowi. Przyłożyła ją do nagiego ciała i zerknęła w naścienne lustro. Idealnie! Przysłowiowa śmierć na chorągwi przy jej, Katji, figurze prezentowałaby się jak modelka Rubensa. W sam raz na wizytę u paskudnego, chutliwego jak satyr szlachcica.

Wlała do balii przygotowany uprzednio jałowcowy napar, nachyliła się nad powierzchnią wody i zaciągnęła żywicznym aromatem. „Śmiertelny owoc” – przyszły jej na myśl słowa Batki. „U nas sadzą sawinę na cmentarzach, a w Egipcie faszerują nią mumie, bo wierzą, że gdy zmarli znajdą się po drugiej stronie, jałowiec przywróci ich do życia. Dlatego kiedy kto umiera ze zmęczenia, niechaj narwie jałowcowych gałązek wraz z owocami, zaparzy je i urządzi sobie kąpiel, a powróci do życia szybciej, niż mu się zdaje”.

Zegar w salonie wydzwonił dziewięcią trzydzieści. Czekala ją przeprawa z Antonim, więc powrót do pełni życiowych sił był nadzwyczaj pożądanym.



Gdy usłyszał jej kroki, zgasił cygaro. Deszcz ustał i nad szczytami gór rozpostarła się tęcza, półkolista niczym sierp do ścinania jemioli. Toni szarpnięciem zasunął kotary, sypialnia pogrążyła się w mroku. Świec jeszcze nie zapalił, więc mógł czekać w ukryciu, łowić uchem szelest zbliżającej się sukni. „Mam cię” – wyszeptał w ciemność, odgarnia-

jąc z oczu kosmyki wilgotnych od deszczu włosów. W żyłach śpiewał mu wiekowy węgryz, ale mimo to jaśnie pan był trzeźwy jak niemowlę. Trzeźwy, skoncentrowany, napięty jak na myśliwskiej ambonie, gdy z lefoszówką gotową do strzału czaił się na upragnionego zwierza.

Zapukała do drzwi. Ciałem jaśnie pana wstrząsnęła błyskawica.

– Wejdz, Sarnino.

Stanął w progu i tak jak się spodziewał, zastygła na widok zalegających ciemności.

– Wejdz, nie obawiaj się. Od rana potwornie boli mnie głowa. Zaraz znajdę świece.

Zrobiła niepewny krok. Przystanąła.

Toni zgodnie z planem zapalił czteroramienny kandelabr, podniósł go i podszedł do zamarłej przy drzwiach postaci. Zamknął otwarte za plecami Katji drzwi. Zakaszał głośno, by zagłuszyć trzask zamykanej zasuwki. Pułapka.

– Jesteś nareszcie, Sarnino – odchrząknął schrypniętym gardłem. – I to punktualnie. Co za nowość!

Zauważył, że drży jej dolna warga.

– Jak tam chorzy? – spytał z udawaną troską. – A jak tam ten brudas, ten Prosper czy jak mu tam, com ci go wczoraj przyprowadził? Dziecko jego jakże się miewa? Będzie żyło?

– Chorzy zdrowieją, dziękuję jaśnie panu. A u budnika byłem dziś z rana. Dziecko nie dostało zarazy, jeno się przeziębilo.

„Pewnie szłaś na schadzkę i przy okazji zajrzałaś do niego” – pomyślał Toni, a głośno powiedział:

– Dziwne to, że do chorego dziecka poszłaś, a nie wzięłaś receptariusza.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Uderzyła go uroda jej twarzy, pogłębiona jeszcze przez cienie pełgających świec. Brzydka, zbyt obszerna suknia odsłaniała kawałek obojczyka. Taką suknię chciało się zerwać jednym szarpnięciem, żeby wyzwolić spod niej to delikatne, kru-

che ciało. Antoni przypomniał sobie noc w chacie kowala i zacisnął palce na kandelabrze, aż zadrżały świece.

– Skąd pan wie? Śledził mnie pan?

Stali na wprost siebie. Tyszkowskiemu tak drżała dłoń, że odstawił kandelabr na skrzynię. Pomarańczowe światło pełgało po popielatym warkoczu. Wydawało się, jakby płonął.

– Rozpuść włosy.

– Cco? – zająknęła się. – Dlaczego...

Przełknął ślinę. Za późno by się wycofać.

– Powiedziałem, byś rozplotła warkocz.

Zrobiła krok do tyłu.

– Dla... dlaczego? Jaśnie panie, przyszłam tu tylko po to, żeby się dowiedzieć o moje cór...

– Ciii... – Położył dłoń na jej ustach, zanim zdążyła krzyknąć. – Spójrz w górę.

Chwyciła za jego dłoń, ale nie zdołała się wyswobodzić. Zadarła głowę. Obserwował, jak jej źrenice rozszerzają się w niemym zdumieniu, wodząc po suficie, a potem przerażone szukają wyjaśnienia w jego oczach. Zabrał rękę. Twarz Katji była blada jak płótno.

– Boże Myłj... – wyjąkała. – Co pan zrobił z jemiołą? Po co?

– Jemioły wedle wierzeń nie wolno dotknąć ręką, więc wziąłem się na sposób i ustrzeliłem ją z lefoszówki.

Cofnęła się i oparła o drzwi. Udał, że nie widzi, jak wsuwa rękę za plecy i szarpie klamkę. Drzwi pozostały zamknięte.

– Nie wyjdiesz stąd, póki mi czegoś nie oddasz.

Z kandelabrem w rękę podszedł do parapetu. Skierował światło świec tak, by zauważyła wyniesiony z aptecznego składziku receptariusz. Usłyszał przerażone westchnienie.

– Pozwolisz, Sarnino, że najpierw poproszę cię, żebyś nie krzyczała ani nie wydawała żadnych dźwięków głośniejszych od szeptu. Zauważy-

łaś wszak płonący kominek...? – Zawiesił głos. – Pamiętasz zapewne, jak pięknie paliła się księga u Kowalskich...?

Przełknęła ślinę.

– A teraz, ponieważ z pewnością nie możesz się doczekać wyjaśnień, po co marnuję twój czas, przeczytam pewien fragment z notatek twego ojca. Posłuchasz?

Milczała.

Toni podszedł do ognia, by lepiej widzieć. Otworzył zeszyt na zaznaczonej stronie.

– „O jemiole, którą lud wielką i słuszną czcią otacza, bo zioło to potężne i wielką moc mające, przytaczam tu opowieść o trzech młodzieńcach zaklętych przez bisurkanię. Młodzieńcy oskarżyli ową kobietę, że im dusze posiadała, przywlekli ją więc pod jemiolę i poczęli pytać, dlaczego wyssała im dusze, bo ani spać, ani jeść, ani pić nie mogą, tylko myślą o niej w dzień i w nocy, i to nieprzystojnie”. – Rzucił Katji znaczące spojrzenie. – „Ona na to, że po co jej dusze trzech durniów, skoro ma własną, mądrzejszą, jednak młodzieńców to nie przekonało. Odparli, że ona przecie duszę swoją diabłu zaprzedała i dlatego musi obce dusze wykradać. Koniec końców, umyślili, że dusze odzyskają i będą je wysysać dziewczce przez usta. Obaczywszy, jak młodzieńcy przystępują do dzieła, przechodzący niedaleko paroch oburzył się na ten widok, jednak gdy usłyszał, że tu nie o żądzę chodzi, a o zbożny cel, dał im rozgrzeszenie. Stąd wzięło się porzekadło: ‘Pod jemiolą to nie grzech, gdy całuje nawet trzech’”.

Katja milczała. Albo mu się zdawało, albo manipulowała przy zasuwie, bezskutecznie ją szarpiąc.

Zatrzasnął zeszyt. Katja podskoczyła.

– Domyślasz się zapewne, po co ci to przeczytałem?

Podszedł bliżej. Od jego kroków płomyki świec w kandelabrze złowieszczo zachybotwały, wzbudzając cienie na skrzyniach, ławach i innych sprzętach, które tarasowały Katji drogę ucieczki.

– I co ty na to, Sarnino? Przeczysz swojej naturze? – Przymrużył oko.  
– Zwracam honor Kowalskim. Wiedzieli, po co trzymają cię w lochach i co z ciebie za nomen omen... ziółko. To wtedy ją skradłaś?

Milczała uparcie, więc chwycił w garść warkocz, okręcił wokół nadgarstka i pociągnął, aż uniosła brodę. W jej oczach strach mieszał się z nienawiścią.

– Pan oszalał. Myśli pan, że ukradłam panu duszę? Mogę odpowiedzieć jak ta bisurkania z opowieści mego ojca: na co mi pańska dusza, skoro mam swoją?

– Mądrzejszą... – Uśmiechnął się.

– Właśnie, mądrzejszą! – powtórzyła ze złością. – Nie potrzebuję pańskiej duszy, jaśnie panie! Ani żadnej innej! Niech mnie pan stąd wypuści i na litość boską, nie gada takich bzdur! Muszę wracać do chorych!

– To nie bzdury, Katju. To działania poprzedzone dogłębnymi przemyśleniami, których mam niemało od czasów, gdyś przybyła po raz pierwszy do Jamnej.

– Wiem! Wiem! – Wyswobodziła warkocz. – Słyszę to, odkąd pamiętam! Czarownica, czaroducha, bisurkania, wiedźma, baba jaga, mol-farka, do wyboru, do koloru! Kiedy udaje mi się kogo uleczyć, wszyscy wokół dopatrują się szatańskich sił! Gdybym chociaż była szeptuchą! Ale nie jestem! Nie pluję na podłogę i nie mamroczę zaklęć, nie każę wiązać węzełków na chuście ani patrzeć w głąb studni! Więc kim jestem?! Dziwadłem, które kradnie dusze, żeby chorych diabelską mocą uzdrawiać! Jaśnie panie. – Zacisnęła pięści. – Prostym ludziom można takie myślenie wybaczyć, ale pan?! Pan, człek bywały i wykształcony?! Jakże pan może wierzyć w takie bzdury, żeby jemiołę mi nad głową wieszać i domagać się oddania własnej duszy?!

Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała. Tyszkowski nie mógł sobie pozwolić, żeby ktokolwiek usłyszał hałas, więc błyskawicznie zasłonił jej usta dłonią i przyciągnął do siebie. Przytknął policzek do skroni dziewczyny.

– Prosiłem, żebyś była cicho – wyszeptał. – A także byś rozpuściła włosy, bom cię jeszcze nigdy takiej nie widział, a bardzo tego pragnę.

Zadrzała. Mówiła coś prędko w jego dłoń, grzejąc ją oddechem.

– Ciiii... Sarnino. – Palcami lewej ręki znalazł koniec warkocza związany wystrzępioną tasiemką. Ściągnął ją, a potem wsuwając paznokcie między pasma włosów, rozsypywał splot. Miłe uczucie. Jakby cesał zgrzeblę Azę.

– Wiem, że zanim oddasz mi to, co ukradłaś, będziesz zaprzeczać i kłamać, dlatego ostatni raz daję ci szansę, byś się opamiętała. Widzisz swój receptariusz? Skiń głową.

Skinęła.

– Ślicznie. – Wolnymi ruchami rozczesywał długie pasma włosów. – To teraz słuchaj: stąd aż do parapetu, gdzie leży twój zeszyt, prowadzi siedem kroków. Co krok masz nad sobą jemiolę, której nie możesz ominąć ani okłamać, jej bowiem poświęciłaś ofiarę z własnego ciała.

Warkocz był już rozsypłany. Toni wsunął palce we włosy Katji tuż przy skórze. Zacisnął pięść i odchylił jej głowę w tył. Krzyknęła.

– Będę szedł razem z tobą i z każdym krokiem domagał się zwrotu mojej duszy. Zwrócisz mi ją, to ja zwrócę ci receptariusz... Słyszysz mnie, bezuche diablątko...?

Przytaknęła. Zauważył, jak wraz z tym ruchem po jej policzku spłynęła łza. Łapczywie musnął to miejsce wargami.

Znowu krzyknęła, więc mocniej przycisnął jej usta dłonią.

– Ciii... To nie koniec, Sarnino. Jak widzisz, na twojej ścieżce do odzyskania receptariusza stoi pewien mebel. Łóżko.

Wbiła mu łokieć w brzuch. Zaczęła się szamotać, rzucać, kopać po kostkach, kąsać kneblującą dłoń. Toni mocniej zakleszczył palce w jej włosach.

– Nie chcę ci robić krzywdy, malutka. Ale nawet twój nierozgarnięty mąż radzi, że jeśli czaroducha posiadzie czyjąś duszę i nie chce jej od-

dać, to trzeba posiąść czaroduchę wraz z duszą... – Polizał bliznę na odciętych uchu. – Bez względu na to, czy ma tam zęby, czy nie...

Urwał, bo otrzymał kolejną porcję kopniaków i kuksańców. Wykręcała się, drapała, a na koniec ugryzła go w mały palec. Toni wytrzymał bunt bez mrugnięcia okiem – w końcu czegoż mógł się spodziewać po nieszczęsnej, opętanej bisurkani? Pociągnął ją pod pierwszą jemiołę.

– Oddasz? Czy nadal będziesz bezrozumnie się opierać?

Odpowiedziało mu nienawistne milczenie. Dłonią, którą trzymał na ustach dziewczyny, ścisnął jej policzki.

– Pytam po raz ostatni.

Splunęła mu w twarz.

Zabrał rękę z jej ust, sięgnął do kieszeni po chustkę i otarł mokre miejsce.

– Okłamał mnie pan! Obiecał pan, że się dowiem, co przydarzyło się moim dzieciom! Kłamcy idą do piekła, tam, gdzie miejsce pańskiej duszy! Jej nie można ukraść, bo jej nie ma! Pan nie ma duszy ani serca, ani przyzwoito...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Podświadomie spodziewał się, że będzie jak w romansach, że bohaterka ulegnie szałowi namiętności, ale boleśnie się pomylił. Jakby całował wściekłego szerszenia. Prawą ręką najechał na rząd guzików spinających suknię. Wysunął z pętelki pierwszy guzik od góry, potem następny i następny. Rozpakowywał swój prezent. Smakował, unikał ugryzień, z lewą dłonią w popielatych włosach, a prawą sunąc w dół i uwalniając z pętelek kolejne guziki.

Pod trzecią jemiołą opór zelżał. Suknia była rozpięta do połowy, odsłaniając pocięte bliznami plecy i chude łopatki, drżące jak ptasie skrzydła. Pod opuszkami palców czuł dygot całego pokrytego gęsią skórą ciała.

– Sarnino... – szepnął, kiedy oderwał usta. – Com ci zawinił, że mnie tak nienawidzisz? Czemu przede mną uciekasz?

Nie odpowiedziała, tylko zakryła rękoma twarz i się rozpląkała. Suknia, obszerna i rozpięta do połowy pleców, zsunęła się z cichym szelestem pod stopy Katji. Włosy rozsypały się na ramionach i litościwie okryły jej nagość puszystym płaszczem.

Toni wstrzymał oddech. Odgarnął pasmo włosów znad odciętego ucha.

– Twoje córki są bezpieczne... – przemówił po chwili, walcząc z roztkliwieniem, które dławilo mu gardło jak kłęb waty. – Marlon mnie do nich zaprowadził... Leśniczówka była zalana, ale twoje dziewczynki ukryły się na piętrze wraz z gęsią i kurami. Zmyślne dzieciaki... Zbierały deszczówkę do garnka, jak małe piratki. Zabrałem je stamtąd do dworu. Są bezpieczne, Aleksy się nimi opiekuje...

Katja wstrzymała oddech. Chwilę patrzyła z niedowierzaniem, aż wreszcie zaniosła się szlochem wdzięczności. Przyłożyła pięści do oczu i płakała z ulgi, pierwszy raz nie wyrywając się z objęć Antoniego.

– Dzię... – zaczęła, ale przerwał jej spazm płaczu. – Dziękuję!...

– Nie chcę twojej wdzięczności.

Milczała.

– Chcę ciebie, Katju.

Pokręciła gwałtownie głową i schyliła się po suknię.

– Zostaw to i posłuchaj mnie teraz uważnie. Wrócisz ze mną. Wynajmę ci garsonierę w Przemyślu, kupię wszystko, co chcesz, suknie, wachlarze, książki, powóz i służbę. Będiesz żyła jak królowna. Będę przyjeżdżał tak często, jak tylko się da, będziemy spacerować, oddawać wizyty, pokażę ci Wiedeń...

Urwał na widok jej twarzy, która stężała z oburzenia jak pośmiertna maska. Toni spróbował łagodniej, starając się przemówić dziewczynie do rozsądku.

– Wiem, jak to jest z plotkami na wsi. Ci wszyscy wstrętnei ludzie, co nie mają własnego życia, więc żyją cudzym! Pies ich drapał, chyba nie myślisz się tym przejmować?



Wciąż milczała.

– I co ty na to?

– Na co?

Znowu schyliła się po przyodziewek, ale Toni na szczęście zdążył kopnąć suknię z dala od jej rąk.

– Pan oszalał! – wycedziła.

– Ja?! To ty oszalałaś! Masz przed sobą życiową szansę, niejedna by mnie po rękach całowała! Jesteś bystra, umiesz czytać i pisać, chcesz siedzieć po wieczność w jakiejś dziurze?! Nie odtrącaj takiej propozycji z byle powodu! – Chwycił jej ramiona i przyciągnął do siebie, aż włosy Katji rozwiały się, odsłaniając malutkie piersi. – Nie bądź głupia, Sarnino! Co cię tu czeka? Choroba i śmierć przy leczeniu zarazy?!... Jesteś młoda, wszystko przed tobą, możesz wieść życie jak dama! Możesz żyć u mego boku! Niejedna marzy o takiej propozycji, a ty... – Nie dokończył, bo wzrok sam mu się przykleił do drobnych sutków, czerwonych jak porzeczeki. Zauważyła spojrzenie i gwałtownie zasłoniła piersi łokciami.

– Niech mnie pan wreszcie puści i przestanie pleść bzdury! Nigdy z panem nie pojedę, nigdy!

Ogarnęła go furia. Złość na jej głupotę i chłopski upór.

– Do kurwy nędzy galicyjskiej! A cóż ty myślisz?! Że ja, Gozdawa, się z tobą ożenię...?!

– Niech mnie Bóg broni! Przed panem i pańską plugawą miłością!

Nie wytrzymał, wpił się w jej wargi jak głodny kleszcz. Były miękkie, delikatne i słone od łez. Toniego ogarnęła gorączka. Teraz jedyne, co czuł, to nie tkliwość, a pożądanie wypalające mózg. Zacisnął dłonie na małych piersiach. Czuł, że wreszcie musi się najeść tą dziewczką do syta.

– Antoni! – rozległ się z korytarza czyjś głos.

Resztką świadomości zarejestrował zamieszanie za drzwiami. „Matka?” – pomyślał. Chwycił Katję za ramiona i powłókł w stronę łóżka. Zahaczyła nogą o suknię i upadła. Jęknęła z bólu.

– Antoni, na litość boską! Otwórz te przeklęte drzwi!

Nie pozwolił Katji wstać. Rzucił się na nią i przygniół swoim ciężarem. Pal diabli łóżko, zrobi to tutaj, na podłodze, skoro bisurkania umyślnie wzbudziła w nim żądzę!

– Antoni! – rozległ się histeryczny wrzask, a zaraz potem czyjeś pięści zadudniły w drzwi. – Otwórz! Ratuń go!

Katja krzyknęła, ale jedną ręką przygwoździł jej nadgarstki do podłogi, a drugą zatkał usta.

– Wiem, że tam jesteś! Antoni, otwórz!

Rozsunął jej nogi kolanem.

– Słyszysz mnie, Antoni?! Ratuń brata! Ratuń Sepka!

To go zmroziło. Puścił dziewczynę. Katja zerwała się na nogi i błyskawicznie przyciągnęła do siebie suknię.

Okrzyk: „Ratuń go!” przybrał na sile. Toni wstał, czując jeszcze we wnętrzu dłoni wspomnienie ciepłego oddechu. Chwycił Katję wpół i niemalże wrzucił za jedną ze skrzyń, jak tobolek.

– Nie waż się stąd wyjść – syknął i podbiegł do drzwi. Otworzył zasuwkę.

W ramiona wpadła mu matka. Była blada, nie – szara, wręcz sina, a oczy wychodziły jej z orbit, przejęte zwierzęcym strachem.

– Toni! Toni, ratuń go! – wybełkotała, tarmosząc go za koszulę. – Co on sobie zrobił?! Co on najlepszego zrobił?!

Antoni odsunął ją za siebie i zdrętwiał na widok ciała Józefa – nieruchomego, rozciągniętego wzdłuż korytarza, z odrzuconą w tył głową. Jego dłonie, jak i rękawy marynarki były czerwone od krwi.

Toni rzucił się na podłogę i przykucnął przy bracie. Dotknął jego szyi, wyczuł słaby puls.

– Żyje! Dzięki Bogu! Trzeba natychmiast podwiązać nadgarstki! Ej! – krzyknął do służby, która wyległa na korytarz i otoczyła leżącego ciałym kordonem. – Niechże kto przyniesie szarpie! Migiem!

Służba zaszemrała. Babka, w czepku i szlafroku, szlochając rozpaczliwie, rozkazała przyprowadzić aptekarkę, a Toni przez moment poczuł mdlący skurcz w żołądku. Delikatnie rozpiął mankiety koszuli Józefa i je podwinął. Cięcia wyglądały paskudnie.

Rozchylił angielską marynarkę Sepka i wtedy z wewnętrznej kieszeni wysunęła się złożona kartka papieru, owinięta w nieszczęsną chustę, którą znalazł nad stawem rządca. Pomyślał, że to list samobójczy i strach ścisnął mu gardło. Schował papier w zanadrze, chustę podłożył Sepkowi pod głowę.

Nagle podskoczył. Okropny, kobiecy krzyk rozdarł ciszę.

Katja przypadła na klęczkach do Józefa. Była już ubrana, tylko rozpuszczone włosy powiewały za nią jak srebrnoszary welon.

– Boże Myłyj! Panie Józefie! Co pan zrobił?!

Do klęczącej podbiegł pokojowiec z szarpami i butelką gorzałki. Katja wydarła mu utensylia z rąk. Zaczęła siłować się z korkiem, ale Toni odebrał jej butelkę i rozbił szyjkę o ścianę. Kilka kropel wódki chlapnęło leżącemu w twarz. Aptekarka sprawnie przewięzała szarpami nadgarstki. Toni oddał połę własnej jedwabnej koszuli, nasączył ją wódką i podał Katji. Nie patrząc na niego, wzięła szmatkę, przytknęła ją do nadgarstka Józefa i ostrożnie przemyła cięcie.

Niedoszły samobójca poruszył się. Zamrugął i otworzył oczy.

Toni nachylił się nad bratem. Wielka, gorąca ulga przepelniła mu serce.

– Sepp! Spójrz na mnie! – Poklepał go po policzku. – Sepek! Słyszysz mnie? Odezwij się!

Józef westchnął, jak rozpaczliwie zmęczony człowiek.

– Syneczku! – Do leżącego przypadła matka. – Coś ty zrobił?! Coś ty, na Boga Ojca, zrobił?!

Płacząc, objęła jego głowę i okryła ją pocałunkami.

– Mamo! – Toni odciągnął ją za ramię. – Daj mu oddychać!

– Nie chcę... – wyszeptał Sepp.

– Czego nie chcesz, syneczku? Powiedz, kochanie, czego nie chcesz?...  
Mów, mów do mnie!

Sepp wyszeptał sinymi wargami:

– Nie chcę... oddychać... bez niej.

Tyszkowska znieruchomiała, krew odpłynęła jej z twarzy. Trwało to mgnienie oka, ale Toniego ogarnęło dziwne przeczucie, że matka wie coś, czego nie chce powiedzieć.

– Co się stało? – Dotknął policzka brata. – Bez kogo nie chcesz oddychać?

Sepp wygiął usta w podkówkę, zacisnął powieki. Wyglądał teraz niczym mały chłopiec, zrozpaczony z jakiegoś sobie tylko znanego, dziecięcego powodu. Gruba łza spłynęła po jego skroni.

– W dworskim stawie znaleziono ciało!

Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd rozległ się głos. W głębi korytarza stał Maksymilian, a z za jego ramienia wychylała się zapłakana Hela.

Zapadło milczenie. Toni pierwszy przerwał ciszę.

– Jakie ciało? Czyje?

– Ciało kobiety – powiedziała cicho Hela. – Z niemowlęciem... Znaczy się, pan Józef znalazł.

I wtedy Sepp się rozpłakał.



**D**ziedzica zanesiono do salonu. Płakał dłuższą chwilę, jęcząc: „Ludka, Ludzia”, aż w końcu zasnął. Z tą obrzydliwą chłopską chustą pod głową, której nie pozwolił sobie odebrać!

„Dzięki Bogu” – pomyślała Wiktoria. „Najgorsze minęło. Dałby Bóg, żeby nikt się nie domyślił, kim jest Ludka-Ludzia i że jej ciało zasmradza teraz dworską kaplicę”. Pogładziła syna po włosach.

– Będzie dobrze, synku. Wytrzymasz – szepnęła i ucałowała go w zimne czoło.

„Tak jak i ja wytrzymałam” – pomyślała z bólem.

Na palcach podeszła do drzwi. Jej wzrok padł na Katję, siedzącą z miną wiernego psa (a raczej suki) przy łóżku. Suknię miała podartą, a włosy w nieładzie, jakby jej warkocz padł ofiarą dzikiego zwierzęcia.

Na krześle w rogu kiwała się matka, przesuwając w pomarszczonych dłoniach paciorki różańca i szepcząc modlitwy. Obok seniorki rodu, z głową prawie na jej kolanach chlipała jakaś pokojówka, którą Rozalia w przerwach między modlitwami krzepiąco gładziła po plecach. Inna służąca, gryząc ze zdenerwowania ścierkę, wpatrywała się w ogień płonący na kominku i co jakiś czas dorzucała szczapę drewna. Jeszcze inna dziewczka u wezglowia łóżka głośno wzdychała, udając, że poprawia pościel.

Wiktoria zlustrowała tę zapatrzoną w Józefa kongregację płaczek i skinęła na Katję. Aptekarka wstała z ociąganiem.

Tyszkowska wyprowadziła ją na korytarz, po czym zamknęła bezszelестnie drzwi.

– Ile czasu minie, by dziedzic doszedł do siebie? Stracił wiele krwi.

– Zanim zasnął, podałam mu ziele tasznika i poprosiłam, aby wypił kiszony barszcz, który kucharka miała na podorędziu. Teraz nic więcej nie mogę zrobić.

– Czy jego życiu coś zagraża?

– Rozpacz. – Katja uśmiechnęła się gorzko. – Najgorszy wróg życia.

W oczach dziewczki błysnęły łzy i Wiktoria zamiast się rozczulić, poczuła ukłucie niepokoju. Józefa uwielbiali wszyscy, a zwłaszcza żeńska część służby, jednak czy ta bisurkania nie zamierzała przypadkiem zastąpić mu Ludmiłę? Czort wie, co siedzi w tym wiedźmie, zepsutym umyśle!

Tyszkowska spojrzała badawczo na aptekarkę, ale nie wyczuła w jej postaci nic oprócz nieludzkiego zmęczenia.

– Doceniam twą troskę o dziedzica, ale wróć teraz do swoich chorych. Tu jest dość opiekunek.

Dziewka spojrzała błagalnie, ale Wiktoria była nieugięta.

– No już! – ponagliła.

Posłała aptekarce uśmiech z gatunku smutno-krzepiących i poklepała ją po policzku, usilnie wkładając w ten gest całą fałszywą czułość, na jaką mogła się zdobyć.

Katja dygnęła i odeszła w głąb korytarza.



**O**ba ciała złożyliśmy w rodzinnej kaplicy – relacjonował rządcą, prowadząc Antoniego korytarzem. – Na pewno chce pan je obejrzeć?

– Ktoś musi. Proszę opowiedzieć wszystko od początku.

– Pamięta pan tę chustę, którą znaleźliśmy wraz z panną Katją nad brzegiem stawu?

Toni burknął twierdząco. Wspomnienie „panny Katji” spacerującej z rządcą po dworskim parku wciąż kłuło go jak wbita w stopę drzazga.

– Przed południem poszliśmy z Helą naskrobać wierzbowej kory, bo się skończyła, a zgodnie z receptą od panny Katji musimy ją do ziół domieszać. Udaliśmy się nad staw. Pan dziedzic siedział na brzegu i płakał właśnie w tę chustę. Obok leżały zwłoki kobiety i niemowlęcia... Byliśmy przerażeni, bo skąd u nas zwłoki... rozumie pan. Chciałem wezwać chłopów z gromady, czy ktoś je rozpoznaje, ale pan dziedzic się sprzeciwił. Ani chłopów, ani żandarmów, tak powiedział.

– Bardzo słusznie. Władza wprowadziłaby tylko zamieszanie. Poza tym żandarmi przy tych drogach dojechałyby pewnie za miesiąc.

Pochwycił wdzięczne spojrzenie rządcy.

– Pan Józef rozkazał przenieść zwłoki do dworu – kontynuował Maksymilian. – Jak mówiłem, spodziewałem się, że chłopkę zabierze gromada i wójt z księdzem zdecydują, gdzie ją pochować, jednak rozkaz to rozkaz... Posłałem Helę po jakąś derkę, położyliśmy na niej trupa wraz z dzieckiem i zanieśliśmy do domowej kaplicy. We dwóch z panem dziedzicem. Nie było to przyjemne, bo ciało co najmniej kilka dni leżało w wodzie.

Toni machnął ręką na znak, żeby mówić dalej.

– Jeśli zaś chodzi o pana dziedzica... – Rządca się zawahał i podjął po chwili milczenia: – Pan Józef został z ciałem w kaplicy, modlił się i płakał. Zapytałem, pewnie niepotrzebnie, ale w takim momencie człowiek jest daleki od rozumu... Zapytałem, kim jest ta kobieta... Nie odpowiedział, tylko kazał mi się wynosić, żebym powiadomił pana, panie Antoni, i obie jaśnie panie. Szedłem właśnie do pokoju pani Rozalii, gdy usłyszałem hałas. Myślałem, że kto ze służby zauważył ciało i narobił rabanu, ale to był pan dziedzic. Podciął sobie żyły, wyszedł na korytarz i stracił przytomność. Tak go znaleźliśmy.

Skręcili za załom ściany. Drzwi do dworskiej kaplicy zaskrzypiały upiornie. Świeżo zerwane pajęczyny powiewały od podmuchu powietrza, świadcząc dobitnie o tym, że wielebny Bernard gustował w weselszych pomieszczeniach. Rządca znacząco dotknął nosa.

– Radzę użyć chusteczki – szepnął.

Toni wyjął z kieszeni chustkę i zasłonił nią twarz. Weszli do środka.

Potworny odór uderzył ich jak obuchem. Toni w jednej chwili przypomniał sobie wszystkie swoje posiłki, poczynając od zeszłego tygodnia. Gwałtownie zapragnął węgryzna.

Ciało oświetlone tuzinem palących się świec spoczywało na derce, ta zaś na deskach podłogi. Zwłoki wyglądały koszmarnie. Nos, policzki, palce, stopy – to wszystko, czego nie okrywała odzież – padło ofiarą wody i żyjących w niej stworzeń. Kobieta wciąż trzymała dziecko owinięte chustą, a raczej chusta trzymała dziecko, bo matka właściwie nie miała palców.

Toni wolał nie patrzeć na obgryzioną przez ryby twarzyczkę. Wciąż pamiętał uczucie sympatii do swej małej bratanicy, gdy ta krzyczała na własnych chrzcinach. Teraz był to kawałek napuchniętego, sinego ciała, z którego sączyła się cuchnąca ciecz.

Zachwiał się, tłumiąc mdłości. Kątem oka zauważył, jak Maksymilian robi na piersi znak krzyża.

– Wie pan, kim jest ta kobieta? – szepnął rządcą, przyciskając do ust chusteczkę.

– Z pewnością tutejsza włościanka. Weszła do parku z jakiegoś powodu – westchnął, bo znał ten powód, który teraz leżał w salonie z ranami na nadgarstkach – i nieszczęśliwym trafem musiała utonąć w stawie.

Umilkł. Smród gnijącego ciała odebrał mu głos.

– Sądzi pan, że to był wypadek?

Toni wzruszył ramionami.

– A może została zamordowana? – zapytał rządcą, a Toniemu, nie wiadomo dlaczego, stanęła nagle przed oczami blednąca gwałtownie matka. – Nie jestem specjalistą, ale naoglądałem się sporo trupów, również tych spoczywających przez dłuższy czas w wodzie. Przy bliższych oględzinach okazywało się często, że ktoś im pomógł... – Maksymilian odchrząknął, jakby się zorientował, że powiedział za dużo. – Żeby znaleźć przyczynę śmierci, trzeba by zrobić autopsję, ale nie mamy lekarza, który by się tego podjął. I żaden nie dojedzie tu na tyle szybko, by zdążyć, zanim ciała się rozpadną.

Toni spojrział z namysłem na rozmówcę. Rządcą miał słuszność. Jeśli teraz nie sprawdzą, w jakim stanie są zwłoki, rozkład zatrze ślady i już nigdy się nie dowiedzą, w jaki sposób Ludmiła i dziecko ponieśli śmierć.

„Jestem ci to winien, Sepp” – pomyślał w duchu i ruszył w stronę ciała.

I natychmiast przystanął.

Odór był tak silny, że spojrział błagalnie na rządcę.

– Przyniesie mi pan węgrzyna? – jęknął.



Maksymilian bez słowa wyszedł z kaplicy.

Toni powstrzymał mdłości. Starał się oddychać przez usta, ale niewiele pomagało. Mimo to zbliżył się do ciała i omijając wzrokiem poszarpaną przez ryby, niegdyś oślepiającą urodą twarz topielicy, skupił się na tym, co pozostało z jej dłoni. Palce prawej ręki były dziwnie zagięte.

Nachylił się w tę stronę, tłumiąc wstręt.

Przy kłykciach, pomarszczona i zmacerowana skóra odchodziła płatami od kości niczym rękawiczka. Tyszkowski ominął wzrokiem opuszek piątego palca, zsunięty razem z paznokciem i skupił się na dziwnym przedmiocie we wnętrzu dłoni, jakby sznurku czy cienkiej lince. Ignorując smród, ujął nadgarstek i podstawił go pod padający ze świecy snop światła.

– Łańcuszek – wyszeptał.

Ręka razila potwornym zimnem. Miał wrażenie, że trzyma nasiąkniętą lodowatą wodą, kąpielową gąbkę. Łańcuszek ciągnął się przez wnętrze dłoni, zawijał o kciuk, zahaczał o guzik przy mankiecie i kończył na nadgarstku. Jedno z ogniów było rozerwane.

Toni najczulej jak potrafił, rozgiął palce trupa i schował łańcuszek do kieszeni.

– Prezent od mego brata? Umierałaś, patrząc na podarunek od ukochanego...?

Nie czuł już smrodu, ale rozmiękczające od środka wzruszenie. Oczy wezbrały mu łzami.

– Moja droga, dobra bratowo – szepnął, chcąc wymówić na głos wątpliwości. – Jest jedno „ale”... Łańcuszki od ukochanych nosi się na szyi... Przecież na rękach dźwigałaś dziecko. Dziecko zerwało łańcuszek? Sama go zerwałaś w ostatniej chwili przed śmiercią? Sięgnęłaś do szyi, gdy dusiła cię woda...?

Zmarszczył brwi. Jego rozważania nijak nie trzymały się kupy.

Odłożył ogryzioną dłoń na derkę i pochylił się nad twarzą. Nie miała uszu. Delikatnie dotknął skroni kobiety i przekrzywił głowę na bok. Z ust chlusnęła woda. Odskoczył w samą porę.

– Wybacz mi, Ludmiło. Nigdy tak naprawdę cię nie poznałem, choć Sepp prosił mnie o to wielokrotnie. Nie znałem cię za życia, więc teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym dowiedzieć się czegoś o twojej śmierci.

Przysunął świecę. Obejrzał krtań i szyję. Potem przyjrzał się skroniom i rozgarnąwszy złote, niegdyś budzące zawiść u kobiet włosy, dotknął ciemienia. Było równie twarde jak jego własne. Pomyślał, że ewentualny zabójca mógł zadać morderczy cios w serce – jeśli zrobiłby to na przykład nożem, suknia byłaby rozcięta.

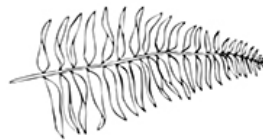
Oparł dłoń poniżej mostka, lekko nacisnął i poczuł, jak brzuch Ludmiły zapada się z upiornym chlupotem, a w fałdach sukni coś się porusza.

Ślimak.

Toni powstrzymał mdłości i cofnął rękę.

A potem, gdy uniósł wzrok, wreszcie to zobaczył. Przekrzywiona w bok głowa ukazywała wystrzępioną skórę na kości policzkowej. Poniżej, w okolicach żuchwy widniały cztery wyraźne rysy, jakby ślad szponów jakiegoś drapieżnika.

Albo człowieka.



**D**eszcz z łoskotem walił w szyby. Była już późna noc, ale Katja – podobnie jak cały dwór – ani myślała o tym, by usnąć. Mieszała dziegieć dla chorych, rozpuszczała go w coraz to różniejszych porcjach wody, ale tak jej się trzęsły ręce, że część papki lądowała co chwila na podłodze. Aptekarka nie mogła się skupić. Bolało ją całe ciało, stłuczona noga rwała, bolały ją w końcu wspomnienia ostatnich godzin. Obrzy-

dliwy dotyk szorstkich łap Antoniego, jego przeżarty winem oddech, smak śliny... Brr! A zaraz potem Józef, jej miłość, jej zadra w sercu, leżący bezwładnie z zakrwawionymi dłońmi na korytarzu, z jedwabną, wyszywaną czerwonymi nićmi chustą pod głową... Rozpoznała wreszcie tę chustę! Przecież to w niej Ludka pojawiła się na chrzcinach, wzbudzając zawiść wśród cerkiewnych plotkar!

Ukryła twarz w dłoniach.

Wstydziała się tych myśli, ale po pierwszym, głębokim ukluciu bólu, pomyślała, że oto dziedzic jest wolny. Współczuła mu straty, opłakiwała piękną, dobrą kobietę, którą sama, własnymi rękoma, wyrwała śmierci, opłakiwała malutką Anielę, ale gdzieś z tyłu głowy coś jej szeptało: „Jest wolny, wolny, jest twój!”.

Otrząsała się z tych myśli, wypierała je, ale i tak wiedziała, że są, istnieją, drzemią ukryte i tylko czekają na moment, by wypełznąć i otwarcie cieszyć się z odejścia dziedzicowej kochanki. Gdyby nie miłość, nie dowiedziałyby się, jak bardzo zdradliwe ma serce.

Wracaj do roboty, czarownico!

Chwyciła łyżkę z dziegciem i niechcący upuściła ją na suknię. Zaklęła. Nie, nie może teraz pracować, bo zwariuje! Poza tym jaki dziegieć?! Józef nie potrzebował dziegciu, a ziół na niedokrwistość! Przepis znajdował się w receptariuszu, a receptariusz w sypialni przeklętego Antoniego! Tak jak cała wycięta z parku jemioła, tamująca krwawienia!... Boże Myłyj, po coś zesłał na świat tego wstrętnego człowieka, który urodził się tylko po to, by dręczyć ludzi i by być jej, Katji, wieczną pokutą za niepopelnione grzechy!...

Jęknęła. Musiała odzyskać receptariusz. Tylko jak...?

Ciche głosy na korytarzu wyrwały ją z rozmyślań. Nieznacznie wychyliła głowę zza drzwi składziku. Hela i Maksymilian rozmawiali szepcąc.

– Powie mi, że ukradłam!

– Nie powie. Uspokój się, proszę. Idź do pani i oddaj.

– Boję się! – Hela pociągnęła nosem. – Pomyśli, że jestem złodziejką i że chciałam zatrzymać dla siebie, podczas gdy to mi się nawet nie podoba, bo jakieś straszne takie jest! Ale pani spyta na pewno: skoroś rano znalazła, to dlaczego oddajesz wieczorem?!

– Wie przecież, ile było zamieszania! Każdy by zapomniał.

– Ale się boję! Proszę, weź to ode mnie. Ciebie lubi i się nie rozgniewa.

Maks westchnął z rezygnacją.

– I co ja mam z tobą zrobić...?

Hela uśmiechnęła się wdzięcznymi oczami. Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

Katja odchrząknęła. Hela i Maks spojrzeli na nią jak para przyłapanych na kłamstwie smarkaczy. Rządca wsunął coś szybko do kieszeni.

– Przepraszam, nie chciałam podsłuchiwać – zastrzegła aptekarka. – Mam tylko pytanie do pana...

– Zamieniam się w słuch.

– To ja za ten czas posprzątam w składziku, bo panna padasz z nóg – zaproponowała nagle Hela ze szczerym zatroskaniem. – Dziegciem się musiało nabrudzić, bo śmierdzi.

Katja pociągnęła nosem. Woń wędzonego sera, zgnilizny, palonego drewna i innych mało przyjemnych aromatów biła z jej sukni jak z chaty maziarza. Aptekarka ledwie zdążyła podziękować za pomoc, a Hela śmignęła do składu niczym strzała.

Przy okazji nie umknęło uwadze Katji, że dziewczyna zwróciła się do niej „panna”, a nie per „ty”, jak drzewiej bywało. Widać wpływ Maksymiliana i tu okazał się dobroczynny.

– Chciałaś panna o coś zapytać. Nie chcę popędzać, bo zaraz muszę wrócić do kaplicy, gdzie czeka na mnie pan Antoni. Trzeba zająć się tą biedną nieszczęśnicą.

Katja zagryzła wargi.

– Czy pan Antoni długo tam zostanie?

– Nie mam pojęcia. Ale kazał sobie przynieść węgrzyna, więc... – Rządca znacząco wzruszył ramionami. – O co panna chciałaś spytać?

Z roztargnieniem uniosła dłoń do czoła.

– Nieważne. Sama nie pamiętam. Jestem chyba mocno zmęczona. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Nie zatrzymuję pana. Pan Antoni bywa przykry, gdy się kto spóźnia.

Wyminęła zaskoczonego Maksymiliana i pobiegła wzdłuż korytarza.



Toni wytarł ręce chusteczką. W głowie miał mętlik podobny temu, jaki czasem czuł po gorzałce, a w wyobraźni widział wielką, dra piezną wydre, która orze pazurami gładki policzek jego bratowej.

– Na litość boską! – mruknął pod nosem i zbluzgał się w myślach za niedorzeczne fantazje. Wsunął chustkę w zanadrze, aby otrzeć spoconą pierś, kiedy pod palcami coś zaszeleściło.

Wyjął list, który znalazł przy Józefie i przybliżywszy do papieru jedną z otaczających ciało świec, przeczytał:

*Wielmożny Panie Józefie!*

*Przypadł mi w udziale najprzykrzejszy w świecie obowiązek powiadomienia Pana o śmierci naszego kochanego Dmytro, który w dniu wczorajszym zmarł na zarazę w domu babki swojej Jewdokii. Na jej rękach ducha oddał. Szczęściem nie cierpiał długo, bo dwa dni tylko. Zaczęło się w piątek wieczór od bólu głowy, potem jeść przestał, potem kolka, biegunka i straszliwe wymioty, a wieczorem w niedzielę łaskawy Pan Bóg wziął go do siebie, do zastępu aniołów, by mu usługiwały (o czym uwiadomił mnie ksiądz Podlaszecki, który to ledwie wszystkie ofiary grasanki w naszej wsi porachował, tak są liczne).*

*Tusząc, iż Jaśnie Pan, Jaśnie Pani Wiktor, Pan Antoni i reszta domowników pozostajecie w dobrym zdrowiu, oddaję ten list w ręce posłańca, który zarzeka się, że za sto krajcarów dotrze zalanymi drogami do Zawozu.*

*Nie ma słów, które by moją żalność i rozpacz oddać mogły! Niech Bóg Miłociwy wspiera Pana w cierpieniu i niech ukojenie ześle i tę straszną, krwawą ranę w sercu zablizni jak najrychlej!*

*Pańska oddana służa*

*Sabina*

Ostatni wyraz skreślony był koślawo, jak gdyby zacna ochmistrzyni straciła kontrolę nad piórem, które tyle nieszczęść musiało opisać. List nosił datę sprzed dwóch tygodni. Kto wie, ile osób od tej pory padło w Jamnej ofiarą grasanki? Może i sama Sabina...?

Toni zwinął papier w trąbkę, rozwinął, zwinął znowu i postukał nim w otwartą dłoń.

Przypomniał sobie błagające oczy Seppa, które jeszcze wczoraj wołały o ratunek. Brat chciał mu zapewne pokazać ten list i podzielić się nieszczęściem. Ludmiła. Anielcia. I do tego Dmytro – bystry, rezolutny smarkacz... Sepp w ciągu dwóch dni stracił wszystkich, których kochał. Całą swoją rodzinę, o której matka mawiała „hańbiąca”, a starszy brat nazywał „chamstwem”. Żartował sobie z Ludki, że jest jak urodziwa klacz, której szkoda do roboty, więc Józek układa ją sobie pod siodło. Dmytro powiedział kiedyś, żeby liberię lokajczyka wkładał tylko żółtą, bo wtedy kolor do słomy w butach pasuje. O Anielci, że pewno dlatego tak wrzeszczy, bo krew szlachecka z błotem się burzy i nie może wymieścić...

Ile jeszcze okrucieństwa wymówił, próżno rachować!

Skrzypnięcie drzwi spowodowało, że serce skoczyło mu do gardła.

Krzyknął i się odwrócił.

– Węgrzyn dla pana!

Maksymilian wysunął w jego stronę omszałą butelkę. Tyszkowski pociągnął kilka długich łyków.

– I jak oględziny?

– Znalazłem coś. – Toni otarł usta i wyjął z kieszeni łańcuszek. – Zmarła trzymała to w ręce.

Rządca przyjrzał się znalezisku w milczeniu. Podsunął łańcuszek pod płomień świecy.

W kaplicy panował półmrok, niemniej jednak Tyszkowski zauważył, że twarz Maksymiliana martwieje, jakby odpłynęła z niej cała krew. Rządca zachwiał się na nogach.

– Matko Boska Kalwaryjska, to przez ten smród! – Lekko poklepał mężczyznę po twarzy. – Panie Maksymilianie...? Żyje pan?

Maks przytaknął skinieniem głowy. Bez słowa pociągnął Tyszkowskiego do drzwi.

– Chyba i ja muszę panu coś pokazać – wyszeptał. – Ale nie tutaj. Chodźmy do mego gabinetu, tam mam szkło powiększające i więcej światła.



**N**ie tylko Katja zauważyła ten pocałunek. Szepcząca ze sobą przed drzwiami aptecznego składziku para przyciągnęła uwagę Tyszkowskiej. Wiktoria odruchowo cofnęła się za załom ściany. Teraz miała ich jak na talerzu. Łzy nie oschły jeszcze po wyjściu od Józefa, więc teraz, na widok tej flądry przyssanej do policzka Maksa jak czarna pijawka, puściły się obfitym strumieniem po policzkach. Ból zdrady niczym garść sztyletów wbił się w serce Wiktorii.

Szlochała coraz głośniejsze i coraz mocniej zatykała przy tym usta. Pomysłała, że zaraz zabraknie jej tchu i padnie tutaj, na korytarzu, niedaleko miejsca, gdzie jej młodszy syn chciał się zabić, oplakując straconą miłość. Gdy teraz, zanim zasnął, spytała go: „Synku, dlaczego...!?” , wyszlochał tylko: „Mamo, czyś ty się nigdy nie zakochała...?”.

Nie mógł znaleźć gorszego momentu?

Odwróciła się i chwiejnym krokiem pospieszyła do swego gabinetu.



O świetlając sobie drogę pożyczoną z kaplicy świeczką, stanęli przed kancelarią rządcy. Pomieszczenie świadczyło o niechęci Maksymiliana do zbytków oraz coraz rzadziej spotykanej skłonności do ciężkiej pracy, czego dowodem były zalegające na wszystkich wolnych powierzchniach rejestry, księgi rachunkowe i kalendarze. Rządca zgarnął ze stołu papiery i z braku innego miejsca ułożył je na podłodze. Następnie wyjął z szuflady biurka szkło powiększające oraz kilka grubych świec. Po chwili kancelaryjny stół rozświetlił się intensywnym blaskiem.

– Proszę mi dać łańcuszek.

Antoni spełnił prośbę. Maks ułożył łańcuszek na otwartej dłoni, następnie wygrzebał z kieszeni spodni owalny, błyszczący przedmiot i umieścił obok łańcuszka.

– Poznaje pan? – zwrócił się do Tyszkowskiego.

Toni pochylił się, by lepiej widzieć. Klejnot odrobinę przypominał ametyst, poprzerzynany białymi wstążkami jakiejś zimnej skały, ale urodą przewyższał wszystkie ametysty, jakie Antoni kiedykolwiek oglądał

– Co to?

Maksymilian przybliżył dłoń do światła.

– Hela, posługaczka zeszpitala, znalazła dziś rano tę błyskotkę na brzegu stawu. Niedaleko miejsca, gdzie poprzednio natrafiliśmy na chustę. Niedługo później natknęliśmy się na pana Józefa i ciało tej nieszczęśnicy z dzieciąciem... – Podrzucił biżuterię w dłoń. – Co pan na to, żeby obejrzeć oba przedmioty przez szkło powiększające? Punce wydają się całkiem podobne. Nie jestem fachowcem, jednak gdyby się okazało, że to komplet? Że medalion i łańcuszek mają jednego właściciela? – Zrobił pauzę. – Albo właścicielkę...?



Położył medalion i łańcuszek na blacie. Ujął medalion w palce, po czym podsunął go pod snop światła padającego od świec. W lewą rękę wziął szkło powiększające.

W soczewce purpurowy kamień zaśnił niczym lustro zlepione z kawałków burzy. Białe żyłki odznaczały się na gładkiej powierzchni kaboszonu, czyniąc ją podobną do fal pociętych obwódkami z morskiej piany.

– Piękna robota. Kute srebro – odezwał się wreszcie rządca. Głos miał zachrypnięty bardziej niż zwykle.

– Wie pan, co to za kamień? – spytał Toni. – Różne widywałem, ale nigdy nie widziałem podobnego koloru.

– I nic w tym dziwnego – chrypnął Maksymilian. – Ten klejnot nie ma nazwy. Pochodzi tylko z jednego miejsca na Syberii, a konkretnie z dorzecza jednej jedynej rzeki o imieniu Czara. Kamień tam znaleziony zwą od niej czaroitem, albo „kamieniem szamanów”. Niewielu o nim wie, a prawie nikt nim nie handluje. Znają go tylko tubylcy. I skazańcy. – Uśmiechnął się gorzko.

– Mój pradziadek, ze strony babki Rozalii, był skazańcem... Wylądował gdzieś na Syberii, gdzie dokładnie, nie wiem. – Tyszkowski podrapał się po brodzie. – Wiem tylko, że zesłali go do kamieniołomów, skąd po roku zbiegł. O szczegóły musiałbym spytać matki.

– Kto wie? Może wylądował całkiem niedaleko tego kamienia? No, ale cóż... – Rządca odwrócił klejnot i teraz lustrował przez lupę wybitą w oprawie puncę. – Skupmy się na konkretach. Co tu mamy?... Tarcza z krzyżem. I wybity rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty czwarty oraz litera A. No i oczywiście trzynastka...

– Trzynastka? Jaka trzynastka? Mówże pan jaśniej!

– Trzynastka czyli trzynastołutowa próba srebra użyta do wyrobu medalionu. Wybita litera A oznacza Wiedeń, tarcza z krzyżem to swego rodzaju podpis złotnika. A teraz niech pan mi poda łańcuszek.

Toni spełnił prośbę. Maks uniósł szkło nad łańcuszkiem.

– I tu mamy to samo, panie Antoni. Tysiąc osiemset pięćdziesiąt cztery umieszczone wokół tarczy z krzyżem, litera A i trzynastka. Wygląda na to, że to komplecik. – Maks rzucił mu przenikliwe spojrzenie. – Pewno spyta pan zaraz, skąd u mnie znajomość jubilerstwa, choć jestem marnym rządcą w bieszczadzkiej wiosce.

– Niechże pan mnie oświeci.

– To nudna historia, ale postaram się streścić. – Westchnął z boleśnym uśmiechem. – Swego czasu chciałem zamówić we Wiedniu zaręczynowy pierścionek dla pewnej wyjątkowej damy, którą kochałem całym sercem. Niestety – pierścień okazał się sporo za drogi na moją kieszeń. Wdałem się ze złotnikiem w długą korespondencję, w trakcie której proponował mi wyroby coraz tańsze, pierścionki coraz węższe, jednak wszystkie te towary wciąż były dla mnie za drogie. Złotnik w końcu zrezygnował ze zrobienia ze mnie swego klienta, ale że był pasjonatem swej pracy, pisał mi szczegółowo o puncach, próbach i pracowniach złotniczych w różnych zakątkach cesarstwa. I tak oto stałem się kimś w rodzaju rzeczoznawcy znaleźnych błyskotek, by robić wrażenie na możniejszych od siebie. Czego odczuwasz pan teraz skutki.

Tyszkowski milczał. Wzmianka o wyjątkowej damie poruszyła w nim czułą strunę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że rządcy nie mogło chodzić o Katję. Pomyślał przelotnie o matce, jednak szybko odrzucił podobną niedorzeczność. Taki gołodupiec jak Maks nie śmiałyby stawać w konkury do herbowej damy.

– Kamień został oprawiony w zeszłym roku – kontynuował rządcą. – Ktoś musiał zgubić to cacko całkiem niedawno i z pewnością jeszcze je oplakuje.

– Tylko kto? Gdybyśmy wiedzieli!... Ale nie wiem tego i pan zapewne też.

Rządcą uśmiechnął się smutno.

– Niech pan mówi za siebie.

Toni wybałuszył oczy.

– Jak to? Wie pan, do kogo należy ten wisior?!

Maks odłożył szkło powiększające i wsparł się obiema rękami o blat. Teraz wyglądał na dużo starszego niż w rzeczywistości; na wiekową duszę, która przeżyła zbyt wiele, by mogła zmieścić się w ciele młodzieńca.

– Panie Antoni. Właścicielka tego wisiora opowiedziała mi nawet, w jaki sposób pański pradziadek wszedł w jego posiadanie. Dostał go wraz z miską zupy od syberyjskiego szamana, gdy zbiegł z kamieniołomów i przez jakiś czas ukrywał się w tajdze.... Po powrocie do kraju klejnot zdeponował w bankowym sejfie. Nikomu go nie pokazywał, twierdząc, że niegodne dłonie odbiorą kamieniowi całą moc, aż wreszcie tuż przed śmiercią postanowił podarować go swej wnuczce. Posłużył się ponoć tymi słowami: „Ten kamień ocalił mi życie, niechże ocali i twoje”.

Tyszkowski siedział jak na szpilkach. Miał ochotę chwycić czaroit i pobiec w te pędy do matki. Zamiast tego jak przykuty wpatrywał się w złowieszczy purpurowy wisior, zastanawiając się, jaki jest jego związek ze śmiercią Ludmiły.

– Zaskoczyłem pana? – spytał Maksymilian.

Na dowód prawdziwości swojej tezy przewłókł łańcuszek przez małe, srebrne oczko przy kamieniu. Oba przedmioty pasowały do siebie idealnie.

Toni wyciągnął rękę i rozczapierzył palce. Rządca położył mu wisior na dłoni. Tyszkowski poczuł drgnięcie w mózgu, tak jakby fragmenty układanki stuknęły o siebie.

– Chyba jestem winny panu węgrzyna.

Maks roześmiał się gorzko.

– Nie mam czego świętować. Szczerze mówiąc, z węgrzynem wolałbym poczekać, aż pański brat wstanie z łóżka.

Antoni pokiwał głową. Znał tego mężczyznę od jakiegoś czasu, ale dziś po raz pierwszy dostrzegł w nim kogoś innego niż tylko utrzymanka własnej matki.

– Ma pan słusność. A oprócz tego stalowe nerwy i rozsądek: cechy dzisiaj coraz rzadsze u ludzi, a co dopiero u rządców. Moja czcigodna babka z pewnością zauważyła te przymioty szybciej ode mnie, dlatego dała panu tę posiadłość. Zazdroszczę jej takiego instynktu do ludzi. Ja ze swojej strony proszę o wybaczenie, jeśli kiedy byłem dla pana niemiły.

Rządca umilkł na dobrą chwilę, wreszcie bez słowa wyciągnął ku Tyszkowskiemu dłoń, którą ten szybko uścisnął. Toni schował wisior do kieszeni, a potem – aby uniknąć niezręcznej dla nich obu rozmowy – życzył dobrej nocy, wymknął się za drzwi i pobiegł wprost do pokoju matki.



**T**yszkowska napełniła kielich węgryzmem. Ręka jej się trzęsła i kilka rubinowych pereł spłynęło po brzegu naczynia, znacząc obrus krwawym okręgiem.

Dziennik – jej stary, niezastąpiony przyjaciel – leżał otwarty na skraju stołu i kusił czystą kartką. Zanurzyła pióro w kałamarzu.

*Spał z nią, z tą, co go całowała. Jestem tego pewna. Widać po jego oczach, ogrzały się, napełniły tym czymś, co może dać tylko ciepło ukochanej niewiasty...*

Przerwała i wychyliła wino jednym haustem. Odłożyła pióro. Spokojnie oparła łokcie na stole, palce wsunęła we włosy i ścisnęła je tak mocno, aż usłyszała trzask wrywanych cebulek.

Zawyła głośno, jak ranne zwierzę. Dała mu wszystko: mieszkanie, schronienie przed żandarmami, majątek do zarządu i własne ciało. Mógł odejść, zanim się przywiązała. Nie odszedł, a zamiast tego postanowił ją upokorzyć miłostką z jakąś podrzędną posługaczką!

Nie wie, z kim zadarł, kogo odtrącił! Nie wie, ale się dowie!

Miała teraz ochotę opisać ze szczegółami w dzienniku, jakie tortury zada Maksowi za jego postępek, gdy z rozmyślań wytrącił ją stukot pod-

kutych butów. Do pokoju wpadł Toni.

Bez pukania, bez dzień dobry. Wpadł, jakby go kto gonił, a jedno zerknięcie na jego twarz upewniło Tyszkowską, że starszy syn jest w stanie ostrego wzburzenia.

– Mogę zająć chwilę czcigodnej mamusi? – spytał, a raczej warknął.

Wiktoria zamknęła dziennik.

Nie czekając na odpowiedź, Toni stanął za jej plecami i rąbnął pięścią w blat. Kałamarz podskoczył, brzęknął kielich, a z zaciśniętej dłoni wypadł czaroitowy wisior wraz z łańcuszkiem.

Tyszkowska pobladła, ale szybko zmusiła się do uśmiechu.

– O! Gdzie go znalazłeś?

Toni obszedł stół, szurnął krzesłem i zasiadł naprzeciwko niej.

– A jak myślisz?!

Uniosła pytająco brwi.

– Zgubiłam wisior w parku podczas przechadzki. To chyba cud boski, że udało ci się trafić na taki drobiazg!

– To cud boski, że nie poszedłem z tym prosto do Józefa – syknął, przybliżając do niej wykrzywioną gniewem twarz. – Jak mogłaś?!

– O co ci chodzi?

– Co masz wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny?! Przyznaj się!

– A do czegoż mam się przyznać? Święci pańscy, mój własny syn wydaje na mnie wyrok!

– A co innego mogę sądzić, kiedy medalion znaleziono przy brzegu, a łańcuszek w ręku tej nieszczęśnicy! Zawsze ci zawadzała, nienawidziłaś jej!

Poczuła suchość w ustach. Rozejrzała się za węgrzynem. Wstała i powoli okrążyła pokój, szeleszcząc swą najlepszą indygową suknią. Włożyła ją specjalnie dla Maksa, ale się nie pojawił.

– Ciekawy koncept, mój synu. – Natrafiła wreszcie na zakorkowaną butelkę, ale przyjrząwszy się jej pod światło, odstawiła z powrotem.

Smarkula, która zajmowała się winem, wciąż leżała w szpitalnej izbie. Jeśli umarła, do przynoszenia napitków powinien być oddelegowany ktoś inny. Ach, wieczne nieochędństwo w tym dworze!

– Popełniłaś morderstwo, matko?

Cichy, napięty głos wyrwał ją z zamyślenia. Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Masz na myśli tę buraczaną dziewczkę? Chyba oszalałeś! Nie pobrudziłabym sobie rąk chamską krwią!

– Więc dlaczego znalazłem przy niej twój łańcuszek? I dlaczego posługaczka ze szpitala znalazła twój medalion obok stawu?

Wiktoria energicznie pociągnęła za chwost dzwonka. Nie minęła sekunda, kiedy w drzwiach pojawiła się służąca.

– Przynieś wody.

– I węgrzyna! – polecił Toni.

Oboje poczekali, aż pokojówka po przepisowym dygnięciu wymknie się bezszelestnie na korytarz.

– Więc? Wytlumaczysz mi się, matko?

– Nie muszę się tłumaczyć, bo nie zabiłam tej chamki, choć przyznaję, niezbyt ją lubiłam. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co przy stawie robił mój medalion, może powinieneś zacząć nie ode mnie, ale od tych, którzy go znaleźli.

– Co sugerujesz?

Tyszkowska uśmiechnęła się kpiąco.

– Powtarzasz ciągle, że nie znosiłam Ludki, ale zapominasz o kimś, kto nie znosił jej jeszcze bardziej. A przecież twoja luba Katrusia od zawsze patrzyła łakomym okiem na Sepka! A także na rządcę. Nie udawaj, że tego nie widziałeś! Pewnie ona znalazła medalion, a potem namówiła tę szpitalną dziewczkę, by skłamała!

– To absurd! Przecież Katja uratowała Ludce życie!

– Bo twój brat ją o to poprosił. Chciała zyskać sobie jego wdzięczność. Proste. Dla ciebie niekoniecznie proste, ale dla kobiety...

Zerwał się z krzesła jak oparzony.

– To nieprawda! Bzdury i kalumnie! Jak Katja mogła chcieć śmierci kogoś, komu uratowała życie?!

Matka spojrzała mu prosto w oczy!

– Kobiety są zdolne do gorszych czynów, kiedy kochają. A do najgorszych, kiedy nie są kochane.

Nie zdążył przetrwać tych słów, gdy rozległo się pukanie i do środka wśliznęła się ta sama, co uprzednio pokojówka z tacą, na której stała napełniona wodą karafka z rżniętego szkła oraz omszała butelka węgrzyna.

Służąca bezszelestnie przemieściła się w stronę stołu, kiedy Tyszkowska nagle chwyciła ją za ramię.

– Skąd wzięłaś wino?

Dziewczyna skuliła się. Karafka i butelka jakimś cudem utrzymały pion.

– Z piwniczki – odparła strachliwie. – Jak zawsze.

– To nie ta butelka! Mówiłam przecież, że ma być węgrzyn ze składu po lewej stronie! A ten jest ze składu po prawej!

Służąca wbiła wzrok w dywan.

– Proszę jaśnie panią o wybaczenie. Emilka, która zajmowała się winem, zachoro...

Chłasknięcie w policzek przerwało jej w połowie zdania. Posługaczka pod wpływem ciosu aż uklękała.

– I ty do niej dołączysz, jeśli nie będziesz słuchać, co mówię! Zostaw wodę, a wino zabierz. A teraz wyjdź.

Pokojówka drżącą dłonią umieściła karafkę na stole i zrobiła krok w stronę drzwi.

– Wino zostaje! – odezwał się rozkazującym tonem Toni. – To omszałe jest znakomite! Pamiętam, jak dziadek sprowadzał je jeszcze od Fukiera!

Pokojówka przystanęła, wodząc bezradnym wzrokiem od pani do pana i z powrotem. Czekwała na decyzję.

– Powiedziałam: wyjdź – poleciła Wiktoria. – Zawóz nie jest własnością jaśnie pana i on nie wydaje tutaj poleceń.

– Podobnie jak obecna tu czcigodna pani Tyszkowska. Rozkazy w tym domu, miła dziewczeczko, wydaje moja babka, która nigdy nie odmówiłaby spragnionemu wina z rodzinnej piwnicy. Nieważne, czy z lewej, czy z prawej strony.

Przerazona pokojówka potruchtała szybko do drzwi. Toni dogonił ją i szybko pochwycił wino z tacy, nim Wiktoria zdążyła zareagować. Stłukł szyjkę o ścianę (nienawidziła tego gestu rodem ze speluny) i uniósł butelkę w stronę matki, jakby spełniał toast.

– Twoje zdrowie! – Sięgnął po szklanekę i napełnił ją trunkiem.

– Nie pij tego!

– Nie bój się, nie powiem Sepkowi o medalionie. Pękłoby mu serce na wieść, że jego własna matka ma coś wspólnego ze śmiercią Ludmiły.

– Nie jestem winna śmierci tej dziewczki! – wybuchnęła. – Ile razy jeszcze mam to powtarzać?!

Zerwał się od stołu.

– Nieważne, ile razy to powtórzysz! Nie wierzę ci!

Wyminął ją jak powietrze i wyszedł, trzaskając drzwiami.



**P**obiegła do salonu. Wzięła długi kij, który służył Maciejowej do przesuwania zasłon, a potem, przyświecając sobie świeczką, zeszła do



piwniczki z winem. Dokładnie zamknęła drzwi. Wzięła zamach i rąb-  
nęła w rząd omszałych, wartych krocie butelek. Florian Fukier – ulu-  
biony dostawca Adama Giebułtowskiego, gdyby żył, dostałby teraz za-  
wału. Rozległ się wściekły brzęk. Stare maślacze i aszu rozprysnęły się  
na wszystkie strony niczym tryskająca z tętnicy krew. Kawałki szkła  
strzeliły dookoła, jeden z nich niemalże wbił się Tyszkowskiej w stopę.

Zastanowiła się, czy ktoś usłyszy dobiegający z piwnicy hałas, ale  
szczerze mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Wytłukła kijem resztę bute-  
lek, pozostawiając po prawej stronie piwniczki puste miejsce. Była bez-  
nadziejną matką, ale nawet beznadziejna matka nie pozwoli otruć się  
swoim dzieciom.

Opuściła ręce.

Oparła kij o kamienną ścianę i odetchnęła głęboko.

Może zrobiła błąd. Może powinna zostawić coś dla Maksymiliana,  
żeby go ukarać? Zobaczyć go cierpiącego – czy to by jej sprawiło przy-  
jemność...? Tylko cierpiącego, nic więcej. Bezsennego, z bolącą głową,  
gorączką, brakiem apetytu. Z delikatnym skrętem kiszek, niewielką, acz  
uporczywą kolką, śmiesznym drzeniem kończyn, wreszcie wydanego  
na pastwę halucynacji i omamów. Powolne szaleństwo narastałoby  
dzień po dniu, tak samo jak niebiesko-czarna obwódka na dziąsłach. Ta  
obwódka, zwana ołowiowym rąbkiem, gdy po raz pierwszy pojawiła się  
na nielicznych zębach Wincentego, była niczym kamień milowy w dro-  
dze ku wolności. Mówiła: tak, już niedługo, kochana Wiktorio, już nie-  
długo zasadzisz swoje kwiaty tam, gdzie ich miejsce. A przy okazji,  
sama rozkwitniesz – tak pięknie, jak jeszcze nigdy dotąd...

Długo umierał. Za mało pił...

Tyszkowska uśmiechnęła się do wspomnień i powoli, ostrożnie, wstą-  
piła na schody.

Pod jej stopami krąg światła ze świecy układał się identycznie jak  
trzydzieści lat temu, gdy w tej samej piwniczce postanowiła zmienić  
swoje życie.



**A**ntoni duszkiem opróżnił omszałą butelkę i oparł się o ścianę korytarza. Mąciło mu się w głowie, przed oczami wirowały szare plamy. Miał ochotę rozplakać się jak dziecko, teraz, tutaj, rąbnąć czołem o mur i zapomnieć na zawsze o matce i jej oskarżeniach, o Katji czarownicy, o bracie, którego zlekceważył, gdy ten potrzebował pomocy.

W kończynach czuł dziwne drżenie, serce mu łomotało. Wyrzucił za siebie butelkę, która jakimś cudem nie pękła, tylko potoczyła się z cichym brzękiem po podłodze.

Coś z niej wypadło, coś niewielkiego i błyszczącego. Zrobił kilka kroków i przystanął. Podniósł z podłogi ołowianą kulkę.

„Zwariowałem” – pomyślał.

Spojrzał w naścienne zwierciadło i ujrzał bladą zjawę z oczami płonącymi jak błędne ogniki na bagnach. Wyszczерzył się do swojego odbicia, a potem wolno powlókł wzdłuż korytarza. Gdy stanął na wprost sypialni, tak zawirowało mu w głowie, że musiał się oprzeć o drzwi. Był pijany, bezsprzecznie i kompromitująco, jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że jego organizm zbyt entuzjastycznie reaguje na dawkę węgryzyna, której niegdyś nawet by nie zauważył.

„Starość” – pomyślał.

Namacał klamkę, pchnął drzwi i zdrętwiał.

Ktoś był w sypialni.



**A**dam Giebułtowski, ojciec Wiktorii, był zapalonym wędkarzem. W świeżo zasadzonym parku nakazał wykopać staw, do którego

wpuszczał odłowione w Solince ryby. Większość z nich zdychała po kilku dniach, ale reszta jeszcze przed śmiercią sprawiała jaśnie panu radość, pozwalając się złapać na przynętę zamocowaną do ołowianego ciężarka.

Kilka lat później Adam Giebułtowski umierał podobnie jak jego ryby – tak samo rzucał się i dusił, kiedy ostre zapalenie płuc (a nabawił się go podczas deszczowej wyprawy do parku) odebrało mu życie. Zostawił po sobie nieutuloną w płaczu córkę Wiktorię, piwnicę pełną luksusowego węgryna, park, wdowę z długami za tenże park oraz kilkanaście pudełek wypełnionych ołowianymi ciężarkami do wędkowania.

Właśnie te ostatnie wywołały w Wiktorii przyspieszone bicie serca, gdy po długim, odprawionym w rześnistym deszczu pogrzebie, zeszła do piwnicy rozgrzać się winem. Pomna tego, co przeczytała onegdaj w liście swego szwagra, pojęła, że owe niewinne, szarobure bryłki niosą jej upragnioną wolność i wyzwolenie spod mężowskiej tyranii. Rzecz jasna, nie od razu, ale czyż Księga Przypowieści Salomona nie uczy, że „W cierpliwości zaznacza się roztropność człowieka?”<sup>[25]</sup>. Wincenty powtarzał te słowa do znudzenia!

Wiktorię targnęły wątpliwości, ale zdusiła je w zarodku. Wystarczyło pomyśleć, że nazajutrz wraca do domu, do męża...

Nucąc pod nosem, odkorkowała ojcowskie butelki węgryna i do każdej z nich wrzuciła po dwa ołowiane ciężarki. Zakorkowała na powrót wszystkie wina. Uniosła jedno z nich pod światło świecy i potrząsnęła. Ciężarki zagrzechotały, a Wiktorcia z radości ucałowała butelkę.

Teraz pozostawało tylko pójść do matki i oznajmić, że zabiera ze sobą wino dla Wincentego. Zadanie było tym łatwiejsze, że Rozalia nie piła nic poza miodami i gdańską wódką, a węgryn po śmierci gospodarza z pewnością stałby się łupem dla lokajów. Poza tym Wincentego znano z jego sknerstwa, więc zamysł, że dobra żona wiezie mu wino po zmarłym teściu był jak najbardziej wiarygodny.

Nazajutrz z samego rana Wiktorcia, pobłogosławiona przez matkę, zasiadła w swym zdezelowanym, zaniedbanym przez mężowskie skąp-

stwo powozie i ruszyła w podróż do Jamnej. W wypełnionych sianem skrzyniach, załadowanych na chłopską furę, wlokącą się za powozem, chlupotało czterdzieści flaszek węgryzna doprawionego osiemdziesięcioma ciężarkami ołowiu. Wiktoria wyobrażała sobie, jak metal puszcza swój słodki jad, nadając winu smak i czyniąc go podobnym najwykwintniejszym trunkom.

Podczas postoju, gdy konie odpoczywały, a bieszczadzkie wichry były przez szpary w powozie i cięły po plecach lodowym podmuchem, Wiktoria drżącymi rękami rozkładała stary, przedślubny jeszcze list Pawła i raz po raz odczytywała go na głos, by nie uronić żadnego szczegółu.

*„Droga Wiktorko!” – pisał szwagier. „Wiem od Wincentego, żeś bardzo kontenta z moich ołowianych donic. Cieszy mnie to niezmiernie i wierz mi, że gdyby tylko były cokolwiek lżejsze, przywiózłbym ci ich całą kopę! Tutaj jednak, w Szwabii, gdzie od kilku miesięcy przebywam, grzebiąc w archiwach i bibliotekach w poszukiwaniu rozmaitych ciekawostek – cokolwiek z ołowiu wykonane, budzi niezwykłą niechęć u ludności (kusi mnie niezmiernie, by kiedy zapytać, jakimi kulami strzelają, skoro ołów u nich w takiej nienawiści!).*

*Historia tej niechęci ma prawie sto lat z okładem i wzięła początek od tutejszego lekarza, Eberharda Gockela, który opiekował się mnichami z ulmskich klasztorów. Braciszkwowie zapadli na dziwną chorobę, która poczyniała się od bezsenności, bólów kończyn, halucynacji i utraty apetytu, stopniowo przechodziła w stan ostrzejszy, dając objawy skrętu kiszek, a kończyła ślepotą, głuchotą, paralizem, szaleństwem i wreszcie śmiercią. Doktor długo zastanawiał się, co też dolega sługom bożym, obserwował ich jadłospis i zwyczaje, i rychło zauważył, że chorują tylko ci braciszkwowie, którzy codziennie spożywają wino z klasztornej piwnicy. Nie widział innego wyjścia, jak tylko samemu się tego wina napić i w ten sposób, na własnym przykładzie, przeegzaminować objawy. Jak pomyślał, tak zrobił. Po kilku dniach u doktora pojawiły się dolegliwości podobne do tych jakie dotknęły zakonników: rozmaite bóle, biegunki i zaparcia, a także dziwne, czarne zabarwienie dziąseł. Jakież było zdumienie Gockela, kiedy w klasztornej chorobie dostrzegł podobieństwo objawów do dobrze znanej Hut-*

*ten-Katze, zbierającej śmiertelne żniwo wśród hutników, górników i garncarzy! Zaobserwował, że u rzemieślników tych, niezależnie w której części Niemiec mieszkali, łączyło jedno: praca w oparach ołowiu. Gockel zaciekawiał się, skąd w klasztorным winie ołów, i wtedy braciszkwowie wyjawili doktorowi, że ich ulubiony winiarz i dostawca w jednym, miesza trunek z ołowianą glejtką<sup>[26]</sup>. gotowaną w occie, co nie dość, że najgorszego sikacza zmienia w szlachetny napitek, to jeszcze dodaje słodczy i konserwuje trunki na długie lata. Podekscytowany odkryciem doktor opublikował na ten temat rozprawę<sup>[27]</sup>, która trafiła do rąk samego księcia Eberharda Ludwika Wirtemberskiego, a władca po zapoznaniu się z nią wydał zakaz słodzenia wina ołowiem. Co rusz jednak zakaz ten łamano i nawet w dzisiejszych czasach spotyka się fałszowane wina, nie tylko niemieckie, ale i węgierskie. Powiadają „Nullum vinum nisi hungaricum”, co się tłumaczy „nie ma wina nad węgryzna”, ale któż zaręczy, że nie padł ofiarą oszustów i że nie pije najpodlejszego, kwaśnego trunku osłodzonego ołowianą glejtką...?”.*

List kończył się życzeniami szczęścia i powodzenia na nowej drodze życia oraz zapowiedzią rychłych odwiedzin, których Wiktoria niestety nie doczekała.

Paweł zmarł kilka lat później na tyfus. Szkoda, że nigdy się nie dowiedział, jak wielką inspiracją stał się ten list dla jego młodziutkiej bratowej.



**A**ntoni wyciągnął przed siebie świeczkę. W pełgającym płomyku ożyły cienie na ścianach, zadrgały komody ustawione wzdłuż ścieżki prowadzącej w głąb pokoju. Zauważył, że jemiola zniknęła z sufitu, a na łóżku, z jedną bosą stopą wspartą na haftowanej, tureckiej kołdrze, a drugą na nocnej szafce stoi czaroducha z koszem i odpina zielone gałązki od baldachimu. Tego samego, do którego on, Tyszkowski, z niemałym trudem przymocował je kilka godzin wcześniej!

– Zostaw! – syknął.

11 stycznia 1823

*Od wczoraj nazywam się Wiktoria Tyszkowska i nienawidzę swojego męża. Ma odrażające plecy, porośnięte rzadkimi, czarnymi włosami! Dotknęłam tylko raz tej lepkiej skóry i wiedziałam, że więcej tego nie zrobię, za nic tego nie zrobię, nawet za wszystkie pieniądze, za które zostałam sprzedana. I ten ohydny smród! Smród obcego człowieka, który leży zbyt blisko i nie wiadomo kiedy sobie pójdzie.*

*Noc poślubna była gorsza od wszystkiego co kiedykolwiek przeżyłam. Rozpychał mnie, rozrywał od środka i przy każdym ruchu tłukł moją głowę o ramę łóżka coraz szybciej i mocniej, aż od uderzeń widziałam przed oczami gwiazdy. Brzuch mnie piekł i palił, jakby kto raz po raz wciskał mi między nogi płonącą żagiew. Płakałam, żeby przestał, że potwornie boli, a on powiedział, że dlatego boli, bo mu się z chęcią nie oddaję, a Pismo Święte każe „dawać pierwszeństwo mężowi” i że „żona ma być koroną dla męża”, i że cierniowa ze mnie korona, skoro już w pierwszą noc uwiera... Błagałam, żeby przestał, że następnym razem spełnię swe obowiązki, tylko żeby najpierw dał mi się do siebie przyzwyczaić. Przysięgałam, że będę najlepszą żoną, posłuszną, potulną i cichą, tylko niech przestanie! Płakałam tak i krzyczałam, wołałam matkę i ojca, pokojówki, służbę, wołałam ratunku, ale nikt nie nadchodził. Wincenty kazał mi się uspokoić, a potem zatkał mi usta poduszką. Krzyknął: „Milcz i spuść oczy!”*

*Dusiłam się, jęczałam, gryzłam tę poduszkę, do tej pory pamiętam jej kolor i smak, i to jak wpychał mi ją do ust, aż na języku czułam kłaczki aksamitnej przędzy.*

*Krzyczał: „Zamknij oczy! W oczy patrzą tylko dziwki!”*

Zdanie urywało się w połowie ogromnym, rozlanym kleksem, a potem był kolejny wpis, z piątego lutego. Pismo było już drobniejsze, spokojniejsze, gdzieś tylko wychodziło poza linijkę. „Pogodzone z losem” – pomyślała Wiktoria.

*Jestem w podróży poślubnej. Wincenty mówi, że Graz jest drogi, dlatego nie-  
długo tu zabawimy, a poza tym dla niewiasty przy nadziei podróż powozem jest  
niewskazana. Zdziwiłam się, skąd to przypuszczenie. Odrzekł, że wypytał poko-  
jówki o to, kiedy przypada moja miesięczna nieczystość, żeby naznaczyć datę  
ślubu i nie używać swoich męskich sił inaczej niż na potomstwo. „Biblia każe  
wystrzegać się marnotrawstwa” – powiedział, a potem oświadczył, że zakazuje  
mi tańczyć w karnawale: raz, że dla dobra dziecka, a dwa, dla oszczędności, bo  
wiadomo, że karnawał wymyślono tylko po to, by krawcom, szewcom i fryzjerom  
zapewnić utrzymanie. Kiedy zapytałam, co złego jest w karnawale, skoro Kościół  
pozwała się bawić, Wincenty odrzekł, że odmawianie przyjemności żonie jest ko-  
nieczne, by przyuczyć ją do posłuszeństwa. Albowiem powiedziano w Piśmie:  
„daję ci męża, aby nad tobą panował” i „gorsza niż śmierć jest kobieta”, a on  
przecież nie chce mojej śmierci, tylko mego dobra.*

*Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale odpowiedział mi cytatem z ewangelii Ma-  
teusza: „nie bądźcie gadatliwi jak poganie”. Zamilkłam więc i tak milczałam  
całą drogę aż do Jamnej.*



**K**atja krzyknęła i upuściła koszyk, z którego wypadły receptariusz  
i jemiola. Kilka przezroczyстых owoców potoczyło się pod nogi An-  
toniego. Z furją rozgniół je butem.

– Jak śmiesz tu myszkować?!

– Ja... – zaczęła, a potem się zachwiała. Dotknęła brzucha. Nogi się  
pod nią ugięły i uklękła.

Dopał łóżka, zanim zdążyła z niego spaść. Chwycił ją wpół i rzucił na  
plecy. W jednej dłoni zamknął oba wąskie nadgarstki i ścisnął.

Patrzył teraz na przyczynę wszystkich swoich nieszczęść, przeklętą  
istotę z piekła rodem, która ukradła mu duszę i radość życia. Trzymał ją

mocno, nie puszczał, przyglądał się z bliska urocznym oczom, uchu odgryzionemu przez diabła, palcom zielonym od zadawania trucizn niewinnym ludziom, na wychudłą, jakby wyschniętą twarz. Ostre rysy, ciemne żyłki odznaczające się na policzkach, jak dopływy górskiej rzeki, oto prawdziwe oblicze takich jak ona! Wybełkotała coś, więc jak poprzednio zatkał jej usta, dostrzegając coraz więcej, coraz wyraźniej, kto go opętał: wiedźma, czarci pomiot, demon utkany z mroku! Nosem wychwytał złowróźbny opar unoszący się nad jej ciałem, jakby smród palącego się stosu czarownic. Polizał czarny ślad na jej policzku i wyczuł smołę prosto z piekła, cierpką i gorzką jak dziegieć.

– Oddawaj! – wysapał do odciętego ucha. – Oddawaj albo sam ją wezmę!

Wyjęczała coś błagalnie, ale tylko docisnął dłoń.

Chciał patrzeć jej w oczy, jak będzie łąać i zaklinać się, że nie skradła mu duszy.

– No! – syknął jej w twarz. – Kłam, piekielnico! Co teraz wymyślisz, żeby mnie zwieść?! Masz ostatnie słowo! Oddawaj moją duszę!

Wyprężyła się jakoś dziwnie, zadrżała.

A potem rzuciła się w bok, za krawędź łóżka i zwymiotowała na wypolerowaną podłogę.

Toni odskoczył.

Plecy Katji trzęsły się spazmatycznie, kark lśnił od potu. Wsparta na łokciach oddychała głośno.

– Przepraszam – szepnęła.

Otarła usta prześcieradłem.

– Nie przepraszaj. Służba posprząta.

Wstał z łóżka.

Wstrząs wywołany tym, co zobaczył, powoli wwierał się w otępiały mózg Antoniego. „Wyrzygała moją duszę” – pomyślał. „Więc tak wygląda dusza. Tak wygląda twoja dusza, panie Tyszkowski!”.



Przeniósł wzrok na dziewczynę, która drżała skulona na łóżku. Potwornie zapragnął węgryzna, ale chociaż w butelce jeszcze sporo go zostało, odwrócił głowę.

„Tak wygląda twoja dusza. Tym jesteś, panie Tyszkowski. Kałużą rzygów!”.

Podszedł do stojącego w rogu sypialni wiadra z zimną wodą. Uniósł je nad głowę i skierował strumień lodowatej wody do gardła, a potem wylał resztę na siebie. Wstrząsnął się jak mokry pies. Zacisnął powieki i otworzył je, po raz pierwszy od kilku dni łapiąc ostrość widzenia.

Katja jęczała cicho, trzymając się za brzuch. Podwinęła nogi. Splątane włosy opadły jej na twarz.

– Wstań! Pomogę ci.

– Niech mnie pan nie dotyka! – krzyknęła straszonym głosem.

– Wiem, że mnie nienawidzisz, ale nie ma tu nikogo, kto przyszedłby ci z pomocą. Chodź. – Wyciągnął rękę. – Musiałaś zjeść coś nieświeżego...

– Mam zarazę!

Spojrzała mu w twarz, a wtedy Tyszkowski oniemiał. Oczy Katji były zapadnięte i zmatowiałe, czoło pokrywał kroplisty pot. Znowu jęknęła, przyciskając ręce do mostka. Pochyliła się w przód, zadrżała.

Toni stał jak sparaliżowany. Na myśl przyszła mu Ludmiła, potem własny brat. Potem Dmytro, Anielcia, wszystkie te pomniejsze, ale równie straszne śmierci, które osaczały go jak kokon. A teraz...? Ma patrzeć, jak Katja umiera na cholere? Jak wędnie, majaczy, wysycha na wiór, wije się w potwornych męczarniach...? Matko Boska Kalwaryjska, tylko nie to!

Potał skronie, modląc się, by węgryzn wywietrzał jak najszybciej. Podszedł do krzesła. Zdjął z oparcia swój surdut i nałożył go na dziewczynę, wsuwając jej ręce w za duże rękawy. Nie protestowała, ale widział, jak wzdraga się od dotyku.

„Zasłużyłem sobie” – przemknęło mu przez myśl.

Kiedy zapiął ostatni guzik w surducie, dziewczyna usiadła i opuściła nogi poza krawędź łóżka. Powoli wstała. Odepchnęła jego rękę. Zrobiła krok i prawie natychmiast padła na kolana, chwytając się za brzuch.

Toni pochylił się i dźwignął ją na ręce. Drżała.

– Sama pójde! Niech mnie pan puści! Gdzie mój receptariusz? Niech pan mi odda mój receptariusz!...

Mówiła coś jeszcze, ale tak beładnie, że nie mógł zrozumieć słów. Szczękała zębami, wierciła się w jego uścisku, płakała. Toni czuł gładki, mokry policzek w zagłębieniu szyi, popielate włosy łaskotały go w usta.

– Cicho – burknął, idąc do drzwi. – Raz w życiu mnie posłuchaj i uspokój się. Czarownice nie chorują na cholere.

– Więc już pan wie, że nią nie jestem.



**C**hrzczenie wina Wiktorii przeprowadzała jeszcze dwukrotnie podczas wizyty w Zawozie, za pierwszym razem wrzucając po dwa ciężarki na butelkę, za drugim – trzy. Posłodzone ołowiem węgrzyny po raz kolejny pojechały do Jamnej i oprócz tego, że wybornie smakowały małżonkowi, to jeszcze przykuły go na stałe do łóżka. Jedyne, co niepokoiło Wiktorię, to obecność dorastających synów – zamknęła więc ołowiane wina w specjalnej ziemiance na klucz i nosiła go stale przy sobie. Węgrzyn przynosiła małżonkowi osobiście, a gdy wlewała do kielicha szlachetny trunek, wspominała fragment z Księgi Przysłów:

*„Nie patrz na wino, jak się czerwieni,  
jak pięknie błyszczy w kielichu,  
jak łatwo płynie przez gardło:  
bo w końcu kęsa jak żmija, swój jad niby wąż wypuszcza”<sup>[28]</sup>.*

Wincenty pożegnał się ze światem na początku kwietnia czterdziestego szóstego roku, tuż po pierwszym ataku chłopotstwa na szlacheckie dwory. Cierpiał już wtedy na rozległy paraliż, bywały momenty, że tracił mowę i słuch, nie mógł jeść z powodu jelitowej kolki, a całe jego dziąsła pokryły się smolistym osadem. Zwidy i halucynacje zastąpiły mu rzeczywistość. Do swej żony krzyczał, że jest bezbożnicą, a do synów, że wdali się w matkę i tylko szczerą pokutą okraszona modlitwą może przywieść ich do opamiętania.

*„Twoje oczy dostrzegą rzeczy dziwne,  
a serce twe brednie wypowie”<sup>[29]</sup>*

– powtarzała w myślach Wiktoria, ocierając mężowi zaślinioną brodę, a potem pytała słodko: „Może winka, skarbie? Zobaczysz, poprawi ci nastrój”.

Nie wiadomo, czy Wincenty zaczął coś podejrzewać, czy też do końca życia tkwił w nieświadomości, faktem jest, że tuż przed śmiercią zawezwał do siebie młodziutkiego podówczas zakonnika Bernarda i długo się spowiadał.

Nad ranem, czwartego kwietnia, gdy wiadomo było, że Wincenty nie dożyje końca dnia, Bernard podszedł do pogrążonej w rozpacz Wiktorii i wręczył jej złożony we czworo papier.

– Jaśnie pani to zgubiła – oświadczył z fałszywym uśmiechem.

Ten uśmiech nie spodobał się Tyszkowskiej nic a nic, więc szybko rozwinęła kartkę i zamarła na widok dobrze jej znanego listu Pawła Tyszkowskiego, streszczającego swej bratowej tajemnicy choroby zwanej piktawską kolką, saturnizmem lub ołowicą.

Wiktoria wydała z siebie głuchy jęk. Sługa boży nie spuszczał z niej wzroku.

– Czego chcesz za milczenie? – warknęła, chowając list w zanadrze. – Pieniędzy? Wioski? Stanowiska?

– Wszystkiego po trochu, jaśnie pani.

Wiktoria spojrzała mu głęboko w oczy.

– Porozmawiam z matką. Sprawuj się jak należy, a dostaniesz ciepłą posadkę w Zawozie. Matka jest pobożna, ale ode mnie nie wymagaj, bym uczęszczała na msze.

Niedługo później przedstawiła Rozalii Bernarda, zachwalając jego atuty jako duchownego i wynosząc pod niebiosa dobrodziejstwa związane z posiadaniem we dworze własnego spowiednika.

W dniu pogrzebu (który celebrował oczywiście Bernard) Wiktoria włożyła gustowną czarną suknię i ustawiła w oranżerii otwartą trumnę otoczoną szpalerem amarylisów wyrastających z ołowianych donic. Wincenty wyglądał godnie: na szyi miał krzyż, w ręku Pismo Święte, a pod głową aksamitną poduszkę.

Na uwagę matki, że poduszka jest cokolwiek powycierana i nie wypada jej wystawiać na widok publiczny, Wiktoria odparła ze wzruszeniem:

– To pamiątka, mamó. Po naszej nocy poślubnej.



O budziła się w nie swoim łóżku. A może tylko odzyskała przytomność? Poruszyła głowę i przeciągnęła językiem po spierzchniętych wargach. Jęknęła. Chciało jej się pić, a wtedy czyjaś szeroka, porośnięta czarnymi włosami ręka przytknęła kubek do jej ust.

– Żywa Łza – usłyszała głos Antoniego. – Pij, Sarnino.

Zakrztusiła się.

Odruchowo chciała wstać i uciekać, ale owłosiona ręka przytrzymała ją w miejscu.

– Leż.

Przez szparki powiek widziała podwinięte do łokci rękawy koszuli, z których wylaniały się te wstrętne łapy, smagłe, żylaste i grube jak jej, Katji, udo. Bała się tych rąk, wciąż czuła ich gorący ciężar na twarzy i nadgarstkach.

– Pij, powiedziałem!

– Gdzie ja jestem? – spytała słabym głosem. W głowie miała mętlik, w uszach – dziwny, brzęczący szum.

– W najlepszym miejscu dla chorych na zarazę, w naszym szpitaliku. Wypijesz to wreszcie czy mam cię zmusić?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jedna łapa przytrzymała tył jej głowy, a druga przycisnęła kubek do ust. Katja opróżniła naczynie, czując słodko-słony smak Żywej Łzy.

– No, nareszcie. Bo już chciałem zatkać ci nos i wlać to do gardła, jak w wojsku.

Otworzyła oczy. Jak na zawołanie otoczyły ją zatroskane twarze: Lesi, Heli i Maksymiliana.

– Jak się panna czujesz? – spytała Hela pierwsza, a jej broda zadrgała od wzruszenia. – Może czegoś trzeba? Przynieść co? Możeś panna głodna...?

Katja pokręciła głową. Była strasznie, przerażająco słaba, miała uczucie, jakby żołądek wskoczył jej do gardła i tam pozostał, wywołując potworne mdłości. O jedzeniu nawet nie mogła myśleć.

– Wlaliśmy w pannę pół litra dekoktu z magnolii, katalpy i jeżyny – odezwał się Maksymilian. – Na osobiste polecenie obecnego tu pana Antoniego, który nie dość, że sam wszystkie składniki pozbierał...

– Sam z siebie! – wtrąciła Lesia.

– ...to w dodatku wszystkie sam skroił i wymieszał. Powiedział, że panna mu pokazałaś, co i jak.

– Całe to zielarstwo to babranina i zawody w śmieceniu – zabrzmiał głos Antoniego, na co aptekarka odwróciła głowę.

Tyszkowski siedział tuż obok łóżka, w poręczowym krześle. Widać było, że spędził w szpitaliku dłuższy czas, bo szczecina porastająca policzki jaśnie pana przybrała smolisty kolor, jak gdyby twarzą wyszorował komin od środka.

– Jak długo tu jestem? – spytała Katja.

Antoni wyjął zegarek z kieszonki na piersi i uśmiechnął się do niego. Jego zielone oczy błysnęły w oczekiwaniu na jakąś podłą uciechę.

– Wystarczająco długo, żeby spróbować specjalności szefa kuchni.

Wstał i odszedł w stronę aptecznego składziku. Katja odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Boże Myłj – zwróciła się do Maksymiliana – więc jak długo tu jestem?

– Trzeci dzień – pospieszył z wyjaśnieniem rządca. – Pan Antoni przyniósł pannę na rękach, dał nam receptariusz i kazał ratować. Niczego panna nie pamięta?

Katja zaprzeczyła. Miała wrażenie, że wraz z pobytem w szpitaliku prócz kilku dni umknęło jej coś ważnego.

– A jak sobie poradziliście beze mnie?

– Niech się panna rozejrzy.

Aptekarka chciała tak zrobić, ale głowy Heli, Lesi i Maksymiliana przysłaniały jej widok. W końcu ktoś z chorych zawołał do siebie pielęgniarki i dziewczęta oddaliły się w stronę łóżek.

Katja zamrugła.

W nogach jej łóżka siedział Danił. Zajadał z miski jaglaną kaszę, głośno przy tym ciamkając, a paroch i księdzowa – każde ze swojego posłania – psykali na syna, by ciszej się zachowywał. Z ich twarzy zniknęła chorobliwa siność, a choć małżonkom było jeszcze daleko do zdrowia, wyglądali znacznie lepiej, niż aptekarka zapamiętała. Na sąsiednim łóżku Emilka kiwała głową do słów starego Macieja, który półgłosem opowiadał jej o drzewach nasadzonych u Sapiehów w Krasiczynie.

„Kiedy rodzi się syn, sadzą dąb, kiedy córka, to lipę, a kiedy pijak – sadzą korkowiec” – usłyszała Katja. Uśmiechnęła się.

Poszukała wzrokiem Bartusika. Leżał na sienniku pod oknem, obwiązany bandażami jak szynka sznurkiem i czytał „Lwowską Gazetę”. Obok niego znajdował się jakiś nieznany mężczyzna, a w dalszej części izby trzy starsze kobiety. W ogóle pamięć aptekarki musiała szwankować, bo cały szpitalik – choć nieśmiało – pachniał powracającym życiem, tak jak kiedyś cuchnął ekskrementami i śmiercią.

– Jak się panna czuje?

Drgnęła i ujrzała swego nastoletniego admiratora, kuchcika Prokopa, który szedł o własnych siłach środkiem sali. Posłał jej powietrznego całusa.

„Dobrze!” – chciała odkrzyknąć, ale ubiegł ją znajomy, gburowaty głos:

– Wracaj do łóżka, oberwańcu, bo jakżeś taki zdrowy, to zaraz ci znajdę robotę!

Prokop umknął z pola widzenia jak zdmuchnięty, a przy łóżku aptekarki zjawił się Antoni z kieliszkiem chrzanowego soku.

– Aleś narobiła, Sarnino! Wieść się rozeszła, że chorzy zdrowieją, i teraz ze wsi nam przyszło czterech zdechłaków do leczenia. Pewnie myślą, że ja, Tyszkowski, będę codziennie wszystkich uczył, jak wyciskać chrzan i mieszać zioła dla chamów! Niedoczekanie! Dlatego muszę cię szybko wyleczyć, żebyś odjęła mi obowiązki. – Podsunął kieliszek pod nos Katji. – No to do buzi, jak mawiają Francuzi!

Skrzywiła się, jej oczy zaszyły łzami.

– No, Sarnino. Śmiało. Chyba nie chcesz, żeby wszyscy pomyśleli, że boisz się własnych przepisów...? Świeżutki, pyszniutki soczek, chorych uzdrawia, a martwych przywraca do życia.

Zadrzała. Ta myśl, która umknęła jej wcześniej, nagle objawiła się w całej jaskrawości.

– Jaśnie panie – spytała, odsuwając kieliszek od ust – a jakże czuje się pański brat? Żyje? Niechże pan powie, że żyje!

Przez twarz Antoniego przemknął cień.

– Niechże mi pan powie! – Podparła się na łokciach i usiadła, wpatrując się z nadzieją w gniewne, zielone oczy. – Więc żyje! – jęknęła, nie kryjąc ulgi. – A kto się nim opiekuje?

– Ja.

– P...pan...? – zająknęła się.

– Ja! – warknął i z trzaskiem odstawił kieliszek na szafkę obok łóżka. – Oraz matka, babka, ochmistrzyni i cała reszta zapatrzonych w niego bab! Tylko ciebie brakuje w tym towarzystwie! Zdrowiej szybko!

Zaklął i oddalił się, łomocząc obcasami.

Katja opadła na poduszki. Jej wargi mimowolnie wymówiły dziękczynną modlitwę, a oczy wypełniły się łzami ulgi.

Józef żył!

Żadne szczęście nie mogło się z tym równać i żadne panaceum!



Świtało, gdy Maks wpadł do jej sypialni. Ledwie przytomna otworzyła oczy i ramiona, gotowa przyjąć niewiernego kochanka, kiedy nagle, ku swemu zdziwieniu zauważyła, że młodzieniec trzęsie się jak galareta.

– Żandarmi! – wyjąkał, cały dygocąc. – Jadą po mnie! Zabij mnie, zastrzel, zrób, co chcesz, ale nie pozwól, by mnie znów uwięzili w Spielbergu!

Wiktoria zapaliła świeczkę. Nikły ogienek oświetlił szarą z przerażenia twarz mężczyzny, który klęczał przy łóżku ze splecionymi dłońmi, jak chłopiec klepiący wieczorny pacierz.



– Żandarmi? – spytała z niedowierzaniem, ukradkiem ścierając z twarzy nadmiar wygładzającej zmarszczki goździkowej oliwy. – Skąd? Jak? Przecież błoto potężne, a poza tym nikt ich tu nie wzywał!

Maks przełknął ślinę.

– Zauważyłem ich przez okno, jak ciągną w górę do dworu. Jest ich trzech. Za chwilę tu będą!

Wiktoria wstała. Narzuciła na ramiona szlafrok, zastanawiając się, czy Maksowi przypadkiem się nie przywidziało. Prawdopodobieństwo, że ktoś wyszedł kryjówkę zbiegłego więźnia, było niewielkie, ale mieszkali przecież wśród ludzi, z których każdy mógł złożyć donos.

Ruszyła do drzwi, ale naraz przystanąła.

– A może przyszli z powodu utonięcia?

– Nie wierzę. – Pokręcił głową. – W okolicy nie ma nawet garnizonu, więc nie dowiedzieliby się tak szybko! Przyszli po mnie!

Urwał, bo dało się słyszeć głośnie pukanie do frontowych drzwi. Zbladł i ukrył twarz w dłoniach, czyniąc się podobnym do samego siebie sprzed lat, podczas pamiętnego szampana w jadalni. Wiktorii ścisnęło się serce.

– Maks. – Poglaskała go po głowie i przysiadła na łóżku. – To tylko trzech żandarmów. Nie przeszukają całego domu, więc nawet gdybyś miał godzinę lub dwie przesiedzieć w mojej szafie, na tym się skończy. Nie puszczę cię stąd. Prędzej poświęcę siebie niż mężczyznę, którego kocham. Rozumiesz...?

Spojrzał bezradnie. Położył głowę na jej kolanach, wtulił się w szlafrok. Łomot do drzwi rozległ się znowu. Wiktoria nie przerywała głaskania.

– Przysięgam ci, że dziś wieczorem siądziemy na ganku i wypijemy razem za twoją wolność.

Uśmiechnął się z wdzięcznością, jak dziecko oczekujące na niespodziankę.

– Czym? – szepnął.

– Gdańską wódką mojej matki. Żebyś stracił przytomność i na zawsze zapomniał o tych lafiryndach ze szpitalnej izby.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wycisnęła na jego ustach namiętny pocałunek. Zerwała się i pobiegła do wejścia. Pukanie nabrało już groźnych cech walenia pięścią.

– O co chodzi? – spytała gderliwie, wychodząc na ganek. – Nie dość, że cała służba chora na cholere i mu szę sama drzwi otwierać, to w dodatku władza prześladowuje mnie w środku nocy! Mnie, samotną wdowę!

Tak, jak Maks wspominał, było ich trzech. Znużonych, zdrożonych od marszu i prawdopodobnie mocno głodnych. Każdy miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Każdy drżał, bynajmniej nie z powodu urzędowej odpowiedzialności, ale z zimna. A po usłyszeniu słowa „cholera” drżenie wyraźnie się nasiliło.

– Niechże jaśnie pani wybaczy wizytę o tej porze – odezwał się żandarm stojący najbliżej, ściągając czapkę. – Ale poszukujemy znachorki.

Wiktorija przybrała zatroskany wyraz twarzy, choć jedyne, co teraz czuła, to ulga.

– Znachorki?

Żandarm wyciągnął z kieszeni munduru jakiś dokument, rozłożył go i siląc się na poważny ton, odczytał:

– Na wniosek lekarza powiatowego cyrkułu sanockiego, czcigodnego doktora Jacka Roztworowskiego, mam obowiązek aresztować niejaką Jekaterynę Szylak, włościankę birczańską, ale zamieszkałą czasowo w tutejszym dworze. Owa kobieta oskarżona jest o podważanie autorytetów medycznych oraz szkodzenie chorym poprzez posługiwanie się zakazanymi praktykami leczniczymi, guślarstwem, szarlataństwem i zabobonem. Dlatego z całą stanowczością w imieniu władz cyrkułu nakazujemy gospodarzom tego szlacheckiego domu niezwłoczne wydanie owej Jekateryny w ręce sprawiedliwości.

Tyszkowska już otwierała usta, by wyrazić swą wdzięczność za tak rychłą interwencję, gdy zza jej ramienia wychylił się Antoni.

– Za późno.

Wiktoria podskoczyła i odwróciła się gwałtownie. Jej syn wyglądał, jakby od kilku dni nie zmrużył oka.

– Kim pan jest? – spytał drugi żandarm.

– Antoni Tyszkowski potomek tej oto tu pięknej damy. Niestety, przybyli panowie za późno, gdyż ta dziewczyna... – zawiesił głos i spojrzał na matkę znacząco – ...nie żyje. Utopiła się w dworskim stawie. Mogą panowie obejrzyć ciało, ale ostrzegam, jest w strasznym stanie. Kilka dni leżało w wodzie.

Tyszkowska zacisnęła szczęki. Toni kłamał dalej.

– Ciało zanieśliśmy do dworskiej kaplicy i czeka na księdza, bo żaden nie chce pochować bisurkani. Czyli czarownicy, bo tak o niej mówili. Wiecie panowie, jak jest w takich małych osadach... Każdy boi się czarów.

Wiktoria patrzyła, jak przedstawiciele władzy kiwają ze współczuciem głowami. Trzeci z nich, do tej pory milczący, przeżegnał się głośno i spojrzał rozpaczliwie na pierwszego. Antoni odsunął się z przejścia.

– Śmiało. – Gestem zaprosił żandarmów do środka. – Do kaplicy korytarzem prosto jak strzelił. Zresztą czuć trupem, to łatwo panowie trafią. Proszę tylko nie pomylić drzwi i nie wejść do naszego cholerycznego szpitala, bo stamtąd też cuchnie jak z obory. Sranie, rzyganie, bąki jak z armaty... Ogród rozkoszy dla nosa.

Mężczyźni zawahali się. Pierwszy, wyglądający na dowódcę, bezgłośnie wymamrotał pod nosem przekleństwo.

– Macie tu epidemię? – burknął drugi żandarm.

– Jak wszędzie. – Antoni uśmiechnął się przymilnie. – Myślałem, że doktor Roztworowski poinformował władze o ognisku cholery w tutajszym stawie. Zresztą tym samym, w którym utopiła się ta nieszczęsna baba jaga, wybawiając nas wszystkich z kłopotu.

Zapadło długie milczenie, w trakcie którego Wiktoria klęła w myślach starszego syna. Rozważała „za” i „przeciw”. Mogła teraz łatwo wymazać

Katję spośród żywych. Czyż nie tego chciała...?

– Czy szanowna pani potwierdza te słowa?

Wiktoria z trudnością skupiła wzrok na rozmówcy. Dowódca wyjął z kieszeni notes i ołówek. Czekał.

– Tak – wymówiła pewnym głosem i odsunęła się z przejścia. – Dziewczyna nie żyje. Zaraz panowie przekonają się sami. Proszę za mną.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

Inspiracją do napisania niniejszej książki stała się „Zakazana legenda o hrabinie, co jej trumna w wodzie stoi” (zainteresowanych odsyłam do *Legend Kalwaryjskich* autorstwa o. Rafała Antoszczuka OFMConv.) czyli pośmiertna historia Wiktorii z Giebułtowskich Tyszkowskiej, której ciało aż do lat osiemdziesiątych XX wieku leżało w otwartej, zalanej wodą trumnie, wystawione na publiczne potępienie. Jaśnie Pani miała zażądać od pielgrzymów przybywających na odpust do Kalwarii Paclawskiej opłaty za skorzystanie ze studni i poprzez swą chciwość doprowadziła do śmierci dziecka jednej z pątniczek. Matka dziecka przeklęła Tyszkowską, życząc jej, by „pławiła się do sądnego dnia”. Najpierw podszło wodą pierwotne miejsce pochówku Wiktorii, czyli kaplica w Zawozie. Potem – świeżo wybudowana kaplica grobowa w Kalwarii Paclawskiej (i to na wzgórzu!), dokąd wnuk Tyszkowskiej, Paweł, przeniósł jej zwłoki. I ostatnia ciekawostka: w 1968 roku, w wyniku budowy zapory, część rodzinnej ziemi Giebułtowskich zniknęło zalanych wodami Jeziora Solińskiego.

Maksymilian Mroczkowski herbu Nałęcz posiada nagrobek na cmentarzu w Zawozie, a w Kalwarii Paclawskiej – własną legendę. Według niej był powstańcem ukrywającym się przed zaborcami, a także ukochanym Tyszkowskiej, która, nie mogąc go oficjalnie poślubić po śmierci męża, powierzyła mu tytuł rządcy.

O Wincentym Tyszkowskim wiadomo, że był gorącym patriotą i w swych górskich, niedostępnych austriackim władzom włościach ukrywał ściganych powstańców. Podobnie jak jego brat Paweł należał do Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i udzielał się w nim jako korespondent. W związku z powyższym, za wszelkie insynuacje fabularne, pomówienia i czarny PR najuniżeniej Jaśnie Pana przepraszam i pokornie błagam o wybaczenie... :-)

Książka nie powstałaby bez pomocy wyjątkowych osób, które mam szczęście mieć w swoim otoczeniu. Ogromnie dziękuję:

– Panu **Zbigniewowi Kozickiemu**, autorowi książki *Zawóz*, który przybliżył mi dzieje rodziny Giebułtowskich,

– mojemu przyjacielowi i wieloletniemu konsultantowi, farmaceucie **Pawłowi Kogutowi** za nieokiełznaną wyobraźnię i brzozowy dziegieć, którym wypaprał pół apteki,

– mojemu sąsiadowi **Januszowi Dedio** za nieocenioną pomoc w docieraniu do źródeł archiwalnych i wszelkich innych informacji wzbogacających fabułę tej książki,

– Pani Doktor **Magdzie Godyckiej** za wsparcie fachową literaturą medyczną, a jej wujkowi za zjedzenie kory ze wszystkich drzew zawartych w przeciwcholerycznej recepturze Katji,

– Panu Mecenasowi **Robertowi Brulińskiemu** za weksle, konie i polowania,

– **Ewelinie Pisarek** za czujność godną Marlonka tropiącego zwierzynę,

– **Justynie Gelecie** za konsultacje farmaceutyczne,

– **Claudii i Janie Osiadły** za pierwsze polskie tłumaczenie tytułu rozprawy doktora Gockela,

– **Tatianie Gumulec** za konsultacje językowe,

– Czcigodnemu Ihumenowi Klasztoru Ojców Bazylianów pw. Matki Boskiej Bolesnej w Przemyślu **Ojcu Dymitrowi Harasimowi** za zapoznanie mnie z obrzędowością dziewiętnastowiecznego kościoła greckokatolickiego.

## BIBLIOGRAFIA

Oprócz pozycji wymienionych w *Aptekarce*, ze względu na specyfikę tej książki, korzystałam z poniższych opracowań:

- Katarzyna Pękacka-Falkowska, *Ołów w dawnym lecznictwie i produkcji wina*
- [www.wilanow-palac.pl/olow\\_w\\_dawnym\\_lecznictwie\\_i\\_produkcji\\_wina.html](http://www.wilanow-palac.pl/olow_w_dawnym_lecznictwie_i_produkcji_wina.html)
- *Fukier i wino. Studia z historii wina w Polsce*. T.1, pod red. Dorota Dias-Lewandowska, Gabriel Kurczewski, Stowarzyszenie Historyków Sztuki Warszawa 2017
- Nina Gabryś, *Cholera. Wyobrażenia o epidemii w XIX wieku*
- [www.academia.edu/24112479/Cholera\\_Obraz\\_epidemii\\_w\\_XIX\\_wieku](http://www.academia.edu/24112479/Cholera_Obraz_epidemii_w_XIX_wieku)
- *Leczenie w choleryze Prof. Dra Chałubińskiego*, Warszawa 1884
- Józef Dropsy, *O choleryze azyatyckiej i środkach jej leczenia*, Kraków 1848
- Karolina Turcza, *Trucizna jako lek – czyli sposoby leczenia cholery w dziewiętnastowiecznym Krakowie*
- [www.m.muzeum.lasochow.pl/Turcza\\_Trucizna-jako-lek.pdf](http://www.m.muzeum.lasochow.pl/Turcza_Trucizna-jako-lek.pdf)
- Lydia Kang, Nate Pedersen, *Szarlatani. Najgorsze pomysły w dziejach medycyny*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019
- *Jak czytać znaki na srebrach*, Grabek w Lublinie, Galeria Dawnych Sreber
- [www.grabekwlublinie.pl/pl/baza-wiedzy/2-jak-czytac-znaki-na-srebrach?offset=1](http://www.grabekwlublinie.pl/pl/baza-wiedzy/2-jak-czytac-znaki-na-srebrach?offset=1)

Materiały ilustracyjne dotyczące bohaterów i miejsc akcji SAGI RODU  
TYSZKOWSKICH znajdziesz tu





# PRZYPISY

- [1] Wybiera się przyjaciół, rodziny się nie wybiera (fr.).
- [2] Czy wyrzekasz się szatana i wszystkich jego dzieł? (ukr.).
- [3] Wyrzekam się (ukr.).
- [4] I wszystkich jego aniołów? (ukr.).
- [5] I całej służby jego i całej jego pychy? (ukr.).
- [6] Zabieraj się stąd! (ukr.).
- [7] W mitologii ludowej cholera jest często przedstawiana pod postacią ubranej na biało lub czarno chudej nędzarki.
- [8] Iz 17,10.
- [9] Właściciel dóbr (niem.).
- [10] Chrzcę cię, sługo Boża, Anielo, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen (ukr.).
- [11] Oblekam cię, sługo Boża, Anielo, w więzy prawdy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego (ukr.).
- [12] Kryżmo (ukr.) – białe płótno, w które owija się niemowlę podczas ceremonii chrztu.
- [13] Przy okazji (fr.).
- [14] Brak nowin to dobre nowiny (fr.).
- [15] Z całą doskonałością (fr.).
- [16] Ściany mają uszy (fr.).
- [17] Mt 5,29.
- [18] Tak zwany *risus sardonicus*, czyli charakterystyczny grymas na twarzy przypominający uśmiech pojawiał się m.in. po przedawkowaniu strychniny, której w XIX wieku używano do leczenia cholery.
- [19] Chlorek rtęci, bardzo toksyczny, w XIX wieku używany do leczenia cholery.
- [20] Dawny lek m.in. na cholere, składający się z cukru mlecznego, wy miotnicy oraz 10% opium.
- [21] Środek przeczyszczający.

[22] Popularny w XIX wieku krzyż św. Zachariasza, zwany też cholerycznym krzyżem, chroniący noszącego od zarazy i morowego powietrza. Karawaki stawiano także na krańcach wsi, wierząc, że mieszkający tam ludzie będą bezpieczni od chorób.

[23] Mieszanina dwóch części alkoholu i jednej części eteru, sporządzona po raz pierwszy w latach trzydziestych XVIII wieku i od tego czasu szeroko stosowana jako środek uspokajający. Używano jej także do „leczenia” cholery.

[24] Thomas Aitchison Latta (1796-1833) – wynalazca soli fizjologicznej, którą wstrzykiwał dożylnie pacjentom chorym na cholere. Mimo znacznego spadku śmiertelności, jego metoda została zapomniana i ponownie wdrożona dopiero na początku XX wieku. Do dziś stosuje się sól fizjologiczną w leczeniu objawowym cholery, polegającym na wyrównywaniu zaburzeń gospodarki wodno-elektrolitowej.

[25] Prz 19,11.

[26] Tlenek ołowiu używany niegdyś do słodzenia i konserwacji wina.

[27] „Eine curiose Beschreibung deß an. 1694. 95. und 96. durch das Silberglett versüßten sauren Weins und der davon entstandenen neuen und vormahls unerhörten Wein-Kranckheit” „Osobliwy opis z roku 1694-95 i 96 słodzenia wina octanem ołowiu i wynikającej z tego nowo powstałej dotychczas nieznannej ‘wino-choroby’” (tłum. C. i J. Osiadły).

[28] Prz 23,31-32.

[29] Prz 23,33.